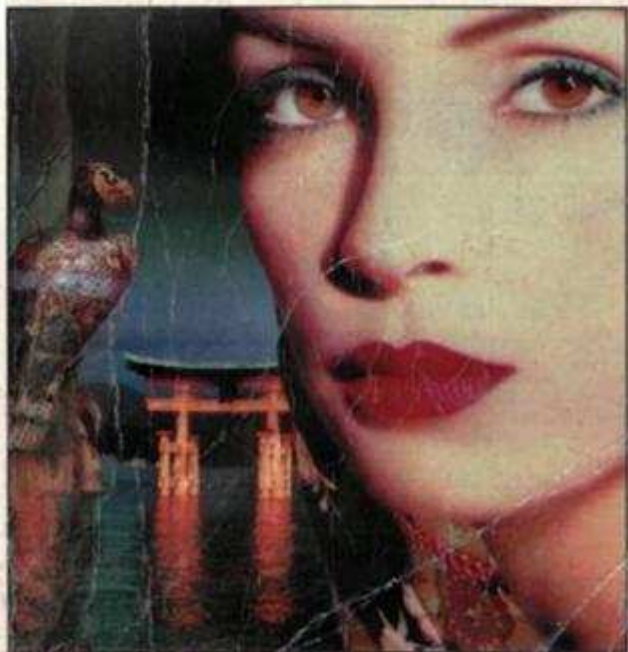


almapress

ROBERT MENDELSON

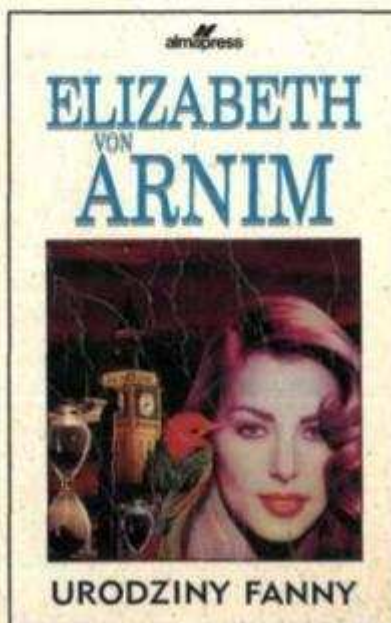


KONFLIKT HONORU

Jest grudzień 1975 roku, Tokio. Tu i teraz ma dopełnić się zemsta – sens życia Anny. Wychowana przez matkę w poczuciu krzywdy i konieczności odwetu, ma odnaleźć zabójcę swego ojca lub jego syna. Wie o *kataki uchi* – prawie zemsty za krew.

Znajomość a potem romans Anny i Yoshiro obojgu komplikuje życie. Jemu zmysłowość Anny, jej witalność i swoboda obyczajów burzą dawną hierarchię wartości. Ona zaczyna wątpić w sens zemsty i swoje do niej prawo. Z biegiem czasu oboje poznają historię znajomości swych ojców; wydarzenia z 1942 roku, które stały się udziałem dwóch poruczników: Dereka Pritcharda i Keichi Katsumaty.

Następny tytuł w serii



ROBERT MENDELSON

KONFLIKT HONORU

Przełożyła Zofia Zinserling

almapress

Oficyna Wydawnicza Warszawa

Tytuł oryginału *Clash of honour*

Redaktor

Anna Szustkiewicz

Projekt okładki

Maciej Sadowski

Redaktor techniczny

Włodzimierz Kukawski

Korektor

Alicja Chylińska

Copyright by © by Oficyna Wydawnicza „Alma-Press” 1995

ISBN 83-7020-204-7

*Dla Rachel,
która poślubiła mego ojca.*

Prolog

Bangkok, grudzień 1975

Kierowca obserwował ją, maskując to uśmiechem. W szerokokątnym lusterku, które bardzo sobie cenił, widział każdy ruch kobiety. Była zdenerwowana, nadbiegały do niego fale jej gniewu, gdy kątem oka spoglądał na drogę. Rzadko trafiały mu się pasażerki, zresztą wołał mężczyzn. Zazwyczaj przyjeżdżali w poszukiwaniu rozrywki, nie w porę ogarniało ich poczucie winy i rozwiązywało języki. Zawsze dawali się na coś namówić: na kąpiel parową lub towarzystwo, później na jedwab czy nawet rubiny, aby mieli co zabrać do domu.

Ta wysoka kobieta miała brązowe włosy o rudawym połysku, a jej zgrabne długie nogi zdawały się wypełniać tył taksówki. Wciąż wyciągała różne rzeczy z torebki, na wszystkie strony miotając z oczu zielone ognie. Chciał jej powiedzieć, że ślimaczego tempa nie powinna traktować zbyt poważnie, była jednak cudzoziemką i onieśmiała go swą postawą i gniewnym nastrojem. Wieloletnie doświadczenie w wożeniu *farang* do miasta nauczyło go, dlaczego się śpieszą. Ta kobieta na pewno przyjechała do Bangkoku z zamiarem odszukania swojego męża w salonie masażu, przyłapania go z ładną Tajką. Czytał w niej jak w otwartej księdze, lecz musiał wypatrywać wolnego miejsca na drodze.

Samochód sunął naprzód. *Teraz można się odprężyć* - pomyślała Anna. Nie potrzeba już nic planować; kto wie, czy trochę się nie prześpi. Ręce jednak nie przestawały jej drżeć, a skóra swędzić. *Nie należy aż tak się podniecać*, rozumowała grzebiąc w torebce. Jest znacznie bliższa zemsty za jego krew. Obecnie to tylko kwestia czasu; trzeba siedzieć i czekać, aż rzecz się stanie. Mimo wszystko odczuwała niepokój, jakby musiała dopiero zaczynać od początku.

Anna trzymała zapalniczkę w obu dłoniach, a płomyk pieścił drugiego papierosa. Dreszcz przebiegł jej po krzyżu na wspomnienie okropności, która dała temu początek; okropności Bang Saray. W tej chwili to wracało i obrazy przelatywały jej przez głowę. Stare dźwięki i widoki nigdy nie oglądane, choć tak dobrze znane. Odkaszlnęła bliska łez, gdy determinacja walczyła w jej duszy z niepewnością. Skrzywiła się, a kierowca z tym swoim obrzydliwym wiecznym uśmiechem rzekł:

- Zaraz ruszymy.

Planowała to od dziesięciu lat. Piętnastu, jeśli nie dłużej. Im było bliższe, tym wyraźniej zaczynała sobie zdawać sprawę, że może nie jest dość twarda; z pewnością nie na tyle okrutna, aby zamiar doprowadzić do końca.

Okłamała męża. Powiedziała mu, że zatrzymuje się w Bangkoku po raz ostatni, po czym na zawsze pożegna Wschód. Spędzi tu parę dni, porobi zakupy, nic więcej.

Nie mówiła prawdy. Nie poinformowała go, że popatrzy, jak sprawiedliwości staje się zadość tam, gdzie się to wszystko zaczęło; będzie obserwować, jak głupia duma niszczy jej wroga. Jest winna? Czy dlatego się niepokoi? Nigdy. Dlaczego miałyby się poczuwać do winy? To ją skrzywdzono, nie

jego. On zasłużył na wszystko, co go czeka, i spodziewa się tego. Tak nakazuje zwyczaj. Jego zwyczaj. Później ona stanie się sobą, cokolwiek to znaczy, będzie żyła i uczyła się dzielić, polegać, ufać, porozumiewać się i nigdy nie mieć już żadnych tajemnic ani nie kłamać. Zburzy mur nieszczerości i nikt więcej nie oskarży jej o obojętność czy brak uczuć. Nie będzie krzyczeć w bezsilnym gniewie, gdy odczuje potrzebę pomocy; nie uda rozradowania, gdy jej dusza pogrąży się piekle.

Wie, że jest zdolna do miłości, co udowodni po rozproszeniu jej obaw. Ile cierpień powinna znieść i zadać mszcząc się za kogoś, kogo ledwie знаła?

Jak śmie tak myśleć? Oczywiście, że znała. Była jego córką. Przyjechała obejrzeć miejsce, gdzie tamten zamordował jej ojca; wybrzeże w Bang Saray, gdzie to się stało. Potem będzie wolna.

Wolna? Czy potrafi się kiedyś uwolnić od obowiązku narzuconego przez los? Nie los. Własną matkę. Wszystko to zrobiła matka. Któż inny wiecznie rozdrapywałby rany i dawne cierpienie rozciągał na terazniejszość?

Od roku 1942 upłynęły wieki i wojna pokryła się patyną, stała się eksponatem pokazywanym w książkach, filmach, przypominanym przez pomniki w parkach, czymś, co zakłóca spokój sumienia raz do roku, kiedy się widzi starszych mężczyzn i kobiety, posepnie oddających hołd poległym pod londyńskim pomnikiem wzniesionym po pierwszej wojnie światowej.

Tak. Lecz jej nie stać na ten luksus. Ma do spełnienia obowiązek.

Nieustanny ruch na ulicach Bangkoku wytrącał ją z równowagi, a była sama. Po całym tym zamieszaniu z przechodzeniem przez kontrolę paszportową i celną, z wsiadaniem

do taksówki, utkwili w korku, za milionem przeładowanych, sfatygowanych ciężarówek. Wszystko - autobusy, samochody, rowery - zmierzało do miasta. Droga zamieniła się w przesycony spalinami parking. Anna zmarła, bo klimatyzacja działała aż za dobrze, a ona miała na sobie tylko tę cienką sukieneczkę, nie zasłaniającą rąk ani nóg. Na zewnątrz warstwy kurzu unosiły się w rozprężonym powietrzu, więc nie opuszczała szyby.

Przy drodze stały czerwone i turkusowe pagody, a ich charakterystyczne wieże wzbijały się w bezchmurne poranne niebo. Rosły palmy, zakurzone banany i ketmie. Anna patrząc na półnagie dzieci w błotnistej wodzie *klongu* wiedziała, jaki musi panować upał. *Cóż za miejsce do umierania* - pomyślała i znajomy ból zagościł w piersi, sparaliżował gardło. Samochód szarpnęła do przodu, a ona zaciągnęła się papierosem. Ciepła, słodka trucizna przenikała do jej płuc, głowa zaczynała ciążyć. Odrobina żaru wypaliła dziurkę w poliestrze nad kolanem, wywołując ból.

Kiedy ojciec ruszał na wojnę, był o wiele młodszy niż obecnie ona. Znała jego dom, krzesło i biurko, książki, stare fotografie. A także ubrania, bo matka ich nie wyrzuciła. Miała wyryte w duszy te dawno minione chwile, gdy jego ciepło i miłość wytwarzały atmosferę spokoju, lecz gdzieś na pograniczu wyobraźni i pamięci unosiła się nieokreślona woń potu, którą musiał wydzielać, kiedy wieczorem wracał do domu, ona zaś - według słów matki - gnała do niego, ledwie otworzył furtkę. Później kładł ją do łóżka, dosłownie co dzień - mówiła matka - a włosy miał jeszcze wilgotne po kąpieli. Opowiadał jej bajki i śpiewał, dopóki nie zasnęła.

„Hej, gwiazdeczko” lubiła - zdaniem matki - najbardziej i teraz usiłowała sobie przypomnieć, jak odpędzała sen, aby on musiał śpiewać dalej.

Znała wszystkie słowa, zapachy, dźwięki, ale jak? W domu nadal używało się tego samego mydła, a reszta? Jak mógł szkrab aż tyle zachować w pamięci?

To szaleństwo. Przyswoiła sobie wspomnienia matki, nie własne.

Przyswoiła sobie miłość matki, jej nienawiść, obsesje. A teraz działała z jej poduszczenia.

Ojciec Anny, Derek Pritchard, był bladym mężczyzną o zielonych oczach i kasztanowatych włosach opadających na czoło. Miał długie rzęsy, cienkie brwi i kościstą twarz, którą rozjaśniał chłopięcy uśmiech, ilekroć patrzył na córkę. Wiedziała, że był wysoki, bo w wieku piętnastu lat przymierzała jego płaszcz nieprzemakalny. Zachowało się parę zdjęć ojca w mundurze i mała rolka czarno-białego filmu. Musiały wypożyczyć rzutnik, gdyż produkcji taśm filmowych tej szerokości zaprzestano przed laty.

Czytała listy i wiersze ojca. Wszystko, co jej mówiono i co we własnym przekonaniu zapamiętała, ugruntowywało się w niej, tworzyło zaczyn, stawało się jej częścią.

Najbardziej brakowało jej we wspomnieniach dźwięku jego głosu. Choć wiedziała, że wywoływał uczucie ciepła, nie mogła go usłyszeć.

„Hej, gwiazdeczko”. Pamiętała tę i inne piosenki, lecz nie głos.

Tyle pozostało z Dereka Pritcharda, teraz zaś ona ma zobaczyć, gdzie umarł. Nie: poznać to miejsce, bo już je знаła. Tylko zobaczyć, po czym usiąść i czekać.

Przed nimi musiał się zdarzyć wypadek. Irytujący ruch taksówki ustał, utknęli w miejscu. Właściwie mogłaby pójść na piechotę. Potrzebowała wziąć prysznic i przespać się przed spotkaniem z tamtym mężczyzną.

Kierowca ją obserwował i chciał uspokoić stwierdzeniem, że to wszystko składa się na życie tutaj. Za dużo samochodów, a za mało dróg. Powstrzymała go jednak sina z wściekłości twarz pasażerki. Nie zdobędzie się nawet na propozycję, aby się wybrała do krawcowej czy obejrzała targowisko na wodzie. Jest zbyt spięta i nie wygląda na osobę, którą coś takiego może zainteresować. Wiedział, że poczuje się lepiej, gdy dopadnie swego grzesznego męża, i zachichotał pod nosem na myśl, jak na niego naskoczy. I wtedy otworzyła się przed nim długa szczelina, więc w nią wjechał, a po drodze o mało nie zabił przechodzącej na drugą stronę staruszki.

Wóz ruszył i tym razem nie stawał. Anna sądziła, że się zdrzemnęła. Była zmęczona; wywiązanie się z nałożonego na nią obowiązku zajęło dużo czasu od chwili, gdy jej powiedziano, jak zginął jej ojciec w Bang Saray, nad morzem, właśnie tutaj, w Tajlandii, z dala od wojny i bez powodu. Z rąk porucznika Keichi Katsumaty z cesarskiej armii japońskiej, lecz nie w bitwie. Tak mówił Jimmy Hedges, a Jimmy Hedges był lekarzem, przyjacielem jej ojca i kimś o wiele, wiele więcej. Wiedział zaś, bo wówczas się tam znajdował.

Katsumata ją oszukał, lecz spotka go kara, i to straszna.

- Katsumata - odezwała się głośno. Kierowca to usłyszał, spojrział i odniósł wrażenie, że się uśmiecha. Może wreszcie poczuła się lepiej. Bo on na pewno tak, odkąd samochód zaczął się przedzierać przez metalową dżunglę w nieprzerwanym, coraz szybszym tempie. Gdyby bogowie okazali się dla niego łaskawi, mógłby zrobić jeszcze jeden kurs przed wieczorem.

Księga 1

Wojna i honor

1.

Hiszpania weszła mu w krew i przysiągł tam wrócić, jak tylko znów będzie wolna. Coś w jej muzyce i glebie, w upalnym lecie i mroźnej zimie urzekło Dereka Pitcharda.

Kochał Hiszpanię i odpowiedział na jej zew. Ta miłość pozwalała mu lekceważyć świst pocisków i przeznaczone dla niego kule. Ludzie tracili ręce i nogi, dużo krwi, w wielu językach wydawali śmiertelne jęki.

Inteligentni ochotnicy z Brygad Międzynarodowych znajdowali się w odwrocie. Wykrwawiali się wraz z młodą hiszpańską republiką, którą przyjechali ratować.

Przybyli z fabryk, stoczni, portów i dalekich gospodarstw wiejskich. Niektórzy z uniwersytetów w Berlinie, Budapeszcie i Paryżu. W dzień walczyli, a wieczorami siadali przy ogniskach, śpiewali i marzyli. Derek Pritchard, student Cambridge, w noc rozświetlone błyskami dynamitu pisywał listy i wiersze, dyskutował o tym, jak zbawić świat. I wtedy, wśród rzezi, poznał i pokochał Antonię Marię Aguilar de Soto.

Po raz pierwszy ujrzał ją, gdy ustała walka, po dniu szczególnie okrutnym, który na szczęście dobiegł końca. W niesamowitej ciszy siedzieli na kamieniach, dzieląc się skąpym

posiłkiem, a on się odwrócił i napotkał jej wzrok. Miała drobną figurkę i gorejące oczy, więc pomyślał, że wygląda na Cygankę. Podał jej swój talerz.

- Zjedz mój ryż - powiedział. - Nie jestem głodny.

- Żołnierz zawsze jest głodny - odparła z twarzą rozjaśnioną uśmiechem.

- Och, nie, już jadłem - zapewnił. - W drodze powrotnej z wioski zerwałem kawona. Zjadłem go sam. - Odgarnął włosy z czoła i zobaczyła jego pozbawione wyrazu oczy. - No, jedz. - Wcisnął jej talerz do ręki. Nie wspomniał, że to widok trupa, ponizającego zakończenia życia ludzkiego, wywołał wymioty i odebrał mu apetyt.

Trzy razy widział nieboszczyka pod wiejskim kościołem, z martwym wzrokiem wbitym w jedyny gargulec, jaki pozostał na dachu. Były to zwłoki faszysty, który w chwili natarcia republikanów jadł drugie śniadanie. Francuski snajper trafił go prosto w serce, a on umarł zapatrzony w górę, z kawałkiem chleba w ustach. Nie bacząc na strzelaninę, pierwszego dnia ptaki wydziobały chleb, w nocy zaś szczury dobrały się do butów. Opuchnięty od porannego skwaru, przypominał wzdętą kukłę karnawałową, kiedy nazajutrz po południu rebelianci odbili wioskę. Kompania Dereka wróciła tam na trzeci dzień, a wtedy trup wyglądał jak nadmuchany Sancho Pansa, z głową wciąż zadartą, bez butów i prawie już bez stóp, z woskowymi nogami wystawionymi na działanie słońca. W tamtym tygodniu wieś kilkakrotnie przechodziła z rąk do rąk i nikt się nie pofatygował go pogrzebać, benzyna była zaś zbyt trudna do zdobycia, by go spalić.

Derek z radością skorzystał z okazji poczęstowania kobiety jedzeniem, którego brakowało, a którego sam tknąć nie

mógł, sądził zaś, że ona może, bo nie była we wsi i nie widziała martwego faszysty.

To i tak nie miałyby to znaczenia, zdążyła już bowiem widzieć śmierć i uodpornić się na nią. Jako nowa w ich szeregach, nie знаła nikogo. Ci cudzoziemcy wyglądali inaczej, ten jednak zachowywał się życzliwie, swoją serdecznością przywodząc na myśl przyjaciół z czasów przed odkomenderowaniem jej do tej kompanii przez naczelne dowództwo, więc wzięła talerz.

Najdotkliwiej odczuwała brak pewnego robotnika, hydraulika z Toledo, urodzonego w wiosce Real de San Vicente, syna budowniczego. Ten jej dwudziestojednoletni rówieśnik przyłączył się do republikanów w tym samym tygodniu co ona. Choć inni, na ogół lepiej niż on wykształceni, często patrzyli na niego z góry, spał razem z nimi, z nimi przymierał głodem i walczył. Miał własny staroświecki karabin i sam do niego robił amunicję. Strzelał najcelniej ze wszystkich, a dzięki umiejętnościom manualnym potrafił każdą rzecz reperować. Bardzo niski, z bardzo długim karabinem na ramieniu, przypominał miniaturowego Don Kichota z lancą.

Hydraulik z Toledo dużo mówił i dobrze naśladował akcent mieszkańców każdej prowincji kraju. Wygłaszał mowy, zupełnie jak Primo de Rivera, najczęściej zaś naśladował samego *Caudillo*. Ten delikatny młody człowiek nie przechwalał się, nie pił, nie przeklinał ani nie spluwał i opowiadał przyzwoite kawały. Zbliżył się zwłaszcza z nią i mówił jej różne rzeczy. Zwierzał się, że ma chorą matkę, do której często chodził w nocy. Zawsze wracał o pierwszym brzasku i nigdy się nie skarżył, gdy otrzymał rozkaz kopania rowów czy mycia rannych. Strzelał coraz lepiej i miał awansować na snajpera, jak tylko znajdzie się dla niego nowy karabin.

Potem stwierdzono, że był donosicielem. Nigdy się nie dowiedziała, jak to wyszło na jaw, bo nie wierzyła informacji i nie chciała jej słuchać. Szpieg? Nie człowiek z jego przeszłością. W późniejszych dyskusjach walczyła o niego jak tygrysi-ca. Stała się jego obrończą, siostrą i księdzem w czasie niby-procesu mającego dowieść mu winy. Do ostatniej chwili przekonywała, wrzeszczała i wygłaszała tyrady, aż w końcu spokojnie kazał jej zamilknąć. Z pewną ulgą i dumą przyznał im rację. Od początku, oświadczył, był człowiekiem Franco. Nie miał ojca ani matki. Oboje na początku wojny zginęli z rąk republikanów, on zaś przez cały czas był wrogiem Antonii Marii. Zapewnił, że rebelianci zwyciężą, krzyknął: „Arriba Franco” i oznajmił, że z radością umiera za Hiszpanię. Nawymyślał im od czerwonych świń, które utopiły kraj we krwi, czerwonej jak ich sztandar.

Proces zakończył się skazaniem małego hydraulika, niedoszłego strzelca wyborowego i bohatera, na karę śmierci. Z polecenia komitetu ona miała go zastrzelić, bo z taką pasją go broniła. Kazano jej się pośpieszyć, gdyż ruszali dalej.

Mały hydraulik poprosił, aby posłużyła się jego karabinem. Postawiony pod ścianą, nie zgodził się umierać z przepaską na oczach, ale poprosił o księdza. Nie było go w ich gronie i śmiali się na tę myśl. Antonia musiała wziąć karabin, załadować i strzelić. Nie raz widziała, jak chłopak przygotowuje broń, ładuje, mierzy i strzela. Tak się szczycił swym karabinem i tak go pucował.

Stał pod murem, patrząc jej prosto w oczy, gdy do niego mierzyła.

- Strzelaj celnie, czerwona dziwko! - wrzasnęła. Po raz pierwszy usłyszała jego podniesiony głos i przekleństwo. Zmęczona, z oczami pełnymi łez, prawie nic nie widziała.

Rozumiała, że chce ją rozzłościć i w ten sposób ułatwić jej zadanie. Ze smutkiem, nie z gniewem, wycelowała między oczy i zabiła go na miejscu.

W tydzień po egzekucji marokańska armia zawodowa uderzyła na grupę z zaskoczenia, niemal ją dziesiątkując, po czym Antonię wysłano do Brygad Międzynarodowych. Dogoniła je i po dziesięciu dniach poznała Dereka, który oddał jej swój talerz ryżu. Nie wspomniała mu o hydrauliku, opowiedziała tylko, dlaczego przyłączyła się do republikanów.

*

Antonia Maria Aguilar de Soto nie była zwyczajną rewolucjonistką. Miała zaledwie dwadzieścia lat, kiedy w połowie lipca 1936 roku wspierani przez armię zawodową nacjonalistów powstałi przeciw republice. Antonia pracowała w rodzinnej księgarni przy głównej ulicy Walencji. Żyła dostatnio w mieszczańskim domu, gdzie nikt specjalnie nie angażował się w politykę. Konserwatywny ojciec Antonii bronił błędnej polityki króla, o którą obwiniał złych doradców. Po wybuchu rewolty Walencja pozostała po stronie republikańskiej. Bogobojny señor Aguilar krytykował antyklerykalną politykę republiki i płądrowanie kościołów przez tłum, lecz wyłącznie w rozmowach z przyjaciółmi i rodziną.

W początkach tego lata wojna toczyła się z dala od nich. Na ulice wylęgali rozentuzjasmowani studenci ze sztandarami, anarchiści i robotnicy; były hasła i dyskusje, lecz właściwie nie zakłócały życia, a ludzie nadal kupowali książki.

Raz czy dwa razy do roku cała rodzina wybierała się swoim samochodem wzdłuż wybrzeża do Castellón de la Plana, stamtąd przez porośnięte winnicami *Priorato* Tarragony i stromą drogą na wzgórze aragońskie i do miasta Fraga. Nie

opodal, pośród usianych oliwkami pagórków, mieli domek i parę *cuadradas* ziemi, na której hodowali oliwki, figi i trochę migdałów. Dom, skąpo umeblowany, odznaczał się prostotą i zapewniał chłód. Sąsiedzi, gospodarz z żoną, utrzymywali w nim porządek i otwierali w zimie okna w zamian za plony i pozwolenie na uprawę cebuli, ziemniaków i fasoli między drzewami oliwnymi. Układ ten zadowalał wszystkich, ponieważ zawsze zostawało dość płodów rolnych dla Aguilarów, gdy zawiadomili sąsiadów o swym przyjeździe.

Antonia Maria wraz z braćmi, osiemnastoletnim wówczas Manolem i szesnastoletnim Pedrem, schodziła ze wzgórza, by popływać w oddalonym o milę zimnym strumieniu. Rodzina spożywała tylko jeden, poprzedzony modlitwą, wieczorny posiłek przy świecach. To tam Antonia nauczyła się gotować, piec i robić przetwory, bo godzinami obserwowała żonę sąsiada przy pracy.

W następstwie trwającej wojny domowej Aguilarowie zaczęli odczuwać niedostatek. Sklep pozostawał otwarty, lecz trudno było dostać książki i ojciec Antonii musiał sięgać do oszczędności dla uzupełnienia dochodów. Pewnego wrześniowego dnia oznajmił znienacka, że jada na wieś na wakacje. Zdobył dostateczną ilość benzyny od zadłużonego u niego właściciela garażu, w odpowiednim czasie zawiadomili pocztówką sąsiadów i o czwartej rano wyznaczonego dnia wyruszyli opustoszałymi ulicami. W kawiarence niedaleko od Tortosy napili się kawy i zjedli chleb z serem, do domu zaś przybyli późnym popołudniem. Warzywa i owoce, dwa zarżnięte kurczaki, słoiki z masłem i marmoladą na kuchennym stole świadczyły o zamożności sąsiadów. Manolo stwierdził, że dzięki wojnie dobrze im się wiedzie.

Chyba ktoś był w domu na krótko przed ich przybyciem, bo piec jeszcze wydzieliał ciepło, w misce zaś pozostała czysta

woda. Umyte i wytarte sztućce leżały na stole obok paczki zagranicznych papierosów z podobizną rudobrodego marynarza. Z szynki, którą uwędzoną i gotową do zjedzenia powiesili na strychu w czasie swej ostatniej wizyty, ktoś odkroił kawałek, po czym starannie owinął jej koniec arkuszem czystego papieru do pisania. Znaleźli tam drugą paczkę papierosów, lecz nie mówili wiele na ten temat, a chłopcom polecono nazbierać drew i rozpalić w piecu.

Nazajutrz po drugim śniadaniu Antonia zeszła ze wzgórza, aby jak zawsze wykapać się w strumyku. Słońce minęło zenit, gdy delektując się wodą słuchała paplaniny braci w lesie na wzniesieniu. Miała do dyspozycji całe popołudnie, więc się ubrała i postanowiła złożyć wizytę żonie sąsiada. Do ich domu, który stał w pewnej odległości po drugiej stronie strumienia, prowadził chwiejny drewniany mostek i Antonia znalazła się na nim, pogwizdując melodię popularnej piosenki.

Zanim dotarła do płotu sąsiadów, pierwsze pociski posypały się na dolinę. Rozbrzmiały salwy z karabinu maszynowego, a w gajach oliwnych jej ojca na przeciwległym brzegu zaczęły wlatywać w powietrze bryły ziemi i kurz, płonące drzewa jak grzyby wzbijały się w niebo.

Gospodarz od drzwi obserwował niszczenie doliny i gestem ponaglał Antonię do wejścia. Pociski padały coraz bliżej domu jej ojca i przez pewien czas wydawało się, że ktoś go osłania przed zburzeniem. Nikt słowem się nie odezwał, dopóki żona sąsiada nie podniosła wrzasku. Antonia przytuliła kobietę chcąc ją pocieszyć, lecz wtedy ta krzyknęła głośniejszym głosem i wskazała na wzgórze. Antonia obróciła się i ujrzała płomyk wydobywający się z dachu ojcowskiego domu.

Widocznie chłopcy włożyli za dużo drzewa, a piec ma przewody zapchane sadzą. *To musi być piec* - pomyślała, ale ogień buchał coraz większy i wtedy poprzez dym dostrzegła sam budynek. Dach zniknął, płomienie strzelały oknami. Zobaczyła jakieś postacie wybiegające na drogę. Ucichł ostrzał artyleryjski, nasilił się ogień karabinów maszynowych, po czym ujrzała żołnierzy. Zdecydowanymi, porządnymi liniami zbiegali po zboczu w stronę ludzi, którzy uciekali od pożaru.

- Wsiadajcie do samochodu! - wrzasnęła Antonia. - Wsiadajcie do samochodu i jedźcie.

Żołnierze sunęli przez gaje i łąny wysokiej kukurydzy. Widziała ich wyraźnie, nie mogli natomiast ich widzieć uciekinierzy, bo szli im naprzeciw.

Obróciła się, aby zbiec do strumienia i pognać pod górę do swojego domu, lecz gospodarz rzucił się na nią i przytrzymał ją z pomocą żony.

- Teraz nie możesz im pomóc - rzekł cicho. - Żołnierze odejdą, jak zobaczą, kim są twoi rodzice i bracia.

Nadal mocowała się i wrywała, a że była silna i młoda, wymknęłaby się, gdyby gospodarz nie wyrzucił jej w głowę olbrzymią pięścią. Padła na ziemię, ale nie zemdlona. Po prostu leżała, łykając łzy i dygocząc.

Po drugiej stronie doliny żołnierze dopadli jej rodzinę na drodze.

Sąsiedzi wprowadzili Antonię do środka, przeprosili i na pociechę dali jej się napić mocnej mieszanki czerwonego ziołowego wina z winiakiem. Choć kasłała, płakała, dolali jej jeszcze, po czym żona gospodarza zaparzyła mocnej herbaty z rumianku, aby ją uspokoić. Wieczorem Antonia słyszała, jak zamykają okiennice, przekręcają klucz w drzwiach i rozmawiają o trzech cudzoziemcach - republikanach, którzy spędzili noc w domu señora Aguilara. Poprzez odretwienie

docierały do niej głosy mówiące, że żołnierze na pewno puszczą señora Aguilara, gdy się przekonają, kim jest.

Nie wygląda przecież na republikanina, studenta ani na komunistę. Chciała im przytaknąć, zapadła jednak w sen, który przyniósł spokój trwający aż do rana.

Obudziło ją pianie koguta, chrupkanie prosiąt i szczekanie psów za domem. Gospodarz z żoną siedzieli już przy stole, więc razem z nimi napiła się kawy i zjadła chleba maczanego w oliwie.

- Jest cicho - rzekł gospodarz. - Żołnierze odeszli. Teraz możesz wracać, jeśli jesteś gotowa, a ja pójdę z tobą.

Pogodnie pomachała od bramy żonie gospodarza, ruszając z nim do strumienia. W porannym chłodzie nagimi kostkami nóg wyczuwała rosę na trawie. Dym nadal sączył się z ruin tego, co było domem jej ojca.

Brat Antonii, Manolo, zginął w płomieniach; jego zwęglone ciało osunęło się pod resztki pieca. Samochód leżał przewrócony i nietknięty, tyle że ktoś wyważył dłutem zegar z tablicy rozdzielczej. Znalezione tuż przy drodze gruntowej ciało Pedra gospodarz zaniósł do gaju oliwnego i ułożył obok studni. Następnie natrafili na zwłoki pana Aguilara, który padł twarzą na ziemię. Ponieważ był roslym mężczyzną, gospodarzowi sporo czasu zajęło zataszczenie ciała na miejsce, gdzie spoczywał jego syn.

Kiedy Antonia w kukurydzy natknęła się na nagie ciało matki, zgwałconej i z poderżniętym gardłem, runęła obok niej zemdlona. Odzyskawszy przytomność stwierdziła, że jest przy studni, w towarzystwie gospodarza, jego żony i dwóch innych wieśniaków. Wstała, popatrzyła na trupy, zapłakała gorzko i krótko.

- Pochowamy ich tutaj - zdecydowała, wywołując sprzeciw gospodarza, który uważał, że trzeba ich pogrzebać w poświęconej ziemi, z błogosławieństwem wiejskiego proboszcza.

- Nie - oświadczyła. - Zostaną pochowani tutaj, bo nie ma Boga. Ani tu, ani tam na cmentarzu.

Gospodarze popatrzyli po sobie, pogadali, po czym się zgodzili.

W ten wrześniowy poniedziałek 1936 roku, pierwszego roku wojny, Antonia wyruszyła ze wsi na poszukiwanie wojsk republikańskich. Podarowała sąsiadowi samochód, powiedziała, że ziemia należy do niego, a on dał jej wszystkie pieniądze, jakie miał w domu, zawiniątko z żywnością, trochę odzieży i rower. Odjechała na wschód w stronę Katalonii, nie oglądając się do tyłu.

Później, już jako zahartowaną w bojach specjalistkę od materiałów wybuchowych i sanitariuszkę, wysłano ją na nagie skały, gdzie Derek Pritchard ze swoją kompanią jadł kolację. Jej życie, mawiała nieraz, dopiero miało się zacząć.

2.

Zawsze twierdziła, że to ona ujrzała go pierwsza, że potrafi opisać wygląd jego pleców, gdy tak siedział, zmuszając się do jedzenia. Zapamiętała wyraz jego twarzy, kiedy się odwrócił i napotkał jej wzrok. Zaproponował jej ryż, a ona usiadła, wzięła od niego łyżkę, talerz i zaczęła jeść.

Mówił jak wykształcony Hiszpan, co z jego akcentem i

naleciałościami miejscowego żargonu dawało w efekcie bezklasową mieszaninę zwrotów, dla Antonii uroczą i śmieszłą. Z ust tego bladego młodego cudzoziemskiego poety o twarzy Chrystusa i odwadze Cyda nieprzerwanie płynęły poglądy Lorki. Dla niej był bohaterem, gdyż przyjechał z daleka, aby walczyć z nią w jej wojnie, i nie oczekiwał wdzięczności.

Zdążyła już, jak inne dziewczyny w szeregach, wyzbyć się zahamowań. Życie, z jego tempem i niebezpieczeństwami, bywało krótkie. Hiszpańskie republikanki wyszły z cienia. Wspólnie z mężczyznami walczyły, wypowiadały swe myśli, słuchały płomiennych słów przywódców o postępie, nadziejach na przyszłość i wolnej miłości.

Antonia też popadła w tę ogólną ekstazę. Chodziła z Derekiem po wzgórzach, sypiała z nim na materacu z trawy w jaskiniach, ziemiankach i zburzonych domach. Dała się unieść prądowi czarownego, żarliwego strumienia wolności. Dostała stały przydział do kompanii, naprawiała buty, domowym sposobem wyrabiała bomby, gotowała, prała, myła, opatrywała rany, gdy zaś Derek był w obozie i nie walczył, ani na krok go nie odstępowała.

Wspomnienie tamtego września zepchnęła w najgłębsze zakamarki umysłu, jej terażniejszością i przyszłością stał się Derek, on kontrolował jej przeszłość. Obserwowała go ustawicznie, znała na wylot, wiedziała, kim jest, chciała ukazać światu jego talenty, wrażliwość i męstwo. Widziała, jak entuzjazmem, bojowością zaraża towarzyszy, jak tę niezdecydowaną, przeciążoną teoriami gromadę przekształca w wysmienity oddział walczący. Nieustraszenie wiódł do ataków przez pola minowe, a mimo to płakał jak dziecko, gdy francuski snajper deklamował Baudelaire'a po zakończeniu strzelaniny. Zawsze płakał w samotności i tylko ona to

widziała, bo ani na chwilę nie mogła oderwać od niego wzroku. Uczył nowo przybyłych czytać mapy polowe i czasami, kiedy słuchali muzyki, siedząc przy rosyjskim radioodbiorniku, mówił o demokracji, o tym, jak wreszcie dotarła do Hiszpanii, więc trzeba jej bronić. Antonia wiedziała, jaki jest w rzeczywistości nieśmiały, i podziwiała umiejętność ukrywania tej cechy. Z biegiem czasu, powoli, dowiadywała się o nim więcej.

Do ojca, przemysłowca, właściciela stalowni, przędzalni i fabryki wagonów kolejowych, silnego, despotycznego mężczyzny, młody Derek zwracał się „sir”. Rodzice spędzali lato w Biarritz, gdzie ojciec namiętnie oddawał się hazardowi. Nie był prawdziwym ani dobrym hazardzistą, bo nie cierpiał przegrywać.

Derek rzadko widywał rodziców. W wieku lat sześciu oddany do internatu, sporadycznie spędzał weekendy z lokajem i jego żoną. Kiedy przyjeżdżał do domu, ojciec wciąż siedział w biurze czy w fabryce, a matka wstawała z łóżka późno, ponieważ wieczory miała wypełnione licznymi zobowiązaniami towarzyskimi. Derek, na ogół pozostawiany sam sobie, wyczuwał, że matka trochę się go wstydzi przy gościach, bo nie za dobrze grał w tenisa i krokietą, niechętnie konwersował, wybuchał śmiechem w nieodpowiednich momentach. Pocięchę znajdował w książkach i do dwunastego roku życia przeczytał prawie całego Dickensa i Wordswortha. Miał słabość do poezji. Uważał, że wiersz potrafi wyrazić więcej niż cały tom, oddaje bowiem nastrój czy uczucie w kilku słowach nie wymagających wyjaśnień ani wnikania w szczegóły.

Styl życia jego matki nie uległ zmianie nawet w roku 1929. W domu wybuchały kłótnie, trzaskano drzwiami. Skończyło

się to po dwóch latach, kiedy po ogłoszeniu bankructwa ojciec się zastrzelił.

Bawiąca wówczas w St. Moritz matka nie wróciła na pogrzeb. Dom rodzinny sprzedano, a Derek tylko raz zobaczył matkę po śmierci ojca, kiedy wsiadała do taksówki przed Café Royal na Regent Street. Otrzymał niewielki spadek, którym zarządzano w jego imieniu, dopóki nie skończył dwudziestu jeden lat. Do tej pory mógł dysponować dochodem, jaki ten majątek przynosił. Matka powtórnie wyszła za mąż i jej nazwisko i twarz widywał czasem w „Tatlerze”.

Jak powiedział Antonii, o śmierci swojej matki przeczytał będąc w Hiszpanii. W nekrologu nie wspomniano, na co umarła.

Wiosną 1937 roku Antonia stwierdziła, że jest w ciąży, a ponieważ stało się to w Barcelonie, Derek poszedł z nią do konsulatu brytyjskiego, gdzie wzięli ślub. Perspektywa ojcostwa w połączeniu z niepokojem o zdrowie Antonii wzbudziła w nim nowe, dojrzałe zainteresowania. Teraz troszczył się głównie o przyszłą rodzinę. *Dla nich - dowodził - wojna się skończyła.* Republika nie wykorzystuje Brygad Międzynarodowych tak skutecznie ani tak często, jak powinna. Pora ugiąć się przed konwenansem. Postępował wtedy tak surowo i zdecydowanie, że Antonia uległa, pogodziła się też z swoją nową rolą żony i przyszłej matki. Krótkie, gorące, szalone lato jej młodości dobiegło końca. Hiszpania niewiele miała jej teraz do zaoferowania.

Zabrali się na statek handlowy odpływający z Barcelony. Kiedy omijał nieszczelną blokadę Franco i zmierzał w stronę Marsylii, patrzyli, jak miasto znika pod wygwieżdżonym niebem. Derek tulił Antonię do siebie i obiecywał, że wrócą, na pewno, jak tylko Hiszpania odzyska wolność.

3.

Zaczął zarabiać na życie w londyńskim City, z dala od nągich, skalistych wzgórz, gdzie toczyły się walki. Codziennie dojeżdżał na dworzec Waterloo i przechodził na drugi brzeg Tamizy, do szarego, bezosobowego biura. Do szarych, bezosobowych głosów mówił o papierach wartościowych, akcjach i certyfikatach. Późno po południu wkładał melonik i na tym samym moście dołączał się do innych ludzi powracających do domu.

Mały skrawek Hiszpanii oczekiwał go na przedmieściu wraz z małą angielską córeczką obdarzoną zaraźliwym uśmiechem. Pośród zielonej ciszy, która go otaczała, nie zapominał, gdzie poznał swą żonę. Sąsiedzi przywykli do jej akcentu i zaczęli nazywać ją Toni. Dość dobrze opanowała angielski, chodziła w tweedach i praktycznych bucikach. Dla niego pozostawała Antonią Marią o tym długim, romantycznym, dźwięcznym nazwisku. Wymawiał je po cichu. Antonia Maria Aguilar de Soto. Aguilar de Soto. Powtarzał je coraz prędzej, aż brzmiało jak stukot stalowych kół niosący się echem po szynach w drodze powrotnej do domu. Nazwisko jej słyszał wszędzie.

Później złożyła przysięgę na wierność Koronie i utraciła swą łatyńską donośność i żywość. Nigdy nie zwracała się do niego po hiszpańsku, chyba że czasem zimową nocą wpijała się palcami w jego plecy i ściskając go kolanami mówiła „*querido*” i „*mi amor*”. W takich wybuchach namiętności, złana potem, znowu stawała się Antonią Marią Aguilar de Soto. Obserwował, jak drobna i wyczerpana, wstrząsana dreszczem, jeszcze raz unosi się ku niemu, po czym zapada w

sen. Przez sen nigdy nic nie mówiła i nie miewała koszmarów, gdy byli razem bezpieczni, a ona trzymała go w objęciach.

W swej przybranej angielskiej ojczyźnie zajęła się domem, ogrodem i niedzielną pieczenia. Miała wychować Annę na anglikankę i grać z nią w gry angielskie. Z trudem czytała „Country Life”, cierpliwie stała w kolejce na przystankach autobusowych i w sklepach. Nigdy nie mówiła o Hiszpanii, bo za nią tęskniła, o czym Derek wiedział.

Co dwa tygodnie w piątek oddawał żonie swoją wypłatę, otworzył jej rachunek w miejscowym banku i nauczył ją wypisywać czeki. Jego pensja wraz z niewielkim spadkiem umożliwiały im dostatnie życie. Mogli sobie pozwolić na samochód, czasem nawet na wakacje na kontynencie, lecz Toni nie chciała o tym słyszeć, bo Anna miała chodzić do najlepszych szkół, a na starość oni będą potrzebować pieniędzy. W istocie pragnęła, aby rzucił znienawidzoną posadę, i oszczędzała z tą myślą.

Czytali książki z biblioteki, czasem szli do teatru na galerię. W późniejszych latach córka uważała ją za sknerę, sąsiedzi natomiast podziwiali jej przezorność.

Z tanim biletem wycieczkowym jeździli na wybrzeże, gdy było ciepło, kupowali rożki lodów, spacerowali po molo i patrzyli na morze. Nie umywało się do Morza Śródziemnego u południowych brzegów jej ojczyzny, lecz jeśli do niego tęskniła, to w milczeniu. Piekła, gotowała, malowała płot, kosiła trawnik. Prała i prasowała jego koszule, cerowała skarpety. Czyściła srebra, choć rzadko miała okazję ich używać, wyrabiała i po cichu sprzedawała wina ziołowe oraz leki na przeziębienie. A przez cały ten czas, kiedy Derek bez większego powodzenia czy zapału uczył się zawodu maklera, Anna rosła i poznawała wciąż nowe słowa.

Była z niej ładna dziewczynka, która po nim wzięła kolor

włosów i oczu, a cerę po matce. Śmiała się z jego min, milczała z surową buzią, gdy czuła, że chce mieć spokój. Zawsze pięknie wystrojona, godziła się nawet wkładać zniechęcające sukienki, ilekroć matka powiedziała, że to dla taty. Po drzemce popołudniowej zasiadała przy oknie, z uczesnymi długimi kasztanowatymi włosami i wypatrywała go zielonymi oczyma. Ledwie otworzył furtkę, biegła rozpromieniona i rzucała mu się na szyję, a on ją całował i wiedział, że warto jest żyć. Pytała, jak spędził dzień, opowiadała mu, co robiła, i zawsze szeptała coś na ucho, zwierając się ze swych drobnych zmartwień i prosząc o zachowanie sekretu. On z uśmiechem udzielał rad i obiecywał nie pisać słówka.

Choć skończyła zaledwie trzy lata, rozmawiał z nią jak z dorosłą, pewien, że go rozumie. *Niedługo - zwierzał się jej - tata przestanie chodzić do biura, będzie siedział w domu z nią i z mamą i pisał.*

- Czemu nie jutro? - pytała, więc wyjaśniał, że nikt nie chce kupować tego, co pisze.

- Mama mówiła, że piszesz tak dobrze - odpowiadała.

- Ale i innym ludziom musi się to podobać. - Głaszcząc ją po włosach tłumaczył, że do siedzenia w domu potrzebne są pieniądze. No, ona może mu je dać, ma ich mnóstwo w swojej skarbonce.

Nigdy nie śmiał się z córki, a wieczorami, kiedy już spała, zaglądał do jej pokoju i patrzył na nią z uczuciem, że jest świadoma jego obecności.

W dni wolne od pracy opowiadał jej bajki, a ona coś dla niego rysowała. Pomagali Toni w ogródku, w sezonie zbierali jabłka i truskawki, uczył też Annę jeździć na małym trycyklu. Właściwie nie chciał posyłać jej do szkoły, ale przecież - myślał - mieli jeszcze mnóstwo czasu.

W świecie zewnętrznym czas pędził jak szalony. Siłą sporządzane nowe mapy Europy domagały się toczenia nowych bitew. Władze nie wiedziały, że Derek walczył w Hiszpanii, i w połowie 1940 roku powołano go do wojska. Z ulgą wyrwał się z nudnego biura i chętnie zamienił papierki i liczby na ćwiczenia.

W początkach 1942 roku porucznik Derek Pritchard znalazł się w Singapurze i obserwował pożar ogarniający Imperium.

*

Londyńscy politycy nie traktowali Japończyków poważnie, uważali ich za krótkowzrocznych karłów, niezdolnych nocą latać samolotem. Singapur był twierdzą nie do zdobycia. A jednak padł i jadący na rowerach Japończycy dowiedli swoich umiejętności strzeleckich. Hotel Raffles, z popołudniowymi herbatkami i napojami z rumu i dżinu, zatrzasnął radzowi drzwi przed nosem w oczekiwaniu, aż z dymów wyłonią się nowi panowie Azji.

Przypominało to Hiszpanię, lecz trwało krócej. Tym razem Derek przegrywał bitwę o własny kraj. Z Anglii nie nadesłano wojska, bo było potrzebne bliżej domu. Ci, którzy mogli opuścić wyspę, popłynęli do Australii, a zjawili się ci, którym po drodze nie zatopiono statków. Derek Pritchard nie brał udziału w ostatniej bitwie o miasto, gdyż nie mógł znaleźć swojej jednostki i akurat wędrował ulicami, kiedy ucichły strzały. Na próżno szukał odpływającego statku i słuchał, jak ludzie mówią, że Japończycy wybiją wszystkich. Z poczuciem winy wobec Chińczyków, Hindusów i Malezyjczyków, uwikłanych w walkę odległych wrogów, chodził dopóty, dopóki nie natrafił na otwarty w śródmieściu bar. Usiadł przy stoliku na świeżym powietrzu, aby napisać

ostatni list do pozostawionej w Anglii Toni. Ze szklanką grzanego piwa w ręce, patrząc na fotografię jej i małej Anny, wyrażał niepewność, kiedy list do niej dotrze. Odmalowywał udrękę, zniszczenia, ludzi bez celu błakających się po ulicach. Żegnał ją na razie, bo nie wiedział, co się obecnie wydarzy.

Japończycy muszą nas gdzieś przetransportować - pisał.

Taka masa wojska nie pomieści się na tej małej wyspie. Japończycy nas nie wyżywią. Zakończył obietnicą, że spróbuje napisać, jak będzie wiedział, co się dzieje.

Más tarde mi amor,

ale chwilowo było to

adiós mi corazón.

4.

Ciężka dłoń dotknęła jego ramienia, toteż podniósł wzrok. Ujrzał znanego skądś lekarza wojskowego, który patrzył na niego z uśmiechem na dużej piegowatej twarzy. Miał gęstą rudą czuprynę, w ustach trzymał fajkę.

- Możesz to wsadzić do pustej butelki - rzekł wskazując na list - i wrzucić ją do Morza Południowochińskiego. Tym sposobem list może dotrzeć do Anglii, skoro nie działa poczta.

Derek schował złożony list do kieszeni, usiłując jakoś dopasować twarz i głos do munduru.

34

- Pamiętasz mnie? - jowialnie zapytał facet. - Jestem Hedges. Jimmy Hedges. A ty Pritchard, prawda?

Wtedy sobie przypomniał.

- Tak, naturalnie - rzekł i gestem wskazał Hedgesowi krzesło. - Znamy się z Cambridge, co?

- No bo skąd mielibyśmy się znać? Chodź ze mną do baru. Tu jest za gorąco, a tam wentylator pracowicie się kręci. Chyba Japońce nie wyłączyły jeszcze prądu.

Derek skinął głową i wstał. Powoli wracała do niego przeszłość. Odległa przeszłość. Czasy na długo przed tą wojną i hiszpańską. Wycinek tych dawnych czasów naiwności, kiedy ludzie sądzili, że marzenia i pomysły da się urzeczywistnić. Czasów znacznie wyprzedzających porażki. W próbach wywołania wspomnień o Hedgesie było coś niemiłego, lecz gdy dotarli do baru i zajęli miejsca, a lekarz zamówił drinki, zaczęły odżywać. Derek pamiętał, że Hedges uchodził za faszystę, kołtuna i nie pojechał do Hiszpanii. Podobno rzeczywiście odwiedził nazistowskie Niemcy, podziwiał Franco i Mussoliniego.

Nie dość na tym. Kolejne kłopotliwe wspomnienie kołatało mu w głowie, lecz Derek nie umiał go sformułować. Nie widywał ostatnio znajomych; nastął czas upadku i kapitulacji. Może to jego ostatni dzień na wolności. Teraz dla niego wojna się skończy, skoro zaś myśl o niewoli unosi się nad barkiem, lepiej zbyt skrupulatnie nie wnikać w przeszłość.

Siedzieli zwrócenii do wentylatora, prowadząc zdawkową rozmowę. Nie dyskutowali o Cambridge ani o Hiszpanii i z wolna przebrzmiały echa zapomnianych antypatii. Nad barem wisiała ozdobna klatka z papuzką. Ptaszek skakał w niej, więc Derek zwrócił się do barmana:

- Czemu nie pozwoli jej pan polecieć do dżungli?

- Zapłaciłem za nią kupę pieniędzy - odparł barman. - A zresztą teraz by nie trafiła.

- Drzewo jest drzewem. Papużka będzie szczęśliwsza na swobodzie.

Odkupił ptaszka od właściciela, po czym otworzył klatkę. Papużka po chwili wahania pofrunęła w stronę okna i zniknęła im z oczu.

- Oszalałeś - rzekł Hedges. - Teraz na pewno zdechnie. Tyle lat żyła w zamknięciu i dostawała jeść. Wiesz, że tam nie przetrwa.

- Mylisz się, Hedges. Widziałeś, jak szybko wyleciała? Tęskni za wolnością.

- Niewątpliwie popadłeś w depresję.

Derek położył jeszcze parę monet na ladzie.

- To rozumiem - powiedział Hedges. - Tam, dokąd się udajemy, pieniądze nie zdadzą się na nic. Równie dobrze mogą mnie stąd wyprowadzić zalanego.

Derek miał jeszcze list w kieszeni, gdy Japończycy ściągali ze stołków jego i Jimmy'ego Hedgesa. Lekarz koniecznie chciał dokończyć drinka, więc trochę go poszturchali i bagnetami wypchnęli na ulicę. Brak samochodów i koni sprawiał, że miasto wydawało się martwe. Wszędzie strzelały w górę płomienie, rozbrzmiewały sporadyczne strzały.

Kiedy wychodzili z baru, wróciła do niego papużka. Widział to tylko Hedges.

Jadąc pod strażą, przyciągali ukradkowe spojrzenia przechodniów, wyraźnie wstrząśniętych faktem, że brytyjscy żołnierze są zdani na łaskę wroga ze Wschodu.

- Cieszą się, że odchodzimy - stwierdził Hedges. - Wkrótce zobaczą, jacy są ich nowi panowie. - Zamierzał dorzucić coś jeszcze, lecz jeden z żołnierzy go uderzył, a drugi wrzasnął. Hedges umilkł, popatrzył na obu i dalej już szedł bez słowa.

Zaprowadzono ich do koszar w środku miasta. W bramie stał japoński wartownik pod dużą flagą ze Wschodzącym Słońcem.

- Nie tracą czasu, co? - szepnęła Jimmy. - Gdybyśmy byli tacy zdyscyplinowani jak ci faceci, teraz my byśmy ich zamykali. Wiesz, że jest nas tu więcej niż ich.

Derek tylko wsłuchiwał się w odgłosy wieczoru i wyobrażał sobie ćwierkanie świerszczy. Wepchnięto ich do małego pokoiku, po czym drzwi się za nim zatrzasnęły. Z korytarza dobiegały rytmiczne kroki straży, nieco dalej rozlegały się strzały i Jimmy zauważył, że to egzekucja.

- Będziemy musieli się nauczyć pewnej bezwzględności, jeśli chcemy przeżyć tę wojnę - rzekł.

„Querida”, nie potrafię Ci powiedzieć, co czuję,

pisał do Toni Derek. Nie przelewał słów na papier, lecz tej pierwszej przygniatającej nocy gromadził je w pamięci.

Choć nigdy nie siedziałem pod kluczem, znam to uczucie. Przywodzi niemal na myśl biuro, z niego jednak wracałem do domu, do Ciebie i Anny. Tutaj nie ma czego oczekiwać. Widywałem już rozpacz, ale wtedy miałem Ciebie. Zamknęli mnie z absolwentem Cambridge, człowiekiem z gruntu innym niż my. Przypominam go sobie stamtąd niewyraźnie i wiem, że coś nas wtedy łączyło. Mogłaby to być nienawiść - nie pamiętam. Coś w nim każe mi się czuć nieswojo i mieć się na baczności, ale właśnie dzięki temu nie popadam w depresję. Liczę, że nigdy sobie nie przypomnę, co to było, i modlę się, aby zniecacka nie przyszło mi do głowy. Jeśli on wie, co to takiego, nie mówi o tym. Próbuje mnie rozśmieszać,

czasem skutecznie. Lży strażników i gdyby rozumieli po angielsku, na pewno by go rozstrzelali. Jego wulgarność przyprawia mnie o dreszcze, a zarazem pozwala zachować zdrowe zmysły. Tą swoją odwagą i niewybrednym poczuciem humoru pomaga mi przetrwać; dzięki nim nie poddaję się zwątpieniu. Nie pogrążę się w rozpacz. Potraktuję to jako kolejny szary dzień w znieawidzonym biurze. Dzień może się wprawdzie przedłużyć, lecz wiem, że czekasz na końcu tego tunelu. Chwilowo nic sobie z niczego nie będę robić. Tak bym chciał mieć tu kogoś, z kim mógłbym się dzielić różnymi rzeczami. Nie Ciebie, kochanie, bo nie chciałbym Cię na to narażać. Tylko kogoś zdolnego odczuwać, i tyle. Od wielu godzin nie mogę zaznać snu, a noc za oknami jest obca.

Życie w następnych dniach stało się znośne. Byli wprawdzie brudni, głodni i bladzi, ale Hedges wciąż robił zabawne uwagi.

- Zawsze może być gorzej - mówił, albo: - Inni płacą grube pieniądze, aby stracie na wadze, nas Japońce odchudzają za darmo.

Rzeczywiście z biegiem czasu malały racje żywnościowe, zaczęli natomiast rozpoznawać strażników, pozwolono im wychodzić na dwór i zażywać ruchu, rzadziej też ich bito. Po upływie dwóch miesięcy i jednego dnia od upadku Singapuru zaprowadzono ich do gabinetu dowódcy. Kazał im się ogolić, zwrócił tornistry i powiedział, że będą się mogli wykapać.

- Dzisiaj nas nie zastrzelą - rzekł Jimmy, a gdy dostali większe niż zwykle porcje jedzenia, dorzucił: - Nie tuczyliby nas teraz, prawda, no i po co by nas szorowali? Tylko Japończycy mogą umierać czyści.

Później, świeżo ogolonych, ubranych i nakarmionych, przedstawiono w innym pokoju japońskiemu oficerowi, który odnosił się do nich serdecznie, przemawiał łagodnym głosem, częstował zieloną herbatą i papierosami. Poinformował ich, że odbędą podróż, spytał, czy są dobrze traktowani, i oznajmił, że z Japonii płynie na ich spotkanie inny oficer. Dał im trzydzieści minut na przygotowanie się do drogi.

Te pół godziny przedłużyło się do jednego, a potem dwóch tygodni. W końcu, wyprowadzeni nocą, wyruszyli pod eskortą dwóch uzbrojonych oddziałów i po dwugodzinnym marszu dotarli do miejsca przeznaczenia.

Był nim duży, stary budynek kolonialny z długimi korytarzami, kolumnami i ogrodem. Jeńców umieszczono w oficynie, w celi z dwoma łózkami, trzema krzesłami i stołem. Panowała tam czystość i tej nocy dobrze spali. Rano zjawił się oficer japoński i powiedział, że nie zmieniają zakwaterowania do rozpoczęcia misji. Chwilę z nimi porozmawiał, zadał parę bezosobowych pytań, na które nie spodziewał się odpowiedzi, po czym kazał im czekać i wyszedł.

- Nastąpiła pewna poprawa - rzekł Hedges. - Przynajmniej wiedzą, że tu jesteśmy.

5.

W dzieciństwie nazywano go Cho-chan, motylkiem. Lubił krążyć po domu z wyciągniętymi ramionami i upuszczać różne rzeczy na drewniane podłogi. Rozśmieszał ludzi, śpiewał, często usypiał coś recytując. Ładnie rysował kwiaty dla

matki i wciąż chichotał. Obserwował lekcje podawania herbaty odbywające się w domu, po czym naśladował panie. I chciał wyemigrować do Brazylii jak jego wuj.

Wysoki jak na swój wiek, z pucołowatą, okrągłą niczym księżyc w pełni twarzą i mocnymi, umięśnionymi nogami, rósł w takim tempie, że buty czy ubrania pasowały na niego najwyżej przez cztery miesiące. Mimo iż taki duży, cieszył się sympatią mniejszych przyjaciół, którzy przychodzili codziennie, spragnieni jego pogodnego, miłego towarzystwa. Umiał gotować zupy, warzyć piwo, kroić surowe ryby na małe, apetyczne kawałki, mleć gorczycę, kroić jabłka i rzodkiewki. Umiał śpiewać, opowiadać zabawne historyjki i zawieszać głos, aby inni mogli się pośmiać.

Później, na tokijskim uniwersytecie Keio, nikt nie wiedział o jego dzieciństwie. Keichi Katsumata nie od urodzenia był dobrodusznym olbrzymem. Stał się nim przed dwudziestką. Nikt też nie ośmielał się nazywać go w oczy „dobrodusznym olbrzymem”. Nawet ci najbardziej wojowniczy. Na uniwersytecie ceniono potężnie zbudowanych chłopaków. Jego duża twarz w chwilach powagi budziła szacunek zrodzony ze strachu. Kiedy się odzywał swym czystym barytonem, w pokoju zapadała cisza. W ostatnich latach studiów rzadko się uśmiechał, a wtedy twarz mu jaśniała jak milion lampionów i świat należał do niego. Nieliczni jednak widywali jego uśmiech w okresie, gdy dojrzewał i na brodzie wysypywał mu się zarost. Niewiele miał powodów do radości w zmieniającym się wówczas świecie.

Keichi przybył do stolicy w roku 1931, w dobie nasilania się nacjonalizmu. Na politycznym niebie jego rodzinnej Japonii zbierały się szare chmury wojny, opadały na pola ryżowe

i rozniecały ogień, który miał z czasem niszczyć.

Zanosiło się na odrodzenie dawnej potęgi. Na ulicach odbywały się marsze, mordowano wysoko postawionych ludzi. Wymuskana, ulizana armia cesarska pucowała swą broń do połysku. Za morzem dekadenska Azja czekała, aż ją ktoś zdobędzie, przeobrazi i poprowadzi. Wielkie okręty i samoloty schodziły z linii produkcyjnych, by oczekiwać wezwania pod sztandary, przypominać narodowi o Port Artur i zwycięstwie odniesionym w Rosji nad białym człowiekiem. W powietrzu wyczuwało się gorączkę. Żarliwi młodzi oficerowie strzelali do swych umiarkowanych generałów, tworzyli partie i polityczne grupy nacisku. Pragnęli rozpętać i prowadzić wojnę, lecz Keichi Katsumata chciał pojechać do Brazylii.

Przez parę lat brał lekcje hiszpańskiego i tak opanował ten język, że mógł rozmawiać z nauczycielem, półkrewi filipińskim gitarzystą z Yoshiwara. Gwarzyli o flamenco i corridach, a jak zapewniał gitarzysta, Keichi mógł podróżować po całej Ameryce Południowej czy Hiszpanii bez obawy, że się zgubi. Ale jego nie interesowała cała Ameryka Południowa ani Hiszpania. Chciał pojechać do Brazylii, do brata swojej matki, o którym pod koniec lat dwudziestych wszelki śluch zaginął. Podobno miał tam wiele *tsubo* ziemi, konie i żonę. Hokkaido, rodzinną wyspę małego Keichi, odwiedził tylko raz, i wtedy wywarł na chłopcu niezatarte wrażenie. Często się uśmiechał, mełł językiem, słuchał płyt gramofonowych, wytańcowywał, pogwizdywał i obściskał ludzi. Ojciec małego Keichi ani żaden mężczyzna w rodzinie nic podobnego nie robił. Wuj uchodził za troszkę ekscentrycznego i opowiadał o upale, piaszczystych plażach, dżungli i muzyce w kraju, gdzie zamieszkał.

Mówił o możliwościach na przyszłość, o złocie, owocach tropikalnych i ciepłym morzu. Nigdy jednak nie wspomniał chłopcu, że w Brazylii mówi się po portugalsku.

Tak to Keichi na ostatnim roku studiów nabył biegłości w niewłaściwym języku. Pisywał do gazety uniwersyteckiej i marzyła mu się kariera dziennikarska. Gdyby ją obrał, mogliby go wysłać za ocean, a tam jakoś połączyłby się z wujem. Ojcu nie zależało na tym, co studiuje, dopóki był na Keio, pamiętał, skąd pochodzi, i nie przynosił wstydu rodzinie. Z ojcowskiego punktu widzenia uniwersytet oznaczał konieczną stratę czasu. Wszyscy mężczyźni członkowie rodu Katsumata tam jednak studiowali, a następnie wracali, aby zgodnie z rodzinną tradycją zająć się przetwórstwem rybnym. Był Keichi robił to samo, mógł się uczyć, czego chciał. Dobrym pomysłem wydawało się prawo i posłusznie został prawnikiem. Tak czy owak, poszuka w Brazylii złota, ale to pozostało tajemnicą.

Plany jego znała jedynie sympatia z lat dzieciństwa, Misato, z którą się ożenił w roku 1935, mając dwadzieścia dwa lata. Zgodzili się, że razem pojedą do Brazylii, lecz realizację planu opóźniły narodziny Yoshiro. Na razie spakowali manatki i popłynęli na północ, na Hokkaido, pozostała tam jednak tylko młoda matka z synkiem. Keichi, w pełni wykształcony prawnik, po powołaniu do wojska został wysłany na zachód do Mandżurii, podbitej przez Japonię w roku 1931, gdzie miał zabezpieczać kolej.

W głębi duszy Keichi Katsumata nie cierpiał wojska. U progu zwycięstw nie było to nastawienie popularne. Nie mógł o nim powiedzieć żonie, a po latach również synowi. Żadne z nich nie pojęłoby, ile wycierpiał jako porucznik Cesarskiego Korpusu Ekspedycyjnego. Misato była patriotką,

a dwóch jej braci miało polec w Birmie za cesarza.

W przewidywaniu wczesnego lądowania w Singapurze Katsumatę odwołano i wysłano na intensywny kurs angielskiego i malajskiego. Pomogły mu wrodzone zdolności językowe, ponieważ zaś umiał myśleć w obcym języku, nieźle opanował te dwa kolejne, choć jego ukochanym pozostał hiszpański. Uważał go za swój bilet do Brazylii.

Ze względu na kwalifikacje przeniesiono go do wywiadu i wysłano na szkolenie pod Nagoję w środku Honsiu. Miał się zapoznawać z metodami przesłuchiwania, gdy uznano, że bardziej się przyda na Filipinach, i w czasie przygotowań do kampanii filipińskiej jeszcze przed zakończeniem kursu przeniesiono go do pułku artylerii. Ponieważ w Tokio zaginęły jego akta, został odkomenderowany do dowództwa, zanim nauczył się strzelać z armat. Brakowało dla niego miejsca w szeregach, więc otrzymał rozkaz wyjazdu do Osaki. Ktoś w ministerstwie wojny uznał, że należy go zrobić oficerem łączności i nauczyć radiokomunikacji. Zdobył pewne kwalifikacje tylko po to, aby trafić na placówkę w Bangkoku, nie jako radiotelegrafista, lecz jako attaché kulturalny japońskiej ambasady w tym mieście. Miał za zadanie uczyć Tajów bardziej agresywnego, śmielszego sposobu myślenia i czytywał długie memoranda przesyłane w związku z tym przez ministerstwo spraw zagranicznych. Osiągnął niewiele i spokojnie spędził czas w Bangkoku.

Wojna szalała, a mimo to ani jednego strzału nie oddał w gniewie. Wrócił do Japonii na urlop, przerwany nadejściem depeszy z nowymi rozkazami. Miał się stawić w zdobytym

właśnie Singapurze. Nie podano mu przyczyny tego przydziału ani żadnych szczegółów. Popłynął do podbitej kolonii.

W zaraniu konfliktu wyspę Hokkaido omijały działania wojenne. Morze obfitowało w ryby, a źródła i rzeki w łososie; zimą śnieg nadal padał w górach. Trasy morskie były bezpieczne dla okrętów pod niezwykłą flagą ze Wschodzącym Słońcem. Rybacy śpiewali pieśni z Hakodate i nie brakowało jabłek. Małemu Yoshiro, ubranemu w marynarski mundurek, kazano szczyć się ojcem. Od chwili podboju Mandżurii armia cesarska panowała prawie niepodzielnie nad życiem w Japonii i chłopca uczono pieśni wojskowych, pokazywano mu na mapie miejsca zwycięstw, nakłaniano go do modlitw, aby ojciec okrył się chwałą. Donoszono wyłącznie o sukcesach i Mi sato stała się żarliwą poplecniczką wojska. Sam Keichi Katsumata natomiast pozostał nietknięty wojennym szaleństwem, a sukcesy militarne nie wywierały na nim wrażenia. Nie lubił krótkich, zwięzłych słów komendy, nie ufał wyższym oficerom, z których armia robiła współczesnych siogunów. Nie cierpiał służalczości, do jakiej wobec niego, oficera, zmuszano rekrutów. Tego odruchowego, ślepego posłuszeństwa okazywanego złotym naszywkom, dziełu rąk ludzkich. Nie znosił hierarchii służbowej, która z ludzi czyniła roboty, wstręt budziły w nim absurdalność wojny i małoduszność podoficerów. Najbardziej zaś brzydził się ponurą jednolitością całego systemu. W drodze do Singapuru myślał, że znów skierują go w niewłaściwe miejsce. Dusił się, nudził, znów czuł ból w piersi, bo zaczął palić papierosy. Nie miał z kim porozmawiać i wkrótce stracił wrodzoną żywość, pograżył się w milczeniu, zamknął w niesłychanie posępnej skorupie. Co będzie, jeśli obecne zadanie okaże się wyprawą z motyką na słońce? W nocnym upale samotnie przemierzał

pokład. Pod bosymi stopami wyczuwał deski i żałował, że nie płynie do Brazylii, na spotkanie z wujem.

6.

W porcie panował skwar i ruch. Keichi Katsumata nie znał Singapuru, za relingiem dostrzegał przede wszystkim obecność armii cesarskiej. Ani śladu cywilów prócz tych, którzy uprzętaali wraki tłących się ciężarówek. Jak okiem sięgnąć, dumnie powiewało czerwone Wschodzące Słońce, migotliwie odbijane przez zielone wody. Ludzie w mundurach roili się dokoła niczym niewyraźne, posłuszne mróweczki. Wiedział, że muszą gdzieś być palmy i bugenwille, i budynki kolonialne z czerwonymi dachami, lecz tylko żar lejący się z nieba witał w Singapurze jego okręt.

Miasto na wyspie weszło w skład świeżo powiększonego Cesarstwa Japonii. Keichi wiedział, iż cesarstw nie buduje się wyłącznie modlitwami i że w końcu sam stanie się trybem w morderczej maszynie, której mundur tak długo nosił. W głębi duszy trochę się wstydził.

W porcie panował duży ruch. Wciąż ładowano i wyładowywano drewniane skrzynie różnych rozmiarów. Były działa polowe i przeciwlotnicze, szeregowcy i oficerowie z szablami, ciężarówka wojskowa.

Port, który sobie wyobrażał, utracił koloryt. Brakowało plecionych koszy, sieci rybackich, rotangu i cywilów, jakich widywał oczami duszy.

Na Hokkaido powietrze było chłodne, góry odbijały echo pieśni rybackich o zachodach słońca i miłości. Lecz wyspa

Hokkaido leżała daleko, tutaj dźwigi skrzypiały pod ciężarem śmiercionośnego metalu. Zrobiło mu się smutno, kiedy szedł po schodni.

W dole dostrzegł grupkę młodszych oficerów. Jeden podniósł na niego wzrok i zawołał go po nazwisku. Katsumata. Zabrzmiało to szorstko i okrutnie, jak przekleństwo. - Tak, to ja - odparł ze skinieniem głowy, na co najmłodszy z grupy podszedł do stóp schodni, ściskając swą długą szablę. Przystanął, zasalutował, uklonił się i z przepraszającym uśmiechem wziął bagaż Keichiego.

- Proszę za mną - warknął, a jego uśmiech stał się surowszy, po czym zniknął. - Czekaj na pana samochód. Musi pan być kimś ważnym. - W oczach młodego człowieka błysnęło zaciekawienie. - To pierwszy samochód, do jakiego się zbliżam po zaprzestaniu walk.

Keichi chciał zobaczyć miasto. Tropikalne zapachy, drzewa i kwiaty, które przetrwały ogień ciężkich dział, z pewnością będą tak jak te w Recife. Wuj przysłał kiedyś stamtąd kartkę, ale Keichi nie pamiętał widoku. Pamiętał tylko słowa ojca, że to port tropikalny ze statkami takimi jak te w Hakodate, lecz stojącymi bezładnie. Zdaniem ojca Recife wyglądało na miasto prymitywne, upalne i odpowiednie wyłącznie dla dzikusów.

Kiedy Keichi wyraził ochotę zwiedzenia Singapuru, tamci pokręcili głowami. Niemożliwe, oświadczyli. Muszą ruszać na spotkanie z Taisho, który ma omówić z porucznikiem Katsumata ważne sprawy i nie powinien czekać. Z zaciśniętymi ustami, tuląc do siebie swe szable, jechali przez miasto. Młody prowadził, omijając wyboje, gruz i martwe konie. Widzieli Chińczyków, Malajów i Hindusów, którzy sprawiali wrażenie głodnych. Przez ulicę boso przebiegła matka z dzieckiem; stawiała drobne, szybkie krocзки, z popielatą

twarzą ściskając obdarte dziecko w ramionach. Czy Misato i Yoshiro zaznają głodu? Nie Misato. Jest zbyt dumna. Nie oparłaby się pokusie zażycia trucizny, gdyby jej ukochana Japonia miała przegrać wojnę.

Mijali setki pustych sklepów i rikszy. Przy drodze walały się bardzo nieliczne samochody, na ogół wypalone wraki w agonalnych pozach. Grupami maszerowali żołnierze, były wysadzone drzewami aleje, więcej gruzów i słodki odór śmierci. Samochód się zatrzymał i pośród dalszego salutowania i ukłonów wprowadzono Keichiego do gabinetu Taisiho. *Znowu szczekanie* - pomyślał - i spora szansa na to, że będzie godzinami stać na baczność, słuchać, a może odszczekiwać na znak zgody.

W długich, ciemnych korytarzach starego budynku panował chłód. Keichi dostrzegł ozdoby na ścianach, zachwycił się pozostałymi żyrandolami. Musiało tu być spokojnie, nim pokój diabli wzięli. Przenikliwy wrzask rozdarł mu uszy.

Kilku żołnierzy wlokło osłabionego jeńca w stronę Katsumaty i jego towarzyszy. W oczach jeńca malował się ból, a nad jego podartym mundurem strużki potu mieszały się z krwią. Był młody, o ciemnej skórze, zbyt ciemnej jak na Chińczyka, a przy tym wyższy, okrąglejszy na twarzy. W przejściu popatrzył na Katsumatę. Zwolnił teraz, jak zwierzę w ludzkiej skórze, ciągnięte na smyczy. Wargi miał suche, spękane, pałał nienawiścią. Próbował plunąć porucznikowi w twarz, lecz nie zdołał popchnięty do przodu kolbą karabinu.

Przez chwilę nic się nie działo. Keichi słyszał jedynie kroki na marmurowej posadzce, po czym coś rozdarło ciszę. Wszyscy przystanęli i rozejrzeli się dokoła. Mężczyzna w nagłym przypływie ukrytej, nieoczekiwanej siły wyrwał się eskortie i pobiegł.

Zabrzmiały okrzyki, rozległ się strzał i jeniec upadł z cichym jakby kasznięciem. Zadygotał, następnie znieruchomiał. Grupka żołnierzy zawróciła i ruszyła dalej. Oni widzieli już śmierć, ale Keichi poczuł ucisk w żołądku i zebrało mu się na wymioty. Ścisnął szablę i trzymając ją poszedł przed siebie.

Korytarz ciągnął się w nieskończoność. Na ścianach widniały jasne prostokątne plamy. *Dawniej wisiały tu obrazy* - pomyślał Keichi. Duże cudzoziemskie obrazy, sielskie sceny z życia na wsi angielskiej. Wielkie domy, konie, psy myśliwskie. Czerwone kurtki, a może stare żaglowce.

Przystanęli przed drzwiami. Zorientował się, że prowadzą do gabinetu Taisho, ponieważ twarze wokół niego skamieniały. Ktoś zdobył się na odwagę, zastukał i gniewny głos odkrzyknął zza grubych dębowych drzwi. Kiedy się otwarły, Keichi wmaszerował do środka, skłonił się i zasalutował. Taisho siedział przy dużym biurku, zajęty podpisywaniem jakichś papierów. Był mężczyzną w średnim wieku, o dobrej twarzy.

- Niech pan siada - rzekł nie podnosząc wzroku.

- Za chwilę się panem zajmę. - Miał głos inteligenta, akcent człowieka wykształconego. Położył pędzelek i odchylił się na oparcie krzesła. - Mam nadzieję, że podróż się udała. - Nie czekał na odpowiedź. - Jak tam pana birmański?

W wojsku znów to zrobili. Pomylili języki, miejsca, ludzi, wszystko.

- Hiszpański. Ja mówię po hiszpańsku, nie po birmańsku - odparł i o mało się nie roześmiał.

- Zabawne - rzekł Taisho. - Zabawne. - Zajrzał do akt i jeszcze raz powtórzył „zabawne”. Zadzwoił na ordynansa o surowej, pokrytej bliznami twarzy, ostatni raz powtórzył „zabawne”, po czym kazał podać herbatę. Nie potrzebował

mówić nowo przybyłemu, że też kończył uniwersytet Keio. Miał coś w sobie. Stwarzał znajomą atmosferę, przypominał o budynkach, scenach i wykładowcach, pochodził z tego samego środowiska. Kiedy ordynans wrócił z filizankami wrzątku, Taisho warknął: - Zaczekajcie za drzwiami. Nie chcemy, aby nam przeszkadzano. - I zwrócił się do Katsumaty: - Mamy kłopot. Jest nam pan potrzebny, ale nie mówi pan po birmańsku, a my nie mamy czasu szukać kogoś innego. Jak tam pana angielski? Mówi pan, pisze i czyta w tym języku?

Keichi przytaknął. Chciał powiedzieć, że z angielskim ledwie sobie radzi, że jak dotąd zamienił w tym języku ze trzy słowa, wiedział jednak, iż Taisho rozumie.

- Będziemy musieli pana wykorzystać - stwierdził Taisho. - Zostało niewiele czasu. Wyruszy pan za dwa dni. I nie sam. Z dwoma oficerami brytyjskimi i dwoma Birmańczykami. Mieliśmy trzech Birmańczyków, ale jednego straciliśmy tuż przed waszym przyjściem. Dureń próbował uciekać. Proszę wypić herbatę, a ja opowiem panu o nowej pracy. Może pan nie zna birmańskiego, nadaje się pan jednak. I niech się pan postara, bo nie mam nikogo innego.

Keichi popijał herbatę, nie przyjął proponowanego papierosa i słuchał uważnie.

- Birmańczycy - mówił Taisho - nie doceniają roli Japonii. Niektórzy nie chcą wyzwolić się spod władzy dawnych mocarstw kolonialnych. W Birmie istnieją gniazda oporu. Brytyjczycy pomagają miejscowej ludności i niekiedy odnoszą umiarkowane sukcesy. Atak i ucieczka są skuteczne, lecz jak dotąd to najwyżej zakłócanie porządku. Zdaniem Taisho mało się o tym wie w kraju, toteż Keichi ma to zatrzymać przy sobie. Mówi mu się o tym dlatego, że wyrusza do Birmy

i musi mieć świadomość, co się tam dzieje. Na miejscu dostanie starszego oficera z doświadczeniem bojowym, który mu udzieli dalszych wskazówek.

Cóż za stek kłamstw - myślał Keichi. Według płynących z nim żołnierzy, w Birmie są tysiące partyzantów angielskich.

Nie będzie musiał osobiście pilnować jeńców. Dostanie do towarzystwa sierżanta i dwóch szeregowców. Grożą im pewne niebezpieczeństwa, sama misja jednak ma charakter polityczny. Jest ściśle tajna. Tylko on pozna jej rzeczywisty cel. Pozostali, tak jeńcy, jak i strażnicy, do ostatniej chwili nic nie będą wiedzieć, chociaż zaistnieje potrzeba poinformowania ich, dokąd się udają. Misja ma charakter delikatny - rzekł Taisho. Gdyby Birmańczycy o niej wiedzieli, mogliby podjąć próbę ucieczki tylko po to, aby ich zastrzelono. Brytyjczycy to oficerowie i nikt nie liczy na ich współpracę. Keichi popłynie ze swą grupą do Tajlandii, a potem pieszo poprowadzi ją do punktu, gdzie przekroczy granicę z Birma.

- Zapoznam pana z celem wyprawy - rzekł Taisho. - Wróg trzyma w górach jeńca japońskiego. Starszego oficera wziętego do niewoli w czasie nieoczekiwanego ataku partyzantów na górską placówkę. Wizytował ją tylko i razem z drugim żywy wpadł w ręce nieprzyjaciół, jak dotąd nieświadomych, kogo mają, podobnie zresztą jak wszyscy po stronie japońskiej. Oficer jest z kwatery głównej w Tokio i odzyskanie go to sprawa najwyższej wagi.

- Pan będzie musiał nakłonić wroga, aby go wymienił na dwóch oficerów brytyjskich lub Birmańczyków. Jeśli naszego człowieka trzymają partyzanci, może będzie trzeba zapłacić okup, w czym pomogą panu nasi ludzie w Birmie.

Taisho przyznał, że wszystko to jest wysoce nieprawidłowe, lecz oficera trzeba sprowadzić z powrotem. Posiada informacje, na których wojsku szalenie zależy, a ma je w głowie. Są one tak ważne, że mogłyby zmienić przebieg wojny. Nawet ją skrócić.

- Jak może armia tak wielką odpowiedzialnością obarczać jednego tylko człowieka? - zapytał Keichi.

- Ten drugi, również wzięty do niewoli, popełnił *seppuku*, ledwie ich złapano. Bał się, że mogliby go zmusić do mówienia. Jak dotąd wiemy na pewno, że starszy oficer żyje i dobrze się czuje, lecz należy prędko sprowadzić go z powrotem. Wie pan, naczelnego dowództwa w Tokio nie powiadomiono jeszcze o wzięciu go do niewoli. Musimy go tu mieć, zanim rzecz wyjdzie na jaw. To kwestia honoru. Honoru armii. Na pewno pan to rozumie?

Taisho chciał powiedzieć, że w przeciwnym razie pospadają z karków głowy. Keichi oczywiście rozumiał.

- Jak mogę podróżować po kraju z dwoma oficerami brytyjskimi? - zapytał.

- Będą we własnych mundurach aż do portu Pattaya w Tajlandii. Potem dostaną mundury niemieckie. Nikogo nie powinno to dziwić, skoro nawet najgłupszy Japończyk w Tajlandii wie, że Niemcy to nasi sprzymierzeńcy. Natychmiast po przekroczeniu granicy z Birmą *gaijin* mogą znów włożyć własne mundury.

Dwaj towarzyszący wam Birmańczycy są ludźmi bardzo ważnymi i dobrze znanymi. Chodzi o posłużenie się nimi, w razie gdyby starszego oficera trzymali w niewoli partyzanci birmańscy. W takim wypadku zabije pan *gaijin* zaraz po dokonaniu wymiany. Gdyby nieprzyjaciel chciał *gaijin*, zabije pan Birmańczyków. To wszystko. Oczekuję, że niezależnie od

tego, co się okaże, nie sprawi pan zawodu. Naszego człowieka trzeba odnaleźć i dostarczyć do Bangkoku. Eskortę wysłać na front niezwłocznie po waszym powrocie. Żaden z nich stamtąd nie wróci, jeśli pan wie, co to znaczy. Podoficerowie zwykli gadać, a misja ma pozostać tajna nawet po swym zakończeniu.

Mamy jednak problem, naprawdę poważny. Ten oficer nie chce wracać. To będzie rzeczywisty sprawdzian pańskich umiejętności. Będzie pan musiał skłonić go do odejścia, na pewno wbrew jego woli, i dostarczyć mi go do ambasady japońskiej w Bangkoku. Tam będę was oczekiwać w dwa tygodnie po waszym przybyciu do Tajlandii. Nikomu innemu nie wolno go przekazać.

Taisho zrobił zaciętą minę.

- Nikomu, zrozumiano? Jeśli mnie tam nie zastaniecie, będzie pan musiał go stracić. To rozkaz. Wiem, że wydaje się to dziwne, ale kiedyś, po zakończeniu tego wszystkiego, może panu wyjaśnię, o co chodziło.

W tym momencie Taisho z twarzą znów łagodniejszą dodał:

- Mamy wojnę, Katsumata. Ludzie giną na wojnach. Ci dwaj *gaijin* to zaledwie przynęta, więc można się ich pozbyć. Złapano ich tutaj. W barze. Nie w walce, gdzie przynosiliby zaszczyt swojemu krajowi. Jeden, lekarz wojskowy, nazywa się James Hedges. Drugi to porucznik Derek Pritchard. Trochę do pana podobny. Delikatny, wykształcony, poważny. Mógłby być przyjacielem, gdybyśmy nie toczyli wojny z Anglią. Ten człowiek nie ma szczęścia, Katsumata. Nie ma szczęścia, bo nieprzyjaciel z całą pewnością będzie wolał wziąć Birmańczyków.

„Trochę do pana podobny”, powiedział Taisho. Czy to znaczy, że on też nie będzie miał szczęścia? Jak sierżant i

szeregowcy? Czy uciszą go w ten sam sposób? Twarz Taisho rozjaśnił uśmiech. Rozlał się po niej wolno, jakby pod kontrolą.

- Napijmy się jeszcze herbaty - zaproponował.

- Przy takim upale ma się pragnienie. Nie muszę powtarzać, że wszystko jest ściśle tajne. Nikt nie będzie pamiętać o tej misji.

Pochylił się do przodu i zadzwonił.

- Z wyjątkiem nas dwóch, naturalnie. Pana i mnie. Pozostali zginą.

W planie Taisho czegoś brakowało. Czy coś ukrywa? Keichi nie spodziewał się usłyszeć całej prawdy, ale coś tu nie gra. Jedno nie pasuje do drugiego. Dlaczego armia miałaby używać aż takich środków dla człowieka, który nie chce odzyskać wolności? Dlaczego operacja jest taką tajemnicą?

Manipulują nim, ale przecież dlatego ubiera się ludzi w mundury, a on jest oficerem i wykona rozkazy.

- Ten ordynans jest przygłuchy - rzekł Taisho. - Niech pan otworzy drzwi i zobaczy, gdzie się dureń podziewa.

7.

Nazajutrz zaprowadzono Katsumatę na spotkanie z dwoma oficerami *gaijin* do budynku wśród ogrodów należących do domu, gdzie urzędował Taisho. Kiedy wszedł do celi, jedli właśnie zupę z cynowych talerzy. Rozkazał, aby strażnik i jemu przyniósł talerz, po czym zasiadł z nimi do posiłku.

- Co za cham - odezwał się jeden z nich. - Drań mógłby zapytać, czy pozwalamy mu kucać z nami.

Keichi nie całkiem zrozumiał słowa rudego oficera. Poprosił o ich powtórzenie, lecz właśnie wtedy wszedł strażnik z zupą, tamten się roześmiał, a Keichi mu zawtórował. Drugi porucznik, ten blady, mówił niewiele i Keichi domyślił się w nim Pritcharda, którego Taisho nazwał człowiekiem delikatnym i wykształconym. Keichi zapragnął z nim porozmawiać, ale siedząc tak razem z nimi, doznał silnego i niewytłumaczalnego uczucia skrepowania. Hedges okazał się bardziej gadatliwy. Jest lekarzem - powiedział - a wojna go dogoniła, zanim zdążył rozpocząć praktykę.

Strażnik przyniósł koszyk owoców, trochę gorącego ryżu i Keichi poczęstował jeńców. Rudowłosy oficer już rozmawiał swobodnie, Pritchard też dorzucił parę uwag. Dyskutowali o wojnie i zastanawiali się, dlaczego Brytyjczycy nie zbombardowali Singapuru. Keichi przeprosił za swą łamaną angielszczyznę i napomknął, że lepiej mówi po hiszpańsku. Porucznik Pritchard oświadczył, że zna ten język, bo walczył w hiszpańskiej wojnie domowej i ma żonę Hiszpankę, więc prz rzucili się na hiszpański. Pritchard tłumaczył fragmenty rozmowy Hedgesowi, ale ten usnął, oni zaś nie przerywali.

Katsumata przypomniał sobie czasy spędzone w Tokio, lekcje u muzyka półkrwi filipińskiej i pragnienie wyjazdu do Brazylii. Próbował nauczyć *gaijina*, jak się robi ptaki ze składanego papieru.

- Wspólnie wyruszamy z misją - poinformował Pritcharda po hiszpańsku. - Jeśli ją spełnimy, może to oznaczać dla was koniec wojny. Więc powinien pan uważnie wysłuchać szczegółów i zachęcić do tego porucznika Hedgesa.

Zdziwił go ton własnego głosu, władczy i wojskowy, choć niechybnie jego. Musiał ich w pewnym stopniu zaznajomić

z planem, dużo bowiem zależało od współpracy. Przez wiele dni mieli podróżować razem, w towarzystwie innych jeńców i paru strażników. Próba ucieczki nie miałaby sensu, gdyż droga prowadzi przez tereny przyjazne Japonii. Wiedział, że każdy jeńiec wojenny ma obowiązek podjąć taką próbę ucieczki, lecz efektem misji mogło się stać ich uwolnienie. Równie dobrze mogą współpracować, pomóc armii cesarskiej w zapewnieniu im bezpiecznej, swobodnej przeprawy przez Tajlandię.

W miarę jak mówił, Keichi czuł coraz wyraźniej, że ci dwaj są jego prywatnymi gośćmi, że razem z nim spędzają czas w Tokio z jego lat studenckich. Ani słowem nie wspomniał, że mogą umrzeć. Wiedział, że może będzie zmuszony ich zastrzelić, jeśli starszego oficera wzięli do niewoli partyzanci birmańscy. Taki rozkaz dostał od Taisho, to zaś oznaczało, że ich okłamuje. Wstydził się, ponieważ przestrzegał starodawnego kodeksu *bushido*. Może dlatego, że jego życiu zagrażało równe niebezpieczeństwo. Może to nie wstyd, tylko strach.

Słuchali go, milcząc z powątpiewaniem i ze spokojnym, zdecydowanym wyrazem nieufności. Keichi go zauważył, lecz nie miał za złe. Pokazano mu trochę lokalnych gazet wydawanych przed upadkiem miasta i od deski do deski przeczytał egzemplarz londyńskiego „Daily Express” sprzed dwóch miesięcy. Jego naród wzbudzał nienawiść, armia zyskała sobie złą sławę z powodu gwałtów, mordów i grabieży, przywódcy nazywani byli kłamcami, oszustami, obłudnikami i tchórzami, a ziomkowie skośnookimi żółtymi karłami, zmierzającymi do podboju i ujarznienia świata. Tak *gaijin* postrzegali Japonię, on zaś był Japończykiem, więc tak musieli postrzegać i jego.

Żadnej wzmianki o ogrodach, drzeworytach, wierszach i balladach, o sztuce stworzonej przez jego rodaków. Ani słowa o ceramice Utamaru, Hiroshige czy Satsuma. On uosabia tego, kto wziął ich do niewoli, toteż może zamknąć za sobą drzwi, podczas gdy oni pozostaną za kratkami. Dla nich nie jest nawet człowiekiem. Tak to bywa na wojnie.

Na dworze zapadał mrok. Zieleń drzew z pastelowej zamieniała się w ciemną, barwy nieba z czerwonych na fiołkowe. Zachmurzyło się pod wieczór i zanosilo na deszcz. Keichi wstał.

- *Hasta mañana* - rzekł bez uśmiechu ani ukłonu. Wyciągnął rękę, a Derek Pritchard ją ujął. Drugi *gaijin* szydyczko pomachał mu od okna na pożegnanie.

8.

- O to się właśnie modliłem - powiedział Jimmy Hedges, ledwie drzwi się zatrzasnęły. - Ten duży małpizyon i jego misja pozwolą nam uciec.

- Uciec?

- Oczywiście. Przez wodę, tak jak z tej wyspy, to się nie uda, lecz Tajlandia i Birma stwarzają możliwości, mój chłopcze. Zwłaszcza Birma. Może zdołamy dotrzeć do Indii... a stamtąd na wolność.

- Porucznik Katsumata mówił jednak, że może nas wypuszczą, jak to się skończy.

- Nie bądź osłem, Pritchard. Nie zamierzają nas wypuścić. Japońskiemu oficerowi nie należy ufać.

- Ten wygląda na przyzwoitego faceta. Starał się, jak mógł

w danych okolicznościach. Zresztą nie znam aż tylu Japończyków.

- Dość się tych drani napatrzyłem, wystarczy mi do końca życia. Perfidna, kłamliwa, intrygancka rasa.

- Nie wolno potępiać całego narodu za to, że jego przywódcy źle postępują. Czy Mussolini przeszkodził ci słuchać Verdiego?

- Och, skończ z tym marzycielstwem, Pritchard. Niczego się w Hiszpanii nie nauczyłeś, co? Całe to gadanie o wybawianiu świata od Bóg wie czego.

- Hiszpania wyszła mi na dobre, Jimmy. Za żadne skarby świata bym jej nie przepuścił. Tam poznałem moją żonę. Niejednego nauczyłem się o ludziach. Ten Katsumata nie nawidzi swojej pracy bardziej niż ty jego.

- Jesteśmy jeńcami wojennymi, Pritchard, a nie uczestnikami seminarium. On udaje miłego.

- Ty nie rozumiesz po hiszpańsku. Nie odbierałeś tego bezpośrednio. Trzeba ci było widzieć jego oczy. Mimo munduru i szabli czytałem w jego duszy.

- Masz źle w głowie. Sądzisz, że natknęliśmy się tutaj na Alberta Schweitzera? A to, uważasz, jest Armia Zbawienia? Po zakończeniu tej misji... jakkolwiek ma cel... wystrzelają nas jak pieprzone króliki.

- Musisz być aż taki wulgarny?

- Wojna jest wulgarna. Do czego, według ciebie, jesteśmy im potrzebni?

- Nie mam pojęcia, powiedział jednak, że dla nas misja może oznaczać koniec wojny.

- I ma stuprocentową rację. Koniec, bo będziemy martwi. Mówię ci, to same łągarstwa, ale mniejsza z tym. Gdzieś po drodze damy drapakę. To przebiegły szubrawiec, jak oni wszyscy.

- Nie wierzysz, Hedges, w podstawową uczciwość człowieka. Nie dostrzegasz piękna podtrzymującego na duszy.

Tak, nawet w czasie wojny i niekiedy wśród wrogów. Musisz być bardzo samotny.

- Twoje współczucie przyprawia mnie o mdłości. Nie żałuj mnie. Ja potrafię uratować własną skórę. Mnie nie uspią. Planuje dla nas długą wędrówkę i popełni błędy. A wtedy my będziemy gotowi. W Bangkoku muszą być ludzie, którzy nam sprzyjają. Skoro te dranie tak traktują swoich sprzymierzeńców, są na pewno. Znajdziemy kogoś, jakąś neutralną ambasadę, kościół czy coś jeszcze. Wiesz, jacy są zniechęceni. Walczą nieuczciwie. Zapomniałeś o Pearl Harbor? Słyszałeś, co zrobili z tamtejszym szpitalem? Nie chcę rozwiewać twoich złudzeń, ale na litość boską, tłumacz każde słowo i obserwuj go, kiedy ja tego nie robię. Zobaczysz. Wkrótce pokaże pazury. Jak to na wojnie.

- Sam byłem na wojnie, nie zapominaj, i to okrutnej, bo Hiszpanie zabijali Hiszpanów, katolicy palili zakonnice. Wojny jednak nie trwają wiecznie, ludzie się zmieniają. Razem z nami walczył przeciw faszystom młody baskijski nauczyciel, który przeżył w mieście bombardowanie. Przyszedł ze swą nienawiścią aż do nas w góry. Ten ledwie cień człowieka umiał tylko zabijać rebeliantów. Tak nazywaliśmy wówczas faszystów. Stał się wyśmienitym nożownikiem. Jakby cichym mordercą. Bardzo przydatnym z punktu widzenia naczelnego dowództwa, choć w nas, przybyszach z zagranicy, budził niesmak. Zabił więcej falangistów niż ktokolwiek inny. Niepostrzeżenie zakradał się do ich koszar, czasem w przebraniu księdza czy tancerki flamenco. Dostał się do ich domów i często zarzynał osobę, która przypadkiem była w łóżku z jego ofiarą. I to nauczyciel, dasz wiarę? Dwudziestotrzyletni. W końcu musieliśmy zamykać przed nim jeńców na klucz.

- Chcesz powiedzieć, że mnie uważasz za mordercę?

- Nie, Hedges, bynajmniej. Alfonso... bo tak miał na imię... był podobnym mordercą jak ty czy ja. Po wojnie Alfonso Majcher wyemigrował do Anglii, otworzył restaurację i prowadzi w City przyzwoity lokal. Zaokrąglił mu się brzuszek, jest uśmiechnięty od ucha do ucha, ma żonę i dwójkę dzieci.- Nóż do ręki bierze tylko wtedy, kiedy kroi pieczeń. Zaprowadzę cię tam po wojnie, jeśli zechcesz. On tak jak ty, Hedges, umie ratować własną skórę, ale przestał nienawidzić, daje głowę. A pewnego dnia, gdy Hiszpania odzyska wolność, powróci do kraju Basków, kupi gospodarstwo czy coś innego i będzie patrzył, jak dorastają wnuki. U niego w domu wojna domowa stanowi zakazany temat. Chyba nigdy nie mówił dzieciom, że brał w niej udział. Tylko ci, co nigdy nie walczyli, zgrywają się na bohaterów.

Nie wiem, naturalnie, co ten Katsumata robił przed wojną, ale mogę ci zaręczyć, że rzuci mundur i szablę zaraz po jej zakończeniu. I jeszcze jedno, Hedges, podobnie jak Alfonso Majcher nie będzie jej zachwalać swemu synowi.

- Koniecznie chcesz z niego zrobić świętego. To japoński oficer, a my toczymy wojnę z Japonią.

Posłużenie się nami w tej operacji musi im być na rękę, ale on nie mówi całej prawdy. Przekonamy się, jeśli dożyjemy.

Derek na próżno się wysilał. Przygnębiony tym niespożyтым cynizmem powiedział:

- Mężczyzna o głosie i uśmiechu Katsumaty nie może być zły z kośćmi. Morderca nie siedziałby i nie pokazywał, jak się robi papierowe ptaszki.

- Bzdura.

Czyżby Hedges miał rację? Czyżby japoński porucznik mimo wszystko był draniem? Czy on sam rzeczywiście jest marzycielem albo, co gorsza, zdrajcą ojczyzny, bo czuje pociąg do wroga? No, ale Katsumata mówił do niego po hiszpańsku. Językiem, który przypominał mu młodość, dawne ideały - i coś więcej. Przeprowadził do celi jego żonę.

Przyszła już kiedyś do niego. Raz. Wkrótce po tym, jak wylądował w Singapurze.

Spędzał wieczór w towarzystwie młodego szkockiego oficera. Oglądali występy w nocnym klubie pod gołym niebem, a na scenie pojawili się trzej filipińscy gitarzyści i zaczęli śpiewać. Dziwnie było słuchać hiszpańskiej gitary wywnętrzającej się pod orientalnym księżycem. Zagrali żywą wersję „Granady”, potem „Malagenę”, „Amapole” i wszystkie inne melodie, do których znał słowa. Siedział oczarowany, gdy nagle poczuł na ramieniu dłoń Antonii. Słyszał jej głos przepływający mu koło ucha, czuł, jak ociera się o jego udo. Nie śmiał drgnąć, aby nie spłoszyć zjawy, i Antonia pozostała z nim, dopóki Filipińczycy nie zeszli ze sceny.

Ten występ był ostatnią imprezą pod gołym niebem, zorganizowaną przed atakiem Japończyków, i Derek nigdy już nie zobaczył młodego Szkota. Po raz ostatni słuchał wtedy dźwięków muzyki.

Po zgaszeniu światła i cicho wymamrotanym „dobranoc” Hedgesa, powiedział „*Buenas noches*”. Język, którym się posługiwali, pozostał w celi długo po wyjściu porucznika Katsumaty, w łóżku zaś Derek wyczuwał bliskość żony, jej bardzo żywą obecność. Wiedział, że Antonia za nim tęskni, i gorąco jej pragnął. Nie próbował myśleć logicznie ani analizować jej przyjsścia. Nie widział nic nadzwyczajnego w tym, że się zjawiała po wizycie japońskiego oficera, nie było nic

zdumiewającego w ich rozmowie bez słów ani w dotyku drobnej ręki, która ocierała mu pot z czoła. Antonia po prostu mówiła do niego i słuchała, a panowała między nimi zwykła subtelna harmonia. Antonia się skarżyła, że ostatnio do niej nie pisał, na co odparł, że owszem, lecz nie mógł przelać słów na papier. Pytał o Annę i dom, ona opowiadała mu o wojnie, bombach, brakach w zaopatrzeniu i zapewniała, że przeżyją.

„Pamiętasz, jak przez tydzień płynęliśmy z Barcelony do Marsylii? - usłyszał jej pytanie. - Nie mieliśmy co jeść, ale przeżyliśmy wtedy i teraz będzie tak samo”. Mówiła, że doszły tylko trzy jego listy, ale czuła się taka szczęśliwa. Czytała je w kółko sobie i Annie. W celi było ciemno, a kiedy wreszcie powiało chłodem i pot zaczął wysychać, Derek zadygotał i okrył ich oboje prześcieradłem. Usłyszał własne pytanie, czy łóżko nie jest za wąskie, i jej śmiech. „Ja prawie nie zajmuję miejsca - odparła. - Zapomniałeś, jak śmiesznie maleńką masz żonę?”

Nie zapomniał niczego, co jej dotyczyło. Wyciągnął do niej rękę, odnosząc wrażenie, że pręży się podniecona. Napomknęła o ich ostatnim spotkaniu wtedy, kiedy śpiewali Filipińczycy, on zaś próbował się do niej zbliżyć i pragnął jej coraz bardziej.

- Przestań się wiercić, Pritchard. Próbuję zasnąć -burknął Jimmy Hedges.

Derek przeprosił, mruknął coś o upale i obaj usnęli, a on znowu był sam. Spędziła z nim długi czas, więc teraz mógł rozmyślać o niej we śnie, czuć gładkość jej skóry.

O świcie nasłuchiwał odgłosów odchodzącej nocy. Obudził go wiatr, gdy zakołysał starymi palmami, które pniami ocierały się o drewniane ściany. Derekowi dokuczał upał i słaby głód.

Po brukowanym dziedzińcu w tę i z powrotem maszerowali żołnierze, więc się zastanawiał, czy Katsumata też nie śpi. Obiecał przyjść do nich rano. Czy nie dałoby się go poprosić o papier listowy i pióro? Antonia mówiła, że nie dostała listu z Port Saidu. Derek dobrze pamiętał jego treść, więc bez trudu napisałby to samo. Po wojnie mogliby je porównać.

Na dworze zmieniano warty, żołnierze prezentowali broń, ostre słowa komendy przeszywały powietrze. Hedges prześpałby burzę z piorunami, Derek natomiast miał sen lekki. Myślał o wierszu do Antonii, w którym opisałby, jak przyszła do niego w nocy. Niebiańska rosa padająca łagodnie na suche tropikalne liście. Albo coś takiego. Ale znów zasnął i obudziło go dopiero pokrzykiwanie strażnika za drzwiami i przekleństwo, którym Jimmy powitał poranek. Wydłużający się promień słońca sięgnął do celi. Dostali obfitsze niż zwykle śniadanie, a choć znów była to wieczna zupa w cynowym talerzu, pływało w niej więcej ryżu i kawałek ryby.

- Tuczą nas, żebyśmy się nadawali do zjedzenia - zauważył Hedges. - Jak Jasia i Małgosię. Jadłeś kiedyś śniadanie w pociągu jadącym z Londynu na zachód? Przed wojną podawali tam wędzone śledzie. Jakże chętnie zjadłbym jaja na bekonie na dodatek do tego świństwa. Jestem zagłodzony.

- Ja nie bardzo. Jeśli chcesz, weź moją porcję. Jedna łyżka mi wystarczy.

Podał talerz, a Hedges przelał sobie połowę zupy.

- Weź wszystko, Jimmy - powiedział Derek, lecz tamten odparł, że i on musi jeść.

- Popatrz na siebie. Skóra i kości.

9.

- Widział pan już kiedyś egzekucję? - zapytał Taisho.

Jedli śniadanie w jego gabinecie.

- Śniadanie to najważniejszy w ciągu dnia posiłek - oświadczył Taisho. - Francuskie jest bardzo małe: kawa i croissanty. Dlatego Francuzi przegrali wojnę. To Anglicy mnie zdumiewają. Urządzają sobie ucztę. Wie pan, że jedzą jaja na bekonie, kielbaski, rybę z rusztu? Ja wiem, bo kiedyś spędziłem dwa miesiące w Europie. To nic wielkiego - dodał z błyskiem w oku.

- Co, proszę pana?

- Egzekucja. - Taisho dłubał w zębach nie odrywając wzroku od zupy. Katsumatę ogarnęło przerażenie. Miał nadzieję, że Taisho nie zauważył, jak krew odpływa mu od twarzy. O mało nie zwymiotował. Głęboko wciągnął w płuca powietrze, wypił łyk herbaty i oczekiwał jakiejś cudownej zmiany tematu.

- Będzie tu dziś rozstrzelany pewien *gaijin* - oznajmił Taisho i beknął. - Pluton egzekucyjny składa się z rekrutów, liczę jednak, że będą strzelać celnie. Potrzebny mi drugi oficer na świadka. Jeńca przysłali wczoraj w nocy, wyrok prze-telefonowali zaledwie dziesięć minut temu. Mam do dyspozycji wyłącznie strażników, bo reszta żołnierzy poszła na ćwiczenia. Mówi się o kontrataku, choć w niego nie wierzę. Zadaliliśmy nieprzyjacielowi wielki, hańbiący cios, po którym nieprędko się podźwignie. Mimo to wolałbym jak najszybciej załatwić sprawę. - Taisho spojrział na zegarek. - Chodźmy, Katsumata. To zaraz za tą ścianą.

Ustawili skazańca pod oknem chyba gabinetu Taisho. Był nim młody Brytyjczyk o rumianej twarzy i jasnych włosach,

w pomiętym mundurze. Rozglądał się dokoła, niezupełnie zorientowany, co się dzieje. Mógł mieć najwyżej dziewiętnaście lat. W całej postaci tylko pełne różowe wargi i niemowleca twarz były czyste.

- Pluton egzekucyjny jest gotowy? - zapytał Taisho sierżanta.

- Tak jest. Wyjdzie za parę minut.

Gaijina przywiązywali do słupa dwaj strażnicy więzienni, w tym jeden siwowłoso, powolny.

- Skąd oni wytrzasnęli, tych strażników? - warknął Taisho. - Z wojny rosyjsko-japońskiej?

Sierżant odparł, że do służby więziennej odkomenderowani są przeważnie starcy, a wśród nich Koreańczycy, nielubiani przez innych żołnierzy. Źle mówią po japońsku, piją, jedzą ostre, pieprzne potrawy i są okrutni. Keichi popatrzył na *gaijina*, którego wciąż oślepiało słońce świecące prosto w oczy. *Ma szczęście, że nie widzi* - pomyślał Keichi. On sam widział i wiedział, choć wołałby nie. Bynajmniej nie śnił i zdawał sobie sprawę, że ani dla niego, ani dla *gaijina* nie ma ucieczki. Brytyjczyk wyglądał, jakby spał na stojąco, z otwartymi niebieskimi oczami. Musieli go bić. Spod podartych spodni przeświecało białe ciało.

- Nareszcie. - Taisho chwycił szablę i wyprostował plecy. Pluton pod wodzą sierżanta wy maszerował z baraku położonego u końca żywoplotu i zajął stanowisko. Na moment wszystko umilkło, a Keichi miał wrażenie, że na starym niemym filmie ogląda odległe wydarzenie. Umrze tu dziś mężczyzna, o wiele za wcześnie. To wojna. Z prawdziwymi żołnierzami i prawdziwymi kulami.

Sierżant postąpił naprzód, za jego plecami zaszalutował pluton. Sierżant poruszył ustami, lecz Keichi nie słyszał komendy, podobnie jak słów Taisho odczytującego wyrok.

Dopiero kiedy ten zasalutował, Keichi poszedł jego śladem i wszyscy się skłonili. Widziani kątem oka żołnierze z plutonu egzekucyjnego przypominali grupę zakłopotanych uczniów. Przez zasłonę wstydu Keichi dojrzał, jak pod daszkami czapek rzedną im miny. Unieśli karabiny, wycelowali, usta sierżanta znów się poruszyły. Keichi popatrzył na *gaijina*, wciąż mrugającego nieprzytomnymi oczami, kiedy padał na ziemię.

Taisho, z pistoletem w dłoni, pomaszzerował do leżącego pod ścianą mężczyzny i schylił się, aby zbadać podziurawione kulami ciało. Strzelił skazańcowi jeszcze raz w głowę, a ten zadrżał lekko i znieruchomiał. Keichi odzyskał słuch, dobiegła go komenda i wystrzały. Wszystko to się działo; zdarzyło się i wiedział, że nie śpi.

- Powinienem nauczyć tych głupich wieśniaków prostego strzelania - mówił Taisho, kiedy opuszczali miejsce egzekucji - bo inaczej nie przeżyją w bitwie dłużej niż dziesięć sekund.

Zaprowadził Katsumatę z powrotem do gabinetu i zapalił papierosa.

- Widzi pan, to nic wielkiego.

- Czym *gaijin* zasłużył na taki wyrok? - spytał Keichi.

- Tego nie wolno mi powiedzieć. Wykonałem rozkaz otrzymany przed śniadaniem, to wszystko. Wiem, że nazywał się Brown i musiał coś zrobić, bo inaczej odesłaliby go statkiem do obozu wraz z innymi. Może się pomylili. Istotnie wyglądał trochę za młodo, aby mógł zajmować stanowisko umożliwiające popełnienie tak poważnego przestępstwa. Na tym świecie przetrwają najsilniejsi, więc przed pójściem do swoich jeńców proszę wypić jeszcze jedną filiżankę herbaty.

- Dziękuję panu.

- Ja bym nie cierpiał być jeńcem wojennym i żyć. Ten *gaijin* Brown teraz na pewno jest znowu otoczony blaskiem dawnej chwały swego ojczystego kraju. Może pan sobie wyobrazić, że siedzi zamknięty jak zwierzę, pokonany, pohamowany w swoich zapędach i upokorzony? Że mówią, co pan ma robić, osoby niższej klasy, które los uczynił psami łańcuchowymi? Prędzej skończyłbym ze sobą i połączył się z duchami przodków.

Keichi wstał, zasalutował i złożył ukłon, Taisho zaś uśmiechnął się, wstał i podał mu rękę.

- Musimy jeszcze porozmawiać, zanim wyruszyście. Może chciałby pan dzisiejszy wieczór spędzić ze mną. Moglibyśmy pójść i coś zjeść w znanym mi lokalu.

- Dziękuję panu. Bardzo chętnie, jeśli znajdzie pan czas.

Idąc do *gaijin* Keichi rozważał słowa Taisho. Nie wiedział, jak oni traktują jeńców, brakowało mu pewności, czy narażliby się na wieczne potępienie, gdyby wpadł w ręce wroga.

Najstarszy brat jego ojca został wzięty do rosyjskiej niewoli w roku 1904, kiedy jego okręt zatonął w pobliżu Port Artur. Ten jowialny mężczyzna dobrze się ożenił i odstąpił braciom udziały w przedsiębiorstwie rodzinnym. Latem miał zwyczaj siadywać na szczytach gór i przez marynarską lunetę obserwować ptaki. Na wiosnę wynajmował mały parowiec i pływał po Morzu Wewnętrznym albo jeziorze Hakone, zimą zaś w poszukiwaniu ciepła udawał się na Okinawę. Keichi pamiętał jego wizyty, zawsze z suchymi ryżowymi ciasteczkami i słodkimi fasolkami.

Sądząc po zadowolonej minie, stryj nie obawiał się potępienia. Keichi tylko raz słyszał jego opowieść o obozie

jenieckim, bynajmniej jednak nie straszną. Stryj umarł szczęśliwy, chyba się nie martwiąc, że na tamtym świecie okryje się hańbą.

Keichi cieszył się na ponowne spotkanie z *gaijin*. Obecność ich obu, zwłaszcza Dereka Pritcharda, każe mu zapomnieć, co się stało. Nie wiedział jak ani dlaczego zrobiło mu się nagle lekko na sercu i poczuł ciepły przypływ niefrasobliwej radości. Celę otworzył strażnik, a choć miał brudne zęby, Keichi nie przystanął, aby go skarcić.

- *Buenos días, señores* - rzekł, kiedy *gaijin* ukazali się w jego polu widzenia. *Como están Ustedes hoy?*

Derek Pritchard wstał na jego powitanie ze swym miłym, bladym uśmiechem, ten drugi natomiast przez okno obserwował słońce. Keichi wiedział, że ich dni w celi są policzone, ale jego wojna dopiero się zaczyna.

Księga druga

W poszukiwaniu zemsty

10.

Tokio, 1975

Głos był grzeczny, cichy i przymilny. Miał w sobie coś chichotliwego, wręcz rozbijającego.

- Pana Katsumaty nie ma w tej chwili w biurze.

Anna przewyciężyła chęć odłożenia słuchawki. Zakończenia całej tej wstrętnej sprawy tu i teraz.

- Czy możemy się z panią jakoś skontaktować? - zapytała sekretarka.

- Nie mam jeszcze mieszkania. - Skłamała, lecz nie chciała zostawiać numeru telefonu. Pośród ogromu tego bezosobowego miasta w głosie brzmiała troska.

- Czy może pani zadzwonić za tydzień? Wtedy pan Katsumata chętnie z panią porozmawia.

Nie zrobiłby tego chętnie, gdyby znał jej zamiary. W głosie zadźwięczał figlarny śmieszek.

- Dla pewności sprawdzę terminarz pana Katsumaty. Proszę jedną minutkę poczekać.

Annę ogarnęło podniecenie, bo zbliżała się do celu, i nerwy miała napięte, lecz nie odłożyła słuchawki. Właściwie jeszcze nie wiedziała, co zrobi, kiedy go odnajdzie. Kropelka zimnego potu irytująco spłynęła jej po szyi. Papierosa. Nie. Włożyła do automatu drugą monetę dziesięciojenową.

- Dziękuję - powiedziała nie swoim głosem, ale nikt jej nie słyszał. Nic nie powinno jej teraz powstrzymać. Spokojnie. Czy posuwa się za daleko?

Oczywiście, że nie. Teraz nie wolno jej tracić ducha.

To zbyt bolesne i trudne, a taki tryb postępowania obrała przed wielu laty.

Pamiętała, jak do matki nadeszło zawiadomienie o śmierci ojca. Sama miała wtedy sześć lat. W ministerstwie spraw wojskowych wiedzieli jedynie, że poległ w Tajlandii, lecz po wojnie poty ich zadreęzała, póki nie wyjawili, że o śmierci doniósł niejaki doktor James Hedges. Choć nie oczekiwała, że to będzie tak łatwe, Toni sprawdziła w londyńskiej książce telefonicznej i znalazła nazwisko mężczyzny, który był przy jej mężu, gdy ten umierał. Lekarz zrazu nie palił się do rozmowy, wkrótce jednak Toni wyciągnęła od niego szczegóły, z biegiem lat zaś stał się przyjacielem rodziny, często przyjeżdżał na niedzielny lunch, udzielał Toni rad w sprawie wykształcenia Anny i prawie zajął miejsce ojca i męża, którego śmierć widział w miejscowości Bang Saray, niedaleko od tajlandzkiego portu Pattaya.

Hedges nie wiedział, co planują dla Katsumaty. Po zacieśnieniu między nimi więzów, kiedy je odwiedzał i jadał przy ich stole, opowiadał o swoich przygodach z Derekiem w Singapurze, Tajlandii i Birmie - ich plany zaś wciąż się krystalizowały. Teraz, w mieście Katsumaty, na jego ulicy, w czasie rozmowy z jego biurem nie może się wahać.

Głos sekretarki znów rozbrzmiał w słuchawce.

- Mogę powiedzieć, że pan Katsumata na pewno wróci do biura w przyszłym tygodniu. Zadzwoń pani? Tak? Zostawię mu wiadomość. Czy pani pierwszy raz jest w Japonii?

Anna podziękowała raz jeszcze, zapewniła, że się odezwie, a głos życzył jej miłego dnia i *sayonara*.

- Do widzenia - rzekła.

Stała obserwując samochody, sklepy i szeroką Gin-zę. Teraz odzyskała spokój.

To rzeczywiście on. Zatrudniona przez nią amerykańska agencja detektywistyczna zawęziła wybór do trzech osób. Trzech Katsumatów mogło przebywać w Singapurze w roku 1942. Yoshiro Katsumata, z którym obecnie usiłuje nawiązać kontakt, jest synem wytypowanego przez agencję człowieka. Dwaj inni Katsumatowie już nie żyją. Jeden zmarł w San Francisco podczas wycieczki z grupą japońskich rzeźników, ale to nie mógł być ten, bo zdaniem Jimmy'ego Hedgesa oficer pochodził z dobrej rodziny i był starannie wykształcony. Drugi Katsumata okazał się homoseksualistą, aktorem teatru kabuki, nigdy się nie ożenił i popełnił samobójstwo. Jimmy Hedges zawsze twierdził, że porucznik Katsumata miał syna. Mężczyzna, do którego dzwoniła, jest niewątpliwie synem porucznika, a ona wie o nim tyle, ile trzeba. Wkrótce, mniej więcej za tydzień, spotka się z nim osobiście i on zaprowadzi ją do mordercy. Matka miała rację. Zemsta jest słodka.

Przeczesała włosy i ruszyła chodnikiem. Miała się spotkać ze swym mężem, Jonathanem, we włoskiej restauracji na najwyższym piętrze budynku Sony, oddalonego zaledwie o parę przecznic. Słońce świeciło, gdy szła Ginzą, tak jak mówił jej szef, że będzie świecić o tej porze roku.

Przez cztery lata pracowała w japońskiej firmie handlowej w Londynie i uczyła się języka. Zdradzała zainteresowanie kulturą i historią Japonii, wiedziała też o samurajach. Szczególnie ciekawiło ją *kataki uchi*, prawo zemsty za krew. Londyński szef dokładał starań, aby jej to wytłumaczyć. W dawnych czasach krew można było okupić wyłącznie krwią.

Jeśli nie samego zabójcy, to członka jego rodziny, najlepiej syna. Stanowiło to kwestię honoru.

„Bardzo łatyńska zasada, nie uważasz? - zapytała usłyszawszy to matka. - Katsumatowie nas oczekują”.

Anna знаła się na ceramice i kaligrafii japońskiej, próbowała surowych ryb, odróżniała porcelanę Satsuma od Kutani. Szef żegnał ją z żalem, bo dobrze radziła sobie z reklamą i zawsze angażowała odpowiednich ludzi. Firmy japońskie, usłyszała, mają zwyczaj długo trzymać pracowników. Na ogół bez końca. Czy nie zechciałaby zostać? Nie może - odparła - ale mimo to dziękuje.

Japończycy zasługiwali na wdzięczność, gdyż wprowadzili jej męża w odpowiednie kręgi. Te osobiste kontakty miały dla niego, jako dla pracownika banku rebusowego, ogromne znaczenie. Znajomości z właściwymi ludźmi umożliwiły mu objęcie w Tokio stanowiska, ledwie się zwolniło. Na tę okazję czekała Anna. Okazję wyjazdu do Japonii. Nakłoni męża, aby ją zabrał z sobą. Banki brytyjskie dopiero zaczynały próbować szczęścia na wielkim rynku japońskim i Jonathan pojechał jako jeden z pierwszych. Ale, jak mówili Japończycy, była to manipulacja oddolna. Ona podjęła decyzję. Jonathan służył jako narzędzie.

Niekiedy, zwłaszcza w pierwszych latach małżeństwa, czuła się oszustką. Rytuał zemsty zaplanowanej przez nią i jej matkę często wymagał rozdwojenia. A wszystko dla sprawy świętszej niż małżeństwo czy miłość do mężczyzny i - zgodnie z pradawnym zwyczajem *kataki uchi* - ważniejszej niż samo życie.

Jonathanowi powiedziała tylko, że Hedges był przy śmierci jej ojca. Nigdy nie wymieniła nazwiska zabójcy ani nie zdradziła się z zamiarem zawarcia z nim znajomości.

Często odczuwane zmieszanie i zmęczenie powodowało jej oziębłość i wówczas mąż, w przekonaniu, że żona go zaniedbuje, uzalał się nad sobą i stawał agresywny. Wybaczała mu, bo była świadoma jego miłości, a niestety nie mogła dopuszczać go do tajemnic.

Z czasem będzie mogła. Jak się to skończy.

Tak bardzo się silił na wyrozumiałość. Nie znał powodu jej udreki, lecz dopuszczał jej istnienie i starał się nie narzucać. Nie pytał za wiele i czekał na zmianę nastroju.

Babskie kłopoty - mawiał ze śmiechem, a ona tłumiała gniew wywołany tymi protekcyjnymi uwagami i też próbowała się śmiać.

Czasami się bała. Zwłaszcza wtedy, gdy uzyskiwane stopniowo informacje przybliżały ją do celu. Trapiła się samym zadaniem, często przerywała działania, roztrząsała wątpliwości i tłumaczyła sobie, że postępuje słusznie. Czasami słabła jej determinacja, wyciągała ręce do Jonathana. Czuła jego ciepłe ciało w pościeli, szukała jego warg i brała go, choć myślał, że jest na odwrót.

Później zasypiał, ona zaś rozbudzona myślała, jak się to wszystko skończy, i odzyskiwała pewność siebie. Może dzięki Jonathanowi. Nie będąc o tym przekonana nie potrafiła okazać wdzięczności. Wynagrodzi mu to, bo jest jedynym mężczyzną na świecie gotowym zaakceptować ją w taki sposób i wspierać, nie wiedząc dlaczego. Wynagrodzi wkrótce.

Kochała, ale nie za bardzo lubiła matkę. To Jonathan pozbiierał łączące je nici i zacieśnił związek między kobietami. Jako starający się o rękę Anny, powoli, z trudem zaczął jej ukazywać inną matkę niż ta, którą znała. Umiał Toni rozśmieszyć, a gdy się śmiała, stawała się bardziej tolerancyjna i

mniej oszczędna. Nieomal hojna. Przystawała bez końca krytykować i pობłażała Jonathanowi we wszystkim.

Ten atletycznie zbudowany młody mężczyzna, podobny do gwiazdora amerykańskiego studenckiego baseballu, zbikowany na punkcie zdrowia, jadał rzeczy pobudzające ruch robaczkowy jelit i zieleniny. Krzywił wyrazistą twarz czując dym, ale nie próbował zmusić Anny do zerwania z nałogiem. Cieszył się wielkim szacunkiem pracodawców i teraz robił karierę, torując drogi na nowym rynku japońskim. Anna odetchnęła głęboko, zapatrzona w błękitne jesienne niebo. Zachichotała, bo zaraz spotka się Jonathanem, człowiekiem o miłej osobowości, którego dobry humor podziela na nią rozweselajaco.

Odwróciła się od aparatu telefonicznego i wtedy usłyszała hałas, zobaczyła uliczną demonstrację. Dwadzieścia tysięcy demonstrantów z transparentami zbliżało się do niej groźnie. Mieli zacięte miny, a podbechtywały ich szalone hasła wyrzaskiwane z głośników. Rozgoryczenie na ludzkich twarzach rosło. To była ta Japonia, jakiej Anna nienawidziła, bała się, lecz nigdy przedtem nie widziała. Ludzie sprawiali wrażenie strasznych, silnych, zdecydowanych. Lada chwila wedrą się na chodnik i zabiją. Zemsta. Cel jej podróży.

Na przodzie tłum policjantów szedł dziesiątkami ramię w ramię. Ruch uliczny zamarł. Otaczające ją spokojne twarze zaczynały zdradzać zdenerwowanie, w miarę jak wrzaski się przybliżały. Ludzie szukali schronienia bliżej budynku. Niektórzy przechodnie w ostatnim momencie odruchowo przyłączali się do demonstracji.

- To Dzień Okinawy - oznajmił głos z amerykańskim akcentem. - Maszerują pod ambasadę amerykańską, aby wręczyć notę ambasadorowi. Zwróćcie Okinawę Japonii.

Powtarza się to rokrocznie, lecz nigdy nie widziałem takiej agresywności. Zdumiewające.

Odwróciła się, aby popatrzeć na mężczyznę, lecz zniknął. Agresywność wcale jej nie dziwiła. Są to okrutne, złe twarze prawdziwej, dawnej Japonii. Nie tej cichej, łagodnej, która zaraz po przyjeździe prawie ją urzekła. Anna szybko wyminęła demonstrantów w nadziei, że nikt jej nie weźmie za Amerykankę, oni jednak wykrzykiwali swoje slogany, nie zwracając na nią uwagi.

Nie chciała narażać Jonathana na czekanie. Po jej spotkaniu z Katsumatą często będzie musiał czekać z niewyjaśnionych powodów. Przestała już słyszeć uczestników marszu i w głębi ulicy dostrzegła budynek Sony. Jonathan na pewno będzie miał coś zabawnego do powiedzenia. Znowu zapyta o prywatnego nauczyciela języka i oświadczy, że nie powinna przesiadywać beczynnje. Ona niby to się obruszy, on się uśmiechnie, przygarnie ją i pocałuje.

11.

Yoshiro zawsze z trudem wyobrażał sobie ojca w mundurze. Starszy pan mało mówił o wojnie, nawet wtedy, kiedy zaczęły się ukazywać książki i filmy na ten temat, już zaakceptowany i wchodzący w modę. Było parę żołnierskich zdjęć ojca, ale żadnych odznaczeń. Yoshiro pamiętał, co opowiadała matka o czasach spędzonych przez niego w Singapurze, Tajlandii i Hongkongu. Yoshiro też bywał tam służbowo i właśnie w Hongkongu dowiedział się, że ojciec umiera.

Po powrocie do pokoju hotelowego zobaczył mrugające przy telefonie światelko, co oznaczało, że jest dla niego wiadomość. Zadzwoił do recepcji. Tak, w porze lunchu dostał teleks. Natychmiast przyślą go na górę. Teleks był dziwny. Yoshiro przywykł do wiadomości z biura, w sprawach służbowych, ale nigdy nie dostał nic o charakterze osobistym. Musiał zrozumieć siedem słów krzyczących do niego po angielsku z żółtej kartki. „Zadzwoić do pani Katsumata na Hokkaido. Przepraszam”. Żadnych wyjaśnień. Żadnych szczegółów. Znał tylko jedną panią Katsumata na Hokkaido, własną matkę.

Starszy pan miał zwyczaj przyjeżdżać do Tokio cztery, pięć razy na rok. Nigdy nie zatrzymywał się w małym domku syna. Zawsze sypiał w hotelu Dai Ichi, czas zaś dzielił między wnuki a kina przy ulicy Hibiya. Keichi wybierał hotel Dai Ichi, bo nie mógł usnąć na zachodnim łóżku ze sprężynami, wysoko nad podłogą. Wolał twardy, znajomy dotyk *futon* i maty *tatami*. Kontakt z ziemią przybliżał go do świata. Ale lubił filmy *gaijin*.

U schyłku życia próbował lepiej zrozumieć dawnych wrogów, więc oglądał anglosaskich *gaijin* na szerokich srebrnych ekranach. Patrzył, jak chodzą i mówią, śpiewają i walczą, kochają i pracują. Patrzył, jak budują domy, jak latają samolotami, łowią ryby i grają w różne gry. Wiedział, że to aktorzy, a nie prawdziwi ludzie, ale nie znał ich sposobu życia i nigdy nie widział krajów, gdzie mieszkali. Były tam drzewa, rzeki, pustynie, jeziora i góry, ludzie jedli swoje potrawy i pili swoje trunki, ostatnio zaś ich biskwity i whisky pojawiły się w tokijskich sklepach.

Mimo wulgarności i braku oglądy odznaczyli się staroświecką sentymentalnością. Nie szanowały ich własne dzieci,

a jednak to oni pobili cesarza i jego armię. Rozdawali słodycze zwyciężonym zaraz po wkroczeniu do ich miast, a przecież wynaleźli bombę, która zburzyła Hiroszimę. Mówili szybko, częstokroć bez namysłu, twarze mieli otwarte, słownictwo wyszukane i dosadne, lecz nie rozumieli i nie szanowali starszych. Fascynowali go, zdumiewali, nie dawali mu spokoju, ale był im wdzięczny za wygranie wojny i wprowadzenie w Japonii nowego stylu życia.

Rozumiał ich język, chociaż nie poezję, nie potrafił też ich rozgryźć ani pojąć, dlaczego zabawę stawiają wyżej od pracy. W swoim życiu poznał zaledwie dwóch anglosaskich *gaijin*: jeńców, których prowadził do Birmy przed tyloma laty; lekarza wojskowego Hedgesa i tego drugiego, Pritcharda, który umarł. Keichi uważał, że temu *gaijin* los powinien przeznaczyć, iż zestarzeje się podobnie jak on, będzie się cieszył siwizną i wnukami. Więc chodził do kin, aby dowiedzieć się, co robiłby na starość *gaijin*, a potem z szacunkiem robić to za niego i w duszy dzielić się z nim doświadczeniem.

Teraz Keichi Katsumata leży w szpitalu w Sapporo, na północnej wyspie Hokkaido, a jego żona wezwała z Hongkongu syna Yoshiro, aby patrzył na śmierć ojca. Keichi o tym wiedział, bo słyszał jej słowa, i chciał powiedzieć, że się mylą, lecz nie mógł dobyć głosu. Leży w białej pościeli, na stoliku ma kwiaty i dzbanek z wodą. Zachodnie łóżko ze sprężynami wznosi się wysoko nad podłogą, co jest mu obojętne, bo przeważnie śpi. Na ścianie wisi pejzaż górski, w pokoju panuje cisza. Keichi prawie przez cały czas wraca myślami do armii cesarskiej, zwłaszcza z rana, gdy wchodzi zatroskany lekarz, kiwa głową i mówi, że pan Katsumata jest w stanie śmierci klinicznej. Keichi chce zadać temu kłam, ale coś rozsada mu pierś i słyszy, jak lekarz namawia żonę, aby wezwała

syna z Hongkongu. Pragnie się uśmiechnąć, bo tak się cieszy na widok przystojnego chłopca przy łóżku, wargi jednak odmawiają mu posłuszeństwa. Czuje woń kwiatów i słyszy ptaki za otwartym oknem, ale mówić nie może. Inni za niego podejmują decyzje, jego umysł reaguje tylko na przeszłość.

Śnił o wojnie. Musiał śnić, gdyż widział swoje dawne koszary, stare samochody, szkołę artylerii górskiej nie opodal Sendai. Widział Taisho i port w Singapurze. I widział przeobioną łódź wycieczkową, którą płynęli do Tajlandii.

Widział Dereka Pritcharda, tego *gaijin*, który mógłby być jego przyjacielem, i tego drugiego, który nigdy by nim być nie mógł. Może *gaijin* Pritchard wcale nie umarł. Jego los jest zdany na łaskę tego, co śni Keichi. Może Derek nadal przebywa w zacisznej wiosce Bang Saray; czeka, aż Keichi się do niego przyłączy i podejmie z nim rozmowy po hiszpańsku. Może tak właśnie się stało, a Keichi o tym wiedział i zapomniał. Podobno na krótko przed śmiercią całe życie przesuwają się przed oczami człowieka jak na filmie. Nie umiera zatem, bo nie widzi całego swojego życia. Jedynie wojnę, i to zaledwie mały jej fragment. Widocznie śni. Znow śnił o Taisho i widział go takiego jak w roku 1942 w Bangkoku, po zakończeniu misji. Poruszał ustami, a jego syn Yoshiro próbował odgadnąć, co chce powiedzieć.

Taisho nie był wiele starszy od niego. Z osiem, dziesięć lat. Keichi widywał się z nim, lecz nie na koleżeńskich spotkaniach, na które nigdy nie chodził. Nie polubił armii nawet w wiele lat po jej klęsce. Uważał, że Japonia nie powinna się bić z *gaijin*, i oglądając filmy próbował zrozumieć *gaijin* z czasów pokoju. Treść filmów wylatywała mu z głowy, pamiętał

natomiast domy, w jakich mieszkali bohaterowie, ich samochody, psy, konie i łodzie. Znowu śnił o Taisho i widział go takim, jakim jest obecnie.

Taisho jadł dużo mięsa, bo prawie całkiem wyłysiał. Palił widocznie za dużo, bo wciąż kasłał, żył jednak i był w Tokio bankierem. Nie musiał z uwagi na podeszły wiek przechodzić na emeryturę, ponieważ większość akcji należała do jego rodziny. Nadal lubił się powtarzać, tak jak w młodości. Dobrze byłoby, gdyby Taisho porozmawiał z Yoshiro, opowiedział mu o wojnie, o tym, co się zdarzyło w Birnie, Tajlandii i Bang Saray, o jeńcach. Keichi koniecznie chciał o tym powiedzieć synowi, więc się obudził i skinął na niego ręką. Chciał mówić i z irytacją stwierdzał, że nie może. Gestem przywołał do siebie Yoshiro. Pragnął mu polecić, aby poszedł do Taisho. Z widocznym na twarzy wysiłkiem poruszył ustami, lecz nikt go nie słyszał. Silny blask jego oczu był dla syna znakiem, że usiłuje coś powiedzieć.

Taisho już się tak nie nazywa. Jest po prostu panem Sakamoto, starym człowiekiem przychodzącym do banku tylko trzy razy na tydzień. Keichi widywał go tam i kilkakrotnie spotkał się z nim na Ginzie. Rozmawiali godzinami i wstępowali do kawiarni, aby tam snuć wspominki. Po raz ostatni Keichi gwarzył z nim zaledwie na tydzień przed swoją chorobą. W czasie rozmowy nie umiał myśleć o starym człowieku jako o Taisho, za to teraz, gdy przyśnił mu się żołnierz, nie mógł zwyczajnie nazywać go panem Sakamoto.

Keichi wpatrywał się w syna udręczonym wzrokiem i pamiętał, że mówił o nim Taisho. Taisho zapytał o miejsce pracy młodego Katsumaty, więc Keichi wymienił nazwę firmy. Taisho dobrze ją znał.

Przeskoczyli na inny temat, Keichi nie pamiętał już jaki. Musi opowiedzieć synowi o Dereku Pritchardzie, lecz wysiłek okazał się ponad jego siły, więc znów zamknął oczy, zasnął i nic mu się nie śniło.

Yoshiro patrzył na okazałą postać ojca pod prześciera-
dłem. Chory oddychał regularnie, twarz miał spokojną, pra-
wie jak śpiące dziecko. Dobry mężczyzna-dziecko, o skórze
gładkiej, bez skazy. Ktoś musiał go ogolić przed przybyciem
syna.

Stary człowiek poruszył ustami i jęknął. Jeszcze raz otwo-
rzył oczy, rozejrzył się dokoła, jakby kogoś szukał, po czym
uśmiechnął się na znak, że go rozpoznaje, i odkaslnął. Pa-
trzył na syna przekonany, że do niego mówi, ten jednak
wstał i wypadł z pokoju. Keichi wyciągnął rękę, aby go za-
trzymać, i poczuł ból przeszywający piersi. Następnie zapa-
nował chłód i mrok.

Keichi Katsumata umarł sam w bezmiarze samotności,
ale nie osamotniony. Yoshiro wrócił z lekarzem, który spoj-
rzył na duże zwiotczone ciało chorego i stwierdził zgon; zwy-
czajnie, rzeczowo. To szpital. Umierają tu inni ludzie. Każdy
musi umrzeć. Tylko szczęśliwcy umierają na łóżku szpital-
nym. Yoshiro niezupełnie go rozumiał. Nie czuł żadnego
związku z leżącym mężczyzną, jedynie odrętwienie i zimno.
Nie znał tego dużego człowieka. Ciało należało niegdyś do
jego ojca, lecz zmarły nie był ojcem, bo ten uśmiechał się
łagodnie, mówił cicho, a zmarły w łóżku się nie odzywał.

Yoshiro ma przed sobą własne życie i musi wracać do biu-
ra. Może i dorastał na Hokkaido, teraz jednak jest mieszkań-
cem Tokio, stoi na własnych nogach i robi karierę.

12.

- Nazywam się Sakamoto - powiedział mężczyzna. - Sakamoto. Jestem starym przyjacielem pańskiego ojca. Z czasów wojny, panie Katsumata. Byłem jego Taisho.

Yoshiro pod wpływem ciekawości odzyskał energię. Przez cały dzień do znużenia nękały go telefony. Zaniknął błogosławiony zwyczaj cichej żałoby i ludzie dzwonili, aby mu powiedzieć, jak im przykro z powodu śmierci jego ojca. Jak im go będzie brakowało. Jak bez wątpienia zajmie honorowe miejsce wśród swych przodków. Telefonowały osoby na ogół mu obce. Yoshiro usiłował coś powiedzieć, a tymczasem jego koledzy pochylali się nad papierami i unikali jego wzroku. Krótkie, lakoniczne słowa pana Sakamoto wskazywały, że nie dzwoni z kondolencjami.

- Dziękuję za telefon - odrzekł Yoshiro. - Mój ojciec na pewno doceniłby pańską życzliwość. Słyszałem już pańskie nazwisko. Jest pan bankierem, prawda?

- Istotnie, ale nie chcę rozmawiać z panem o interesach ani wyrażać współczucia. Pragnę opowiedzieć panu o dniach spędzonych z pańskim ojcem na wojnie. Narosło wokół tego mnóstwo nieporozumień.

- Będzie na to czas później, proszę pana.

- Prosił specjalnie, abym do pana wstąpił, zawarł z panem znajomość i wszystko opowiedział. Człowiek powinien wiedzieć o swoim ojcu. Ma pan niemałe powody do dumy.

- Mój ojciec rzadko wspominał o wojnie - wyznał Yoshiro. Dokoła niego stukwały maszyny, kręcili się ludzie. - Przepraszam. Może to miejsce nie nadaje się do rozmowy...

- Rozumiem doskonale. Proszę wybaczyć mi pośpiech, mam jednak dużo do powiedzenia. Dużo do powiedzenia, a czasu mało. *Taisho jest stary* - pomyślał Yoshiro. Obstaje przy swoim i zdradza zniecierpliwienie, lecz przecież ojciec prosił go o ten telefon. Przypuszczalnie ojciec chciał przedtem umrzeć i zejść mu z drogi. Może miał coś do ukrycia.

- Im prędzej się spotkamy, tym lepiej - podjął pan Sakamoto. - Dużo rzeczy wstydlivych i nieporozumień wiąże się z naszym udziałem w wojnie. Chcę je wyświecić.

Cóż, to jest nowe pokolenie - chciał powiedzieć Yoshiro, lecz rozmowa stawała się zbyt jawna. W głównym biurze nie dało się zachować tajemnicy. Tylko na ósmym piętrze było się od innych odgrodzonym ścianami.

- Niech pan zadzwoni, jak będzie pan gotów spotkać się ze mną. - Mężczyzna rozłączył się bez zwykłych pożegnalnych ceremonii.

*

Yoshiro pracował w firmie Kenzo Sato Kaisha, zarządzanej przez potomków pierwszego Kenzo Sato, samych, z łaski losu, synów. W zarządzie nie zasiadał nikt spoza rodziny, tylko kuzyni, niekiedy zięć albo mąż wnuczki. Jak powszechnie wiadomo, Yoshiro miał przełamać tę tradycję, przenieść się na ósme piętro solidnego przedwojennego budynku, do własnego gabinetu z urządzeniem do oczyszczania powietrza.

Dość często wzywano go na górę, aby pomagał podejmować decyzje, zalecał angażowanie absolwentów czy udzielał rad dotyczących kierunku rozwoju spółki. Grywał w golfa z niemłodym wnukiem założyciela i bratankami prezesa, a ten go słuchał. Yoshiro miał zostać pierwszym członkiem zarządu

spoza rodziny Sato, czekano jednak na jego czterdzieste urodziny. Już to samo w sobie stanowiło rekord, skoro nikt nie zostawał dyrektorem przed ukończeniem co najmniej pięćdziesiątki. On pochodził z odpowiedniego środowiska, był niezależny finansowo i troszczył się o zysk firmy. Dobrze grał w tenisa, nie najgorzej w golfa, a w madżongu był niezwykcie żony. Zazdrościli mu wszyscy ci, którym marzył się sukces.

Przepowiadano szeptem, że pewnego dnia czeka go prezesura, co będzie wydarzeniem prawdziwie historycznym, ale nie to teraz było mu w głowie. Potrzebował czasu na myślenie o ojcu i pragnął spokoju.

Nie miał jeszcze okazji widzieć się z żoną, gdyż od powrotu z Hokkaido mieszkał w hotelu Dai Ichi. Nie wiedział, co jej powiedzieć o swoim ojcu. Ona zdawała sobie sprawę, że czas nie należy wyłącznie do mężczyzny. Mężczyzna stanowił własność firmy, ona bowiem troszczyła się o niego jak ongiś generałowie o swoich samurajów. Najważniejsza była *kaisha*, potem mężczyźni członkowie rodziny. Żona nie przeszkadzała mu telefonami; wiedziała, jaki jest zmęczony. W bezosobowym hotelu Yoshiro miał się gdzie poruszać. Nie hałasowały tam dzieci, mógł być sam i spać. Z poszarzałą twarzą i kaszlem dokuczliwszym niż przedtem siedział nad dwiema dużymi, pełnymi popielniczkami. Wpatrzony w pustkę, popijał zieloną herbatę.

- Ktoś zostawił wiadomość? - zapytał niezwykle cicho.

- Dzwoniła pani Bellingham - odparła dziewczyna. - Ta *gaijin*, o której panu wspomniałam. - Nie chciał rozmawiać z cudzoziemką. Nie dzisiaj. Mówienie po angielsku wymaga koncentracji, a tej mu brakuje. Wykręcił numer domowy. Telefon odebrała żona i wyraziwszy współczucie powiedziała, że dzieci chcą go zobaczyć. Czy przyjedzie dziś na noc do domu?

Córeczka z drugiego aparatu zapytała, co jej przywiózł z Hongkongu. Chciała dostać lodu, blok rysunkowy i słonia. Blok będzie dla Oji-san, kiedy znów przyjedzie z Hokkaido. - Oji-san tak ładnie rysuje, prawda, papo? - Żona zdołała widocznie odciągnąć małą od telefonu, bo ucichł jej cienki głosik, a w słuchawce odezwał się syn oznajmił: że odrobił wszystkie lekcje, i spytał, czy wobec tego może pojeździć na rowerze. Zapytał też, czy to prawda, że Oji-san nie żyje. Yoshiro pozwolił mu jeździć po chodniku, ale tylko przez pół godziny, jeśli matka się zgodzi.

Żonie powiedział, że porozmawiają jutro, bo teraz ma drugi telefon, więc musi kończyć. Dobranoc.

Telefonistka podała nazwisko pani Bellingham, bez nazwy firmy czy powoływania się na kogoś. Ta pani dzwoni w sprawie prywatnej. Próbowala już wcześniej. Przed chwilą mówił żonie, że musi kończyć, co dziewczyna niewątpliwie słyszała. Teraz trzeba będzie porozmawiać z *gaijin*.

- Proszę łączyć - rzekł.

- Przepraszam, że dzwonię tak późno - odezwał się angielski głos. - Pewnie zaraz kończycie robotę.

Zrozumiał ten zwrot, choć go nigdy przedtem nie słyszał.

- Ogromnie mi przykro - podjęła.

- Myślałem, że tylko my, Japończycy, każdą rozmowę zaczynamy od przeprosin.

- O nie. My, Brytyjczycy, przepraszamy równie często.

- Proszę nie martwić się porą. Nie zamierzaliśmy jeszcze... kończyć roboty. Czym mogę pani służyć?

- Na pewno jest pan bardzo zajęty. Przepraszam.

Roześmieli się oboje, a ona spytała, czy nie wołałby, aby zadzwoniła później. Jej czysty, wyraźny głos dowodził siły.

Zakładała, że Yoshiro dobrze mówi po angielsku, i nie zwalniała z uwagi na niego, co mu się podobało. W ogóle nie sprawiała wrażenia kobiety. Te, które znał, nie były tak natrętne.

- Nie szkodzi, proszę pani. Czym mogę służyć?

- To sprawa dość osobista, proszę pana. Nie nadaje się na telefon. Może zabrzmiałoby to nieco bezczelnie i wyraziłabym skruchę, ale przyzna pan, że przesadziłam z tym przeproszeniem. Ciekawe, czy nie moglibyśmy się spotkać. Nie zajmę panu dużo czasu. Nie jest to wprawdzie przyjętym zwyczajem, ale pan prowadził interesy z nami, cudzoziemcami. Możemy się spotkać?

Anglicy nie bywali tak agresywni. Ona ma coś do sprzedania. Może coś nowego.

- Proszę pozwolić, że zajrzę do terminarza. Pani wygodniej jest rano czy po południu?

Teraz nie należy naciskać. Spisała się dobrze i czoło ma wilgotne od potu. Uspokój się. Chryste, jak może się uspokoić? Nareszcie rozmawia z synem porucznika Katsumaty. Nie może go wypuścić. Jeszcze trochę towarzyskiej rozmowy - powiedziała sobie z drżeniem. Zebrała się na odwagę. Teraz albo nigdy.

- Jestem na Ginzie. Mam do zrobienia parę sprawunków. Próbuję znaleźć buty, ale nic nie pasuje na nogi *gaijin*.

- Dobrze. Roześmiał się na głos.

- Pomyślałam, że spróbuję w Mitsukoshi. Ktoś mógłby tutaj zrobić majątek, sprzedając duże buty paniom *gaijin*. Sklep jest niedaleko od pana, prawda? Czy nie moglibyśmy spotkać się później?

- To znaczy dzisiaj?

Spokojnie, dziewczyno, bo przeholujesz. Zmień temat.

- Są długo otwarci, prawda? Do dziesiątej czy coś koło tego. - Powinna zapytać, czy jemu to dogadza. Jest mężczyzną. Znajdują się w Japonii. Bądź grzeczna. Coś ją ponaglało i starała się go zmusić do wyrażenia zgody. Boże, teraz nie spartol. Pójdzie do kościoła, jeśli on się zgodzi. Rzuci palenie. Zrobi wszystko.

- O szóstej trzydzieści nie będzie dla pani za późno?

Tego nie oczekiwała. Już za pół godziny. Czy się z nią bawi?

- Pora jest idealna, proszę pana. Ogromnie dziękuję.

- W małej kawiarence tuż obok Mitsukoshi. Dogadza to pani?

- Doprawdy nie wiem, jak mam dziękować.

- Bywa tam o tej porze sporo cudzoziemek. Jak panią poznam?

- Mam na sobie szary wełniany kostium, a w ręku dużą plastikową reklamówkę Sony.

- Rozumiem. - Po tym się pożegnali. Przyszło mu do głowy, że należało spytać, kto ją do niego skierował. Nie pojmował, skąd ten pośpiech i po co tajemnica. Może chce mu sprzedać jakieś informacje handlowe. Cały dzień spędził nieproduktywnie. To było coś nowego. Świeżego. Prowadzenie grzecznych rozmów z życzliwymi osobami składającymi kondolencje sprawiało trudność. Z *gaijin* można się spotkać służbowo, gdyż to do niczego nie zobowiązuje. Ta kobieta musi mieć coś do zaoferowania. *Jak wygląda?* - zastanawiał się Yoshiro. Przypuszczalnie starsza. Nie. Bo taka nie szukałaby butów w Mitsukoshi wczesnym wieczorem. Dlaczego w domu nie szykuje obiadu? Więc zamożna. Nigdy dotąd nie przebywał z cudzoziemką sam na sam. Nie w interesach.

Upajała go perspektywa randki w ciemno. To nowy rozdział życia. Może wyczyn potrzebny, aby ostatecznie zająć miejsce w zarządzie. Widocznie ktoś chce z nim ubić interes nie bezpośrednio. Popatrzył na zegarek i przyłapał się na tym, że zachęca złote wskazówki do pośpiechu.

*

Widziała, jak Yoshiro Katsumata wychodzi głównymi drzwiami budynku Sato. Przyjdzie za wcześnie. Przed witrą przyglądził włosy i poprawił lekki płaszcz nieprzemakalny, po czym spojrzął na zegarek. Był wyższy, niż się spodziewała, a widziany poprzez szerokość ulicy, sprawiał wrażenie młodszego. Serce zabiło jej szybciej. Nigdy nie miała pewności, co zrobi, gdy napotka jakiegoś Katsumatę we własnej osobie. Matka twierdziła, że przy pierwszym zetknięciu się z wrogiem będzie wiedzieć, lecz jego widok niczego nie sugerował. Co ma robić? Przebiec przez jezdnię i na oczach tłumu chwycić go za szyję? Dlaczego? Nie jestem z nim skłócona. Nie wolno jej niczego pogmatwać teraz, kiedy tyle już osiągnęła. Odetchnęła głęboko i policzyła do dziesięciu patrząc, jak Yoshiro się oddala. Szybko przemierzył szeroką ulicę. Odznaczał się elegancką zwinnością ruchów. Wyglądał na to, czym jest: na butnego syna zbrodniczego wojownika. Chciał dotrzeć na miejsce pierwszy. Czekać w zasadzce, jak każdy mężczyzna przed randką w ciemno. Jeśli draniowi nie spodoba się jej twarz, po prostu wyjdzie. Nie. Zaczeka.

Stała i patrzyła, jak znika w mrowiu ludzkim. Nie ma prawa go nienawidzić. On nic nie może poradzić na to, że jest synem Katsumaty. Ona chyba zapali papierosa. Przecież zamierza zerwać z nałogiem, jak tylko to się skończy. Wyjęła z torebki paczkę papierosów i zapalniczkę, a następnie

pstryknęła, osłaniając płomyk dłonią. Ruszyła powoli, niby to zainteresowana wystawami.

Obiecała zadzwonić do matki natychmiast po nawiązaniu kontaktu, lecz pora jeszcze nie nadeszła. Matka powie jedynie, że Anna dotychczas nie spotkała się z ojcem. Ma nie trwonić pieniędzy na bezprzedmiotowe telefony. Nie musiała być blisko matki, aby wyczuć bicie jej serca. Antonia Aguilar de Soto, zaciekle w ściganiu wroga oddalonego o tysiące mil, w wiele lat po upadku republiki toczyła bezlitosną wojnę. Walczyła z mordercami swojej rodziny, ze wszystkimi mordercami na świecie, uosabianymi przez Katsumatę, który łączył ich w sobie. Na progu starości matka Anny nie miała zwykłych aspiracji, nie chciała zostać babką, nim zobaczy uniecznienienie zabójcy swego męża. Później przyjdzie czas na niemowlęta, robienie na drutach i spacerów w parku. Kryjący się w drobnym ciele olbrzym poprowadzi jej córkę do boju.

Anna wiedziała o wszystkim, często się obruszała, ale teraz z uśmiechem pomyślała, że wąty żołnierz ze straconej brygady jest z nią w chłodzie wieczoru i że ona zwycięża. Już czas na spotkanie z synem Katsumaty. Tłum uśmiechniętych twarzy płynął chodnikami w stronę dworców, samochodów, domów. Annie własny uśmiech wypalał dziurę w duszy. Czyim życiem żyje? Zdeptała papierosa i przystanąła. Zapal jeszcze jednego. Każ mu czekać. Odwołaj to. Nie, wejdz teraz.

*

- Przepraszam za spóźnienie - powiedziała do niego piękna cudzoziemka. Czytał dział finansowy gazety, a na dźwięk jej głosu zamazały mu się kolumny i liczby. Nie zauważył stojącej nad nim Anny. Zachowuje się niegrzecznie. Pod

wpływem słodkiego brzmienia jej głosu Yoshiro zerwał się na nogi.

- Niech pan nie wstaje - poprosiła. Była troszkę wyższa od niego, bo nosiła pantofle na wysokich obcasach.

Na ścianach wisiały plakaty z widokami Paryża, Londynu i San Francisco, japońskie drzeworyty, ogłoszenia francuskich galerii i fotosy hollywoodzkich gwiazd filmowych, a także malowidła na jedwabiu, kalendarze i podarty program Beatlesów. Przy ich stoliku, pośród rozgwaru, panowało milczenie. Brakowało mu słów, więc zapytał:

- Pani pierwszy raz w Japonii? - Skinęła głową. Zamówił angielską herbatę z mlekiem. - Mam nadzieję, że pija pani herbatę - rzekł, a ona przytaknęła ze śmiechem.

Według niej miał idealnie ukształtowane dłonie, długie, szczupłe palce pianisty. Mówił niskim głosem, jego gęste włosy były granatowoczarne, wąskie oczy zaś czyste. Choć wyglądał na człowieka zmęczonego, wcale się tak nie zachowywał. Wydał jej się dość atrakcyjny. Emanowała z niego siła, a manieri miał nienaganne. Kiedy usiedli, wyglądał na wyższego od niej.

Przyglądała mu się powoli, lustrowała go cal po calu. Oto krew, która płynęła w żyłach porucznika Katsumaty. Znowu głos matki.

Musi najpierw zrozumieć syna. Potem zabrać się do ojca. Znienawidzić go później. O ileż łatwiej jest nienawidzić ideę. Naprzeciwko siedzi człowiek i spokojnie jej się przygląda. Jest jakiś daleki, samotny, zmieszany i smutny. Nie żałuj go. Nie ufaj mu.

- To naprawdę ładnie, że spotkał się pan ze mną tak od razu - powiedziała. - Ludzie w tym mieście wydają się zapracowani jak nikt na świecie.

Yoshiro słuchał i obserwował jej twarz przez zaslonę dymu. Paczkę, którą przysłała mu matka, należało jutro zanieść do świątyni. Dzięki dawnemu obyczajowi *bunkotsu* część ojca przybliży się do niego. Parę kości w urnie spocznie w pobliskiej świątyni, aby mógł je odwiedzać, dotykać ich i zawsze je widzieć. Ale co z tą *gaijin*? Po co pytać? Umożliwiła mu ucieczkę z biura, od ludzi zakłopotanych jego smutkiem. Jest dobrym duchem, który będzie go chronić, dopóki znów nie stanie się sobą. Dopóki nie będzie gotów stawić czoła niepożądanym względom okazywanym dorosłemu sierocie.

Właśnie zaczynał rozumieć ojca. Niedawno postanowił zaprzyjaźnić się z dużym mężczyzną o łagodnym głosie. W szpitalu wyobrażał sobie od dawna zaległe rozmowy. Teraz została mu tylko kostka i z nią się może komunikować. Resztką złożoną w miejscu, gdzie żywi w wolnej chwili mogą przemawiać do swoich zmarłych. Ojciec chlubił się nim i Yoshiro chciał to usłyszeć. Nigdy już nie zobaczy go w dawnej postaci, chyba że we śnie. Jest tylko dzień dzisiejszy. Może widzieć jedynie tę *gaijin*, najpiękniejszą cudzoziemkę, jaką zdarzyło mu się oglądać. Ma długie włosy w ciemnym, rudawym odcieniu brązu, zielone oczy i miękkie wargi rozchylające się w uśmiechu. Widział, jak się uśmiecha, kiedy nad nim stała, i później do kelnera, kiedy przyniósł herbatę.

- *Arigato* - rzekła. Wydawała się silna i Yoshiro wiedział, że umie się śmiać, choć zaznała smutku. Chciał słyszeć jej śmiech. Jaki ona może mieć do niego interes? Co to ma za znaczenie?

- Nigdy nie umawiałam się z Japończykiem.

- A ja tak - odparł. Roześmiała się, więc zrozumiała. Jest bystra. Lubił, jak ludzie reagowali na jego dowcipy. - Ale

nigdy nie byłem sam na sam z cudzoziemką - skłamał.

- Więc oboje robimy coś po raz pierwszy - stwierdziła, kiedy podawał jej ognia. Jak na *gaijin* miała dobrą skórę. W zeszłym roku dostawca zabrał go w Australii do domu kobiet. Miejsce to nie grzeszyło czystością, a dziewczyna, z którą się przespał, miała chropawą, pryszczatą cerę. Mówiła: pieprzyć to i tamto, zalatywała piwem i tytoniem. Nie powinien jednak teraz myśleć o tej dziwce. Jego ojciec nie żyje, a przy stoliku siedzi z nim kobieta wysokiej klasy. Koło fortuny próbuje się dla niego odwrócić.

- Napije się pani jeszcze herbaty?

- Nie, dziękuję.

- Robi pani dziś wieczór coś specjalnego?

- Właściwie nie. Nie mam planów.

Chciał ją zaprosić na obiad, ale się zawahał. W razie odmowy straciłby twarz.

Popatrzyła na niego i zrozumiała, co mu chodzi po głowie. Wystarczy troszkę go popchnąć, jej nie wolno jednak przeholować. Może się myli. Oni wszyscy sprawiają wrażenie przyjaznych. Mimo to wiedziała, że coś mu dolega. Może miał zły dzień. Dlaczego ją miałoby to obchodzić?

- Lubi pani japońską kuchnię? - Niezobowiązujące, ogólne pytanie, które zawsze umożliwia odwrót.

- Każda kuchnia jest dobra. Mnie łatwo zadowolić - odparła. - W Tokio nie brak miejsc, gdzie można coś zjeść. Prawie nie sposób wybrać. A co pan lubi?

Więc to tak. Zjedzą razem.

- Ja też lubię wszystko. Pani decyduje.

- Nie mogę - odrzekła. - Przepraszam.

- Przepraszam - powiedział, na co się roześmiała.

- Dość lubię *tempurę*.

- Jest taka restauracyjka o trzy domy dalej. Nigdzie w Tokio lepiej nie smażą krewetek. To lokal japoński. W tym sensie, że nie dla turystów. Nie mają menu po angielsku.

- Wpuszczą mnie?

Skinął głową i próbował się roześmiać. Rozweselała go. Ludzie przez cały dzień tak się z nim cackali.

Zaczęli przyjaźnie gwarzyć o portugalskim pochodzeniu *tempury* i miejscach, gdzie najlepiej ją przyrządzają. On uśmiechał się coraz częściej, ona coraz rzadziej, aż wreszcie wstał i przywołał kelnera.

- Pójdziemy, proszę pani?

- Anno - powiedziała. - Na imię mi Anna.

- My, Japończycy, jesteśmy bardziej oficjalni. Ale będę do pani mówić Anno, jeśli pani sobie życzy.

Zarozumiały łądak. Jeśli pani sobie życzy. Rysy jej stwardniały, gdy płacił, on jednak tego nie zauważył. Jej się nie śpieszy. Potrzebuje go tylko po to, aby ją doprowadził do ojca. Więc może być dla niego miła. Stać ją na to.

- Bardzo to ładnie, że mnie pan zaprasza - powiedziała. Na pewno spodziewa się uprzejmości z jej strony.

- Niewątpliwie spodoba się tam pani. - Nie wspomniała jak dotąd, od kogo dostała jego nazwisko ani czego od niego chce, lecz Yoshiro się tym nie przejmował, gdy tak szedł z piękną *gaijin* u boku, a chłodne powietrze Ginzy owiewało mu twarz. Maszerowali szybko, w zgodnym rytmie, jemu zaś lekko było na duszy. Gdyby nie miał towarzystwa, zagwizdałby „It's a Long Way to Tipperary”. Lubił pogwizdywać tę melodię, gdy czuł się szczęśliwy.

Zrazu nie usłyszała, bo mówił cicho, a zagłuszało go skwierczenie smażącego się ciasta. W blasku papierowego lampionu wykrzywił twarz w udreće. Anna, łokciami wsparta o wypolerowany drewniany bufet, obserwowała kawałki ryb wkładane do wrzącego oleju. Opowiadała o Europie i Japonii, o książkach i samochodach, o pracy swojego męża. On milczał, kiedy zaś się odezwał, spojrzała na niego i zobaczyła jego oczy. Były otwarte, przydymione, smutne.

- Właśnie straciłem ojca - rzekł. - Umarł w zeszłym tygodniu. - Może powtórzył to dwukrotnie, ale równym głosem.

Umarł. Ot, tak po prostu. Nieoczekiwanie.

Niemożliwe. Porucznik Katsumata musi żyć. Nie mógłby po prostu skryć się pod opiekę duchów, zanim tu na ziemi stanie oko w oko ze swymi zbrodniami. Ale fakt pozostaje faktem. Yoshiro nie musiał dwa razy tego powtarzać. Mówienie o tym ułatwiła jej wesoła paplanina. Dotychczas nie nazywał rzeczy po imieniu, teraz pustka się wypełniła.

- Współczuję panu. - Anna zmusiła się, by to powiedzieć.

- Dziękuję - odparł, a na widok jej miny poczuł wyrzuty sumienia, że ją obarcza swoim smutkiem.

Zaciążył on Annie kamieniem, nie mogła złapać tchu. Jej ręka z papierosem spoczywała bez ruchu na drewnianym kontuarze. Choć zapiekł ją palec, ani drgnęła. Czy to kara za to, że Yoshiro wydał jej się pociągający? Przecież musiała się z nim zaprzyjaźnić, aby poznać jego ojca. Całe to skrupulatne planowanie na nic. Kłamstwa, udawanie, zabawa w ciuciubabkę. Wszystkie te bezużyteczne spotkania z ludźmi, te

nieszczere rozmowy prowadzone, aby znaleźć właściwego człowieka, historyjki zmyślane, aby nie wzbudzić podejrzeń Jonathana. I ta kupa forsy.

Sprawiła wrażenie zagubionej, poszarzałej, przestraszonej, więc serce wyrwało mu się do niej.

- Przepraszam, że o tym powiedziałem - rzekł.

Mówienie o śmierci było egoistyczne.

Skórę miała napiętą, ciało odrętwiałe. Czuli się oszukana, chora, musiała się zastanowić. Sama. Nie. Nie sama. Musi natychmiast porozmawiać z matką. Coś, co zrazu wydawało się oryginalnym etnicznym lokalikiem, urządzonym z prostotą i nieskazitelnie czystym, zamieniło się w spelunkę. W smrodzie oleju Anna straciła apetyt. Na ladzie stało zwietrzałe piwo, wypalone zapalki tkwiły w wilgotnych petach wypełniających popielniczki. Wszędzie pachniało rybami.

Obserwował coś, co uważał za paroksyzm bólu, i całkiem jej nie pojmował.

- Muszę już iść do domu, proszę pana - oświadczyła. Do diabła z manierami.

- Tak mi przykro - powiedział łagodnie. - To wyłącznie moja wina.

- Nie rozumie pan...

Och, był pewien, że rozumie. Widział ból w jej oczach. Oto kobieta, cudzoziemka, niepodobna do innych, którzy dzwoniли przez cały dzień. Wspólnie z nim przeżywa jego stratę, jakby się znali od urodzenia. Chce niezwłocznie wrócić do domu. Zostawić go samego, aby nie stracił twarzy, nie musiał jej zabawiać z sercem pełnym smutku.

Woli sama wydać się źle wychowana, zakończyć ten wieczór.

- Mam wezwać taksówkę?

- Mogę pojechać koleją podziemną do Shibuya. Stamtąd do mojego mieszkania jest już tylko parę kroków. - Złapała

płaszcz, torebkę i papierosy. - Porozmawiamy jutro albo pojutrze. - Podała mu swój numer telefonu i wyszła.

Yoshiro patrzył za nią. Zapowiedziała, że znów z nim porozmawia.

Okazała się przyjaciółką, gdy potrzebował przyjaciela, i wybawieniem. Teraz może pięćdziesiąt minut spędzić w pociągu linii Seibu, pojechać do domu i porozmawiać z żoną. Zobaczyć śpiące dzieci, wykapać się i położyć do łóżka. Pociąg nie będzie zatłoczony. Może też zostać tu trochę dłużej, zjeść i chwilowo zapomnieć o zmartwieniach. Jutro pójdzie do świątyni, potem w biurze stawi czoło panu Sato i będzie czujny. Angielce winien jest wdzięczność za to, że uchroniła go od rozczulania się nad sobą.

Na stacji kupił późne wydanie gazety finansowej i magazyn golfowy, zanim schodami ruchomymi zjechał w dół. Żona będzie czekać jak zawsze, poda mu filiżankę herbaty, piwo, napuści gorącej wody do wanny i namydli plecy. Yoshiro pograży się w spokojnej, jedwabistej ciszy swojego kimona i pomyśli. Jutro zadzwoni do Taisho swojego ojca z czasów wojny. Będzie gotów na spotkanie.

*

- To niczego nie zmienia. *Nada* - powiedziała matka Anny. - Będziemy ścigać syna.

- Nie rozumiesz. On nie... nie przypomina... nie przypomina wroga. Jest jak dziecko. Podobny do mnie.

- Weź się w garść. Taki jest zwyczaj. Sama mi mówiłaś. *Kataki uchi*, prawda?

- On... to wszystko nie ma już sensu.

- *Kataki uchi*, Anno. Ma obowiązek tego oczekiwać, tak jak ty masz obowiązek to zrobić. Będzie się tego spodziewał, jak się dowie.

Linia postępowania jest wyjątkowo wyraźna. Oczywiście matka ma rację. Oko za oko? Zemstę wymyślili Japończycy. Japonia więcej wojen stoczyła z zemsty niż o ziemię. Jaki to ma z nią związek?

- Więc młody Katsumata wychodzi ścieżką losu na linię strzału - powiedziała z udanym patosem.

- Brawo, *querida*. Pięknie to ujęłaś. Teraz idź spać. Coś wymyślę.

Coś wymyślisz. Jeśli to twoja walka, co ja tutaj robię? Toni odłożyła słuchawkę i gniewne „Dobranoc” Anny trafiło w próżnię.

Zadzwonił Jonathan. Próbował ją łapać przez całe popołudnie. Z kim rozmawiała o tak późnej porze? Czy wszystko jest w porządku?

Och, pewnie. Chodziła po sklepach i niczego odpowiedniego dla siebie nie znalazła. Ucieszy go wiadomość, że nawiązała z kimś kontakt w sprawie lekcji japońskiego. Z biznesmenem, który chce podszlifować swój angielski.

Świetnie. Cóż, jakkolwiek by było, odczuwa jej brak. Pogoda w Osace jest ładna. Przyjemnie spędził popołudnie. Pozwolił swoim przeciwnikom parę razy wygrać.

- Ty masz szczęście - powiedziała - dobrze się tam zabawiasz. Kiedy wracasz?

- Za trzy dni. Plan się zmienił. Zabierają mnie na krótko do uzdrowiska Arima. Wśród wzgórz nad Osaka. Nie mogę odmówić. Spodziewam się, że będą gejsze i różne różności. To tylko trzy dni.

- I trzy noce - rzuciła. Oboje się roześmieli. W jego głosie dźwięczała siła i przekonanie, gdy mówił, że ją kocha.

Za kwadrans dwunasta zadzwonił Yoshiro Katsumata. Po niepewnym tonie poznała, że długo zbierał się na odwagę.

- Mam nadzieję, że nie miała pani trudności z powrotem.
- Żadnych, dziękuję.
- Ja dziękuję za towarzystwo. Okazała pani wielką życzliwość i wyrozumiałość. *Oyasuminasai*. To po japońsku dobranoc.

- *Oyasuminasai*.

- Może pani dzwonić do mnie o każdej porze.

Taki sam jak ojciec. Pewny siebie drań. Jak śmie telefonować tak późno?

Dzwonić o każdej porze? Przekona się niebawem. Będzie się czołgać na kolanach. Będzie... Boże! Myśli zupełnie jak matka.

Nie przeproszał za telefon o tej godzinie i musiał cierpieć męki. Więc co z tego? Kogo ona próbuje nienawidzić? Żalostną imitację mężczyzny. Matka oczekiwałaby po niej nienawiści. Ale by wzbudzić w sobie to uczucie, musi się do niego zbliżyć. Być atrakcyjna. Od tej pory decyzje należą do niej.

Uspokajała się, lecz potrzebowała czegoś, co przyniesie ulgę.

Leżała w łóżku, rozkoszując się miękkością pościeli. Wypiła małego drinka i zaraz opuścił ją gniew. Widziała, jak Yoshiro wychodzi z biura, a potem bezradnie siedzi w kawiarni. Miał w sobie coś, czym przypominał jej pierwszego mężczyznę, którego poznała. Nie tylko poznała. Pierwszego mężczyznę, z którym się kochała. Nie pamiętała jego imienia. Może go nigdy nie знаła. Sprzedawał kwiaty, a matka nigdy się o nim nie dowiedziała.

Znów stanął jej przed oczami pociąg i twarz mężczyzny przyglądającego się, jak robi notatki. Jechała do Londynu po gwiazdkowe zakupy. Miała mętlik w głowie, więc zapisywała, co dla kogo kupić. Na początku w ogóle go nie zauważyła. Potem się odezwał:

- Jest pani o wiele za ładna na to, żeby tak pracować.

Podniosła na niego wzrok. Trzydziestoparoletni, z jasną cerą, dzięki okularom w czarnej oprawie wyglądał na intelektualistę. Ubrany był w szary garnitur w kratkę i brązowe, wyglansowane buty, a na kolanach trzymał magazyn motoryzacyjny. Mówił z akcentem nabytym w londyńskiej szkole średniej, nie wyjmując z ust niezapalanej fajki. W butonierce tkwił mu spłóviały czerwony goździk, na twarzy pozostało zacięcie po goleniu, białą koszulę zaś miał wymiętą.

- Słucham? - spytała, więc powtórzył uwagę.

- To właściwie nie praca - odparła i opowiedziała mu, po co jedzie do Londynu.

- Więc mieszka pani na wsi?

- Na przedmieściu, ale tylko w czasie wakacji. Niedawno zaczęłam studiować.

- Żałuję, że nie poszedłem na uniwersytet. Miałem taką możliwość, ale wtedy wydawało mi się to stratą czasu. Chyba nie potrafiłem się doczekać, kiedy zacznę zarabiać na życie. Za młodu człowiek jest głupi i bardzo się śpieszy. Teraz sprzedaję kwiaty. Ten w kłapie nie daje powodu do dumy, wczoraj jednak wyglądał dobrze.

Powiedział, że kwiaty sprowadza drogą lotniczą z Holandii, po czym sprzedaje do kwiaciarni w hrabstwach wokół Londynu. Nigdy nie widział, jak rosną, i wie o nich niewiele, ale jest zawodowym sprzedawcą i chwali sobie, bo w tej branży spotyka się miłych ludzi. U licha, zarabia się na utrzymanie.

Z podróży pociągiem Anna zapamiętała tylko, jak mężczyzna zaczął do niej mówić, jak wyglądał i co powiedział. Ponieważ miał wolny dzień, zaproponował, że z nią pójdzie, bo wie, gdzie można naprawdę tanio coś kupić. Jest samotny

i nie ma komu robić prezentów, oświadczył, a jej zrobiło się go żal. Poszła z nim z tego powodu, a przede wszystkim dlatego, że nigdy nic podobnego nie robiła i matka na pewno by jej zabroniła.

Spacerowali po Oxford i Regent Street i po uliczkach w tej okolicy, zaglądając do sklepów. Niosła coraz więcej paczek i do południa oboje mieli ich pełne ręce. Choć on nie odznaczał się szczególną inteligencją, był bystry i rozśmieszał ją kupieckimi kawałami. Ranek upływał łatwo, w sposób nowy, bezmyślny, całkowicie zależny od niej. Dobrze się bawiła, toteż nie zauważyła, że on poufale bierze ją za rękę albo obejmuje w pasie. Potem, po zjedzeniu sandwicza z jajkiem i pomidorem, zaprosił ją do siebie na kawę. Zostawili pakunki na stacji Waterloo i koleją podziemną pojechali do Fulham. Sprawy toczyły się szybko, inaczej, a przez cały czas spędzony ze sprzedawcą kwiatów ani razu nie pomyślała o poruczniku Katsumacie ani o tym, co z nim zrobią.

Leżała przy nim na jego łóżku, wpatrzona w sufit. Ona w kompletnym stroju, on w szlafroku, bo nie chciał wymiać ubrania. To jego szczęśliwy garnitur podróżny, powiedział, maszynka do robienia pieniędzy. Całował jej ramiona, czoło, głaskał ją po włosach. Jakimś sposobem została bez zakietu, który schludnie zawisł na oparciu krzesła. Później, już bez spódnicy, pończoch i pantofli, naga znalazła się pod kocem. Doświadczała czegoś nowego i czekała w milczeniu. Dotykał jej wszędzie, aż wyczuła jego twardość. Wiedziała, co to takie i co się stanie, lecz czekała. Ciepła bliskość tego czegoś wcale jej nie podniecała, więc leżała bez ruchu, jakby to inna dziewczyna była ze sprzedawcą kwiatów, a ona przyglądała się z kąta pokoju.

Pieścił jej piersi, twarz owiewał oddechem palacza. Dłońmi przesunął po jej brzuchu, w stronę wzgórka łonowego i niżej. Przycisnęła jego rękę. Matka była daleko, a jej ciało zaczęło się unosić i opadać. Nagle rozsunął jej nogi i dotknął tego najbardziej intymnego miejsca, co wywołało uczucie dziwne, lecz nie przykre, i naturalną wilgotność. Sprzedawca wziął ją i byłaby krzyknęła z bólu, gdyby ustami nie zakrył jej ust. Przez ułamek sekundy zanosiło się na to, że dozna rozkoszy, ale wtedy on zadygotał gwałtownie, zaklął i stoczył się na materac. Później ją przeprosił i na tym się skończyło.

Nie odezwał się więcej. Anna leżała przy nim i na próżno czekała na coś jeszcze. Czy za tym przepadają doświadczone dziewczyny? Za szybkim wnikaniem jednego ciała w drugie?

Teraz sprzedawca kwiatów uleciał Annie z pamięci i zrobiło jej się gorąco. W łóżku w Shibuya dokuczał jej głód, więc otworzyła oczy, wstała i poszła do małej kuchenki. Zrobiła sobie grzanekę i posmarowała masłem, otworzyła puszkę zupy szparagowej Camp-bella, zjadła jabłko, a wszystko to w półśnie, bo zostawiła w kuchni zapalone światło. Nazajutrz późno się obudziła. Ma mnóstwo czasu, a choć wie, że Yoshiro spodziewa się jej telefonu, każe mu czekać. Pokojówka napuściła wody do wanny i weszła do sypialni z opanowanym, nie zaraźliwym uśmiechem.

- *Dozo* - powiedziała. - Kąpiel gotowa.

Anna ściągnęła nocną koszulę i ukazała się kobiecie nago. Ta jeszcze raz się uśmiechnęła, wyraźnie zafascynowana i zażenowana, po czym umknęła z pokoju. Zadzwoił telefon, lecz Anna go nie odebrała. Jeśli to Jonathan, zadzwoni znowu. Zwłaszcza jeśli ma nieczyste sumienie, bo za dobrze się bawi. Telefon nie dawał za wygraną, a jego przewlekły dźwięk

towarzyszył jej do łazienki. Wiedziała, że pokojówka nie podniesie słuchawki, kiedy ktoś jest w mieszkaniu. Po ostatnim długim świśnięciu Anna weszła do wanny.

Woda była miękka, gorąca, a pot spływający po czole przyjemny. Anna wrzuciła kostkę brzoskwiniowych soli kąpielowych, od których woda raptownie nabrała barwy i zapachu. Na powierzchni utworzyła się piana, zakryła jej piersi i lekko, pieśczośliwie muskała sutki. Anna zapragnęła poczuć dotyk, o władnięta pełną wyczekiwania, daleką, podskórną namiętnością, łagodnym, niewyraźnym pożądaniami. Nie miało ono związku z żadną twarzą, ciałem czy głosem. Sięgnęła do włosów łonowych i niżej, co wywołało znany dreszcz podniecenia.

Pragnęła, ale nie była pewna kogo, bo od wielu lat nie zdarzało jej się pragnąć w samotności. Zawiedziona cofnęła rękę, jakby robiła to na oczach matki, a z matczynym głosem przyplęnęło poczucie winy. „Nie wolno się tak bawić. Bo oślepniesz”. Wyciągnięta w wannie czekała, aż woda ją opłucze i ochłodzi, a gdy ucichł głos matki, ujrzała czerwoną, nalaną twarz Jimmy'ego Hedgesa wpatrującego się w nią przekrwionymi, łakomymi oczami nad talerzem curry w indyjskiej restauracji Veeraswamy na Regent Street. Tej z olbrzymim hinduskim portierem w drzwiach.

Dlaczego teraz miałaby zakraść się jej do głowy myśl o Jimmym Hedgesie?

Woda w wannie wystygła, więc Anna, owinięta ręcznikiem, dygocząc wróciła do sypialni. Telefon odezwał się znowu. Dzwoniła matka. Annie było nieprzyjemnie w wilgotnym ręczniku.

- Kiedy się z nim spotykasz? - zapytała Toni. Żadnego „dzień dobry” ani „jak się masz”. - Nie pozwól mu uciec. Dowiedz się, co wie o przeszłości swego ojca. Czy zdaje sobie

sprawę, że mają wobec naszej rodziny dług honorowy? Dopiero wtedy możesz coś zaplanować. Czuję się teraz o wiele lepiej. Mogę przylecieć do Tokio, aby ci pomóc.

W rozmowie telefonicznej akcent Toni stawał się śmiesznie wyraźny. Anna jedną ręką trzymała słuchawkę, drugą próbowała się wycierać. Nie myślała o Yoshiro Katsumacie ani o tym, co mówi matka. Zabójca nie żyje, podobnie jak ofiara. Może obaj stoją gdzieś przed obliczem Boga i czekają, aż się naradzi z prorokami i świętymi przed ogłoszeniem wyroku. Sprawa wymknęła im się teraz z rąk, a zresztą wszystko uległo zmianie. Zapanowała przyjaźń; jej mąż siedzi z dawnymi wrogami w uzdrowisku Arima i nawzajem wznoszą toasty szkocką whisky.

- Jeszcze się z nim nie umówiłam. Powiem ci, jak tylko to zrobię. Nie można po prostu rzucić się na Japończyka. Wtedy oni się zamykają. Nie chcę wywoływać u niego zahamowań. Niczego się nie dowiemy, jeżeli nie poczuje się w moim towarzystwie swobodny.

- Nie ma się czego dowiadywać. Po prostu go złap. Bez ostrzeżenia, bez angażowania się.

- Bez angażowania się? Jestem w to zaangażowana. Byłam przez całe życie! Jak możesz tak mówić?

- Jimmy Hedges był tu w zeszłą niedzielę na lunchu. Planuje podróż na Daleki Wschód. Może przyjedzie się z tobą zobaczyć. Bardzo utył i kiepsko wyglądał. Powinien przejść na emeryturę i trochę się odchudzić, w przeciwnym razie umrze. Wyobraź sobie, pastorowa urodziła kolejne dziecko. Szóste. Można by ich wziąć za katolików.

Jak zwykle nie słucha - pomyślała Anna. Matka zapytała o Jonathana, więc Anna odparła, że wyjechał.

- Uściskaj go ode mnie - powiedziała matka i ucałowała ją przez telefon. Matka chyba zawsze coś przerywa. Coś dobrego. Tym razem zapomniała co, gdyż w zakłopotanie wprawił ją nowy temat poruszony przez matkę. Ale matka jest daleko, jest już słaba. Anna w przypiływie determinacji położyła się do łóżka i rozkoszowała dotykiem pościeli.

Przez zasłony sączyło się światło, więc nakryła się z głową. Jeśli chce, może przez cały dzień nie wstawać. Jest jej wygodnie i czuje się pewna i silna. W końcu uspiły ją panujące pod kołdrą ciemności.

14.

Ginęli w swoich wielkich skórzanych fotelach i wydawali się tacy starzy. Byli woskowymi figurami naturalnej wielkości, okazami muzealnymi. Ich drobne postacie karłowaciały przy dużym stole konferencyjnym. Jedni palili, inni popijali zieloną herbatę, wszystkie oczy jednak zwrócone były na niego. Pergaminowe twarze udawały zainteresowanie jego słowami, i Yoshiro wiedział, że czekają, aż skończy. Wyglądali na tak kruchych, wyczerpanych, znudzonych. Kuzyni, bratankowie i dwaj ludzie spoza rodziny. Tylko prezes, pan Sato, chyba słuchał, co mówi Yoshiro.

Obok prezesa siedział niemłody mężczyzna, którego Yoshiro nigdy przedtem nie widział. Miał siwe, rzędzące, krótko przystrzyżone włosy i wykrzywioną, pełną zmarszczek, surową twarz. Kiedy Yoshiro wszedł, aby wygłosić swe przemówienie, nikt nie przedstawił mu gościa, co oznaczało, że jest

kimś ważnym i pytanie o jego nazwisko byłoby niegrzeczne.

Z twarzą nadal pozbawioną wyrazu człowiek ten obserwował każdy ruch mówcy, ani razu natomiast nie spojrzął na pana Sato, aby ocenić jego reakcję. Oznaczało to, że są równi. Może razem chodzili do szkoły.

- Ze stałym biurem w Hongkongu albo w Singapurze moglibyśmy zwiększyć sprzedaż w Azji Południowo-Wschodniej - mówił Yoshiro. - Powinniśmy wchodzić do spółek z miejscowymi producentami. Musimy korzystać z miejscowej siły roboczej. Zarówno Hongkong, jak Singapur szybko się rozrastają, co otwiera przed Sato Kaisha nieograniczone możliwości. Nalegam, aby panowie wzięli pod uwagę moje plany i odpowiednio zaznaczyli tam swoją obecność. Jeśli pragniemy zdobyć zaufanie tych ludzi, musimy im pokazać, że zamierzamy zostać... naturalnie w sensie handlowym. Wielu dobrze pamięta naszą ostatnią niechlubną wizytę.

Mogą panowie twierdzić, że to samo robimy obecnie, ale tak nie jest. Zdaniem innych, na handel światowy zapatrujemy się jednostronnie. Ci potępiają coś, co się nazywa zbiorowym egoizmem Japonii. Twierdzą, że my właściwie nie chcemy, aby innym narodom wiodło się lepiej niż to konieczne, w każdym razie dopóty, dopóki je stać na nasze aparaty fotograficzne, zegarki i samochody. Będziemy musieli zacząć zwracać uwagę na to, co mówi świat, panowie, zanim się zrobi za późno.

Tłumaczymy sobie, że sukces zawdzięczamy ciężkiej pracy. To tylko częściowa prawda. Po prostu musimy dać światu szansę sprzedawania nam swoich towarów.

W tym duchu przemawiał już wcześniej i wiedział, że to bezcelowe. Aby cokolwiek osiągnąć, musi na stałe zająć miejsce przy tym właśnie stole. Raz im wyrębać, że to świat, nie on, uważa postępowanie Japonii za nieuczciwe. Utraci popularność, gdy powie ludziom prawdę, co nie ułatwi mu kariery. Inni też próbowali.

Na przykład stary pan Akashi w swych listach do redaktora „Asahi Shimbun”. Akashi, któremu kiedyś podlegał Yoshiro, przekazał mu całą wiedzę o handlu międzynarodowym. O świecie zewnętrznym i zamieszkujących go ludziach. Akashi od podszewki znał sposób życia *gaijin*, bo był jeńcem wojennym w Australii i najlepiej w firmie mówił po angielsku. Jemu Yoshiro zawdzięczał znajomość obiegu pieniężnego, bilansu handlowego, taryf i licencji importowych. A także umiejętność rozmawiania z cudzoziemcami, podejmowania ich i dostrzegania wad własnego społeczeństwa. Dawniej Akashi kierował działem handlu zagranicznego, nigdy jednak nie zasiadał w zarządzie. Stał się pośmiewiskiem góry Sato Kaisha na długo przedtem, zanim zmuszono go do odejścia.

Pisywał do gazet listy pod przybranym nazwiskiem i demaskował w nich nieuczciwe praktyki ministerstwa handlu. Czemu szkolimy ludzi, aby krążyli po świecie i sprzedawali nasze wyroby, a światu nie pozwalamy robić tu tego samego? Czemu ministerstwo tak utrudnia życie importerom, podczas gdy eksporterzy korzystają z ulg podatkowych i mogą sobie dużo zaliczać na poczet kosztów? Przed tymi cudzoziemcami, którzy istotnie coś sprzedają Japonii - pisał Akashi - wkrótce wyrasta mur przestarzałych, dławiących przepisów. Co gorsza, ceny w kraju wciąż się podwyższa, aby opłacić tani eksport.

W innym liście Akashi oskarżał przywódców japońskich o zbrodniczy egoizm. Cytował powołanie pod broń Tajwańczyków,

aby walczyli u boku swych japońskich panów w czasie drugiej wojny światowej, a obecnie odmowę wypłacania im emerytur i innych odszkodowań, którymi tak hojnie obsypuje się obywatele japońskich. *Boję się - pisał - co świat pomyśli o naszych obyczajach handlowych, które pewnego dnia ktoś porówna do naszych zakulisowych działań w Pearl Harbor.* Prasa zamieszczała mnóstwo tych listów, aż wreszcie wyszło na jaw, kto się ukrywa pod przybranym nazwiskiem. Zaczęto obrzydzać mu życie w firmie i rzucił pracę.

Yoshiro nie pisywał listów do gazet ani nie głosił swych opinii światu. Poglądy dawnego szefa przemycał w mocno zawoalowanych wypowiedziach na temat handlu międzynarodowego. Na ogół go słuchano, bo miał czysty głos, dobrą powierzchowność i poczucie humoru. Wskazywał na sukcesy firm inwestujących za granicą. Mówił o angażowaniu cudzoziemców i wspólnych przedsięwzięciach, organizował wyjazdy zagraniczne japońskich nabywców. Z całym przekonaniem opowiadał się za przyswojeniem społeczeństwu japońskiemu tego, co najlepsze w kulturze *gaijin*.

Po pierwsze, gdzie Japończycy uczyli się zawodu? Czyż założyciel Mitsubishi nie pojechał w tym celu na zachód?

- Czym się od nas różnią *gaijin*! Dlaczego niektórzy traktują ich tak podejrzliwie? Ludzie albo okazują im bałwochwalczą cześć, albo pogardę. Są albo olbrzymami, albo karłami. Przyjeżdżają tutaj i są wystawnie podejmowani. Jedzą, piją, kupują ciała japońskich kobiet, nie wolno im jednak kupować udziałów w przemyśle japońskim. Czy któryś z was przeżyłby taki wstyd, jakim byłoby małżeństwo córki z cudzoziemcem?

To nimi wstrząśnie - myślał Yoshiro, lecz twarze wciąż pozostawały bez wyrazu, może tylko twarz prezesa drgnęła. Nieznajomy pocierał swój kamienny podbródek. Należało porozmawiać o tym wszystkim z ojcem, niestety Yoshiro przegapił okazję.

Z praktycznego względu chciał dzisiaj dowieść swych racji. Chodziło mu o zgodę zarządu na wysłanie dwóch pracowników jego działu na rok do Stanów Zjednoczonych.

- Nasi ludzie powinni z pierwszej ręki czerpać wiadomości o obyczajach *gaijin*. Ważne jest, by rozumieli, co cudzoziemiec lubi, co myśli i czego potrzebuje. Tu w Japonii mamy inżynierów, lekarzy, artystów. Produkujemy każdą rzecz pod słońcem, lecz nie potrafimy się komunikować. Przyda się wysłać tych dwóch młodych ludzi do *gaijin*, z którymi będą żyli i pracowali. Sama znajomość obcego języka nie wystarcza.

Yoshiro dorzucił parę grzecznych słów pod adresem obecnych, po czym się uklonił.

- Dziękuję, że poświęcili mi panowie czas - rzekł z ponownym uklonem.

Głos zabrał prezes.

- Proszę, niech pan pozna starego przyjaciela firmy, panie Katsumata. - Obrócił się do gościa, którego przedstawił jako pana Masahiro Sakamoto, bankiera i byłego oficera armii cesarskiej.

- Pan Sakamoto zadzwonił do mnie dziś rano - mówił prezes, a kiedy mu powiedziałem, że pan zabierze głos na zebraniu, zapragnął wziąć w nim udział. Mam nadzieję, że słuchał pana równie chętnie jak ja.

Rozległy się oklaski, a Yoshiro usiadł i czekał na pytania. Spoglądał prosto w oczy pana Sakamoto, zimne, lecz czujne i mądre, patrzące bez zmrużenia.

- Cieszę się, że pana poznałem, młody człowieku - rzekł pan Sakamoto. - Jak na swój wiek ma pan duże doświadczenie i wiedzę. Wdzięczny jestem panu Sato za przywilej słuchania pana.

Zadowolony uśmiech pana Sato zwiastował dalsze brawa. A więc to ten człowiek może opowiedzieć o wojennych latach porucznika Katsumaty.

Dawny Taisho ojca siedział za stołem niczym góra, wyprostowany i dumny. Nie drgnął mu żaden mięsień twarzy. *Twardy gość* - pomyślał Yoshiro - *zdyscyplinowany wewnętrznie, z wymownymi zmarszczkami*. Starzy mężczyźni opowiadający o wspaniałej przeszłości potrafią być namolni. Taisho nie czekał, aż się z nim skontaktuje. Musi mieć coś w zanadrzu. Może jakieś wyznanie. Gdyby tak można było poprosić go wprost, jak robią to cudzoziemcy, aby wyjawiał, o co chodzi.

Yoshiro wstał.

- Mogę panom jeszcze czymś służyć? - Oczekiwał zwykłego pytania o koszty, lecz głos zabrał pan Sato:

- Myślę, że dzisiaj możemy sobie darować pytania, a zadać je panu Katsumacie na piśmie. Nasz wielce poważany gość, pan Sakamoto, chciałby zaprosić pana Katsumatę na prywatny lunch. Ta firma zawsze miała zwyczaj spełniać życzenia gości. Zamykam zebranie. Panie Katsumata, proszę poświęcić panu Sakamoto tyle czasu, ile zapragnie.

Nikt go nie spytał, czy ma czas, nie mógł też odmówić. A jednak miał to i owo do zrobienia, Angielka zaś jeszcze nie dzwoniła.

- Pójdziemy na lunch teraz - odezwał się pan Sakamoto głosem nieznoszącym sprzeciwu, pozbawionym wahania, grzeczności, względów czy uczuć.- Znam lokalik po drugiej stronie ulicy. Tam zjemy.

W sali konferencyjnej zostali już sami i skierowali się do drzwi. Pan Sakamoto musiał się cieszyć wielkim szacunkiem prezesa, skoro bez ograniczeń mógł korzystać z tego pomieszczenia. Zeszli schodami z ósmego piętra aż na sam dół. Stary mężczyzna nie chciał zjechać windą i machnięciem laski zbył tę propozycję. Ubrany był w ciemny prążkowany garnitur, w ręce trzymał szary filcowy kapelusz, lecz poprosił, aby niósł go Yoshiro. Mimo małego ruchu na Ginzie czekał na zmianę świateł. Kręcił głową, jeśli ktoś przechodził, z bezsilną złością człowieka, który już nie może rozkazywać. A jednak gdy usiedli naprzeciwko siebie przy stoliku, na jego twarzy zagościł kapryśnie dobrotliwy wyraz. Rozchylił usta w uśmiechu i zamówił dwie zielone herbaty, po czym wciąż uśmiechnięty błysnął oczami.

- Katsumata - cicho przemówił bankier - ponieważ zieloną herbatą powitałem twojego ojca w Singapurze, wypada, abyśmy zrobili to samo na jego cześć.

Yoshiro zapalił papierosa, a stary człowiek popatrzył na niego współczująco i rzekł:

- Niedawno rzuciłem palenie. W pewnym momencie trzeba zrezygnować z niektórych szaleństw młodości; kiedy głowa nie wytrzymuje skutków alkoholu, a mięśnie odmawiają posłuszeństwa. Za moich młodych lat nikt nie mówił o szkodliwości papierosów. Lepiej wyrzucić tę paczkę, póki płuca masz jeszcze różowe.

Mimo gorzkiego smaku papierosa Yoshiro palił dalej.

- Jesteś trochę podobny do ojca, Yoshiro - ciągnął Taisho protekcyjnym tonem. - Był większy i znacznie młodszy niż ty obecnie, kiedy pierwszy raz wszedł do mojego gabinetu. Tego, jak wiesz, bardzo dzielnego człowieka prosto z urlopu

w Japonii rzucono w sam środek zdobytego Singapuru, gdzie unosiły się jeszcze dymy i sadze, i panował głód.

Wysyłałem go na śmierć do Birmy czy Tajlandii, zlecałem mu misję, z której prawie na pewno się nie wraca, o czym wiedzieliśmy obaj. Brali w niej udział inni ludzie, wszyscy już z wyrokami śmierci, bo nie można było dopuścić do ich powrotu. Pamiętam jego reakcję. Nie chciał prowadzić armii przyszłych nieboszczyków w pułapkę, ale jako oficer i człowiek wysokiej klasy nic nie powiedział. Mimo dobrego wykształcenia, nie brał jeszcze udziału w walkach. W tej trudnej godzinie Japonia potrzebowała jego inteligencji, hartu ducha i zdolności przywódczych, ja zaś w braku kogoś innego musiałem się nim posłużyć.

Oczywiście twój ojciec wywodził się z twardej rasy hokkaidzkiej i tej samej klasy co ja, choć o tym nie rozmawialiśmy. Zabrakło czasu na przygotowanie go do misji, więc w dżungli miał się kierować intuicją i pomysłowością odziedziczoną po przodkach. Byłem pewny, że to zrobi, wciąż się jednak o niego martwiłem, bo nie znał całej historii. Wiedział, dokąd i z kim się udaje, i mniej więcej w jakim celu. Nie wiedział dlaczego, ponieważ nie mogłem mu powiedzieć. Tę tajemnicę znało zaledwie paru ludzi z dowództwa w Singapurze.

Czy wiesz, że po wojnie widywałem się z twoim ojcem? Spotkaliśmy się przypadkiem na Ginzie. Przyszliśmy właśnie tutaj, a potem umawialiśmy się dość często. Mimo to nigdy nie powiedziałem mu prawdy. Nigdy. Nie miałem okazji, a może i nie chciałem.

Twarz Taisho po raz pierwszy zdradziła jakby wahanie.

- Może wstydzilem się mu powiedzieć, dlaczego musiał wyruszyć do Tajlandii i Birmy i jaki był prawdziwy powód

tego zabijania, ale tobie powiem. Kiedy zaś następnym razem będziesz się modlić i rozmawiać z duchem swojego ojca, możesz mu powiedzieć, że to zrobiłem. Nigdy go już nie spotkam, bo nie wierzę, aby wszystkie dusze udawały się po śmierci w to samo miejsce. Wszyscy należymy więc do Japonii, tak jak należeliśmy wtedy w Singapurze. Mam nadzieję, że zrozumiesz. Z upływem czasu i lat różne sprawy ukazują się w nowym świetle. Może ty postąpiłbyś tak samo. Może nie. Nie wiem. Mam ci dużo do opowiedzenia, więc zamówmy coś, a później posłuchasz.

Taisho klasnął w dłonie, staromodnym zwyczajem przywołując kelnera.

- Nie miałem zostać żołnierzem - podjął pan Sakamoto. - Urodziłem się w bankierskiej rodzinie z Hiroszimy, która na przełomie stuleci wyemigrowała do Tokio. Wszyscy jej członkowie odznaczeni byli bezwzględnością, pracowitością i sprytem, wszyscy odnosili sukcesy, dopóki ster nie przeszedł w ręce mojego ojca.

Niektórzy ojcowie są lepsi od innych. Mężczyzna, który mnie spłodził, w ogóle nie interesował się bankiem. Ani mną, ani nikim innym, tylko sobą. Jako najstarszy syn zrzekł się swych praw na rzecz mojego stryja i tym sposobem zapoczątkował moją karierę w wojsku. Może mi oddał przysługę.

Twój ojciec zabrał swe wątpliwości do grobu. Prosił, abym ci opowiedział, co robił w czasie wojny i jaką odegrał w niej rolę. Kiedy spotkaliśmy się po raz ostatni, do czegoś mnie zobowiązał. Jeszcze raz prosił, bym z tobą porozmawiał, i musiałem dać mu słowo. Siedzieliśmy tutaj, niedaleko od twojego biura.

Yoshiro nie rozumiał, dlaczego ojciec nigdy nie zaprosił go do towarzystwa. Bywały okazje. Może próbował. Yoshiro

dużo pracował, a ojciec nie chciał zwichnąć mu kariery. Przez ostatnie dwa lata Yoshiro miał czas wyłącznie dla przyjaciół z firmy. Poddany obserwacji przed mianowaniem na członka zarządu, zazwyczaj czuł się winny, gdy wstawał od biurka. To jego wina.

Co robi teraz z dala od biura? Czy naprawdę chce usłyszeć, co stary żołnierz ma mu do powiedzenia o jego ojcu?

- Twój ojciec, podobnie jak ty, usiłował zrozumieć *gaijin*. Uważam, że tuż przed śmiercią miał na tym tle obsesję. Rozmawiał z tobą kiedyś na ten temat?

- Nie.

- Cóż, ze mną tak. Za młodu dwa miesiące spędziłem w Europie i miał mnie za znawcę cudzoziemskich zwyczajów. Lepiej byłoby, gdyby pogadał z tobą. Będąc w Europie, zadawałem się wyłącznie z innymi Japończykami.

- Nic się nie zmieniło. Za granicą Japończycy zawsze polegają na innych Japończykach, każą im się oprowadzać. Korzystają z japońskich linii lotniczych i przewodników.

- My, Japończycy, lepiej się czujemy we własnym towarzystwie.

- Naprawdę tak pan sądzi?

- Tak. Może za długo żyliśmy w izolacji. Jesteśmy narodem konserwatywnym, rozumiesz.

Yoshiro powstrzymał się od komentarza. Chętnie by coś powiedział, lecz pan Sakamoto z uwagi na wiek i stanowisko zasługiwał na szacunek i cierpliwość. Niektóre rzeczy pozostają niezmiennie. Przyniesiono potrawy, a w czasie ich podawania i jedzenia nic nie mówili. Rozlegało się tylko młaskanie wargami i językami, odgłosy pośpiesznego przelknięcia i czkania.

- Smakowało ci? - zapytał Taisho.

- Tak, proszę pana - odparł Yoshiro, po czym w ciszy pan Sakamoto przemówił głosem Taisho.

Yoshiro wiedział, że później będzie nad tym rozmyślać. Zapamięta wszystko prawie tak, jakby był z nimi w Singapurze. W charakterze świadka. Widza. Przed oczami staną mu ci dwaj mężczyźni, a postać porucznika Katsumaty zajmie w jego myślach nowe miejsce. Młody oficer z Hokkaido, o tym samym co on nazwisku. Yoshiro nie ma nic wspólnego z tamtym mężczyzną ani z tym, co mu się przydarzyło. Pan Sakamoto mówił, Yoshiro siedział na widowni i oglądał pokaz czyjejś przeszłości.

15.

Spieszył się. Kiedy zostawiał *gaijin* w ich celi, chmury nadciągały ze wszystkich stron. Lada moment rozlegnie się grzmot, więc przebiegł przez dziedziniec, aby dotrzeć do gabinetu Taisho. Ordynans otworzył mu drzwi. Wszedł, stanął na baczność, po czym się skłonił i zasalutował. Taisho pisał raport z porannej egzekucji.

- Niech pan siada - powiedział. - Za chwilę będę gotów. Tę papierkową robotę trzeba odwalić. Nie wiadomo, kiedy obejmę dowodzenie w polu.

Nad miastem zebrały się chmury i daleki zakątek ciemniejszego nieba rozświetliła błyskawica.

Porucznik Katsumata z pobladłą twarzą wyglądał przez okno, gdy grzmotnęło, jakby szrapnel rozerwał się na tysiąc odłamków, a następnie załomotał w stary budynek. Taisho

skończył i podpisał raport, po czym wręczył go Keichiemu.

- Proszę to przeczytać i podpisać, jeśli się zgadza.

Keichi podniósł kartki do światła, a że czytał szybko, zaraz odłożył je na biurko i podpisał.

- To pański ostatni wieczór w mieście i ma pan Singapur do dyspozycji. Przygotowałem dla nas małą rozrywkę.

- Dziękuję panu.

- Żołnierz niewiele ma przyjemności. Ańe czasami na zwyciężęcę czeka nagroda. Łupy wojenne, jeśli pan woli. Subtelne, ładne łupy. Jest pan żonaty, ja także, obaj jednak przebywamy z dala od domu i dziś w nocy będziemy korzystać z dobrych stron zwycięstwa.

Taisho wyjął z szuflady butelkę cudzoziemskiej whisky, pociągnął łyk i podał ją Keichiemu.

- Niech pan ją weźmie. To z prywatnych zapasów człowieka, który zajmował ten gabinet przede mną.

Aksamitny, złocisty alkohol przeniknął mu do krwi i rozgrzał wnętrznosci. Butelkę zdobila wesoła etykieta połyskująca w świetle.

- Weźmiemy butelkę ze sobą - oświadczył Taisho, po czym zadzwonił na ordynansa i kazał przygotować samochód. - Jedziemy z fasonem do niezniszczonej części miasta. Dziś w nocy zapomnimy o naszych stopniach i aż do powrotu tutaj będziemy po prostu mężczyznami.

Keichi powstrzymał się od komentarza i drugi raz łyknął z butelki. Nie przywykł do potężnego działania trunku na pozór tak łagodnego, więc gdy zajęli miejsca w samochodzie Taisho, kipiał wewnątrz, coraz silniej podniecony. Ulice świeciły pustkami, oni zaś mknęli szerokimi alejami tylko we dwóch. Prowadził Taisho.

- Wkrótce, po usunięciu gruzów, ludzie nabiorą do nas zaufania. Znowy wyjdą na ulice, pojawią się słynne przydrożne kuchnie, wieczorne powietrze przesyca woń suszonych ryb, smażonej wieprzowiny, ryżu i przypraw. Choć obecnie występują tu braki, nie odbije się to na jakości obiadu. Nasz gospodarz, chiński kupiec, ma powiązania z Japonią. Jemu nie brak niczego.

Niebawem znaleźli się na peryferiach. Po wjeździe na prywatną drogę, która chyba przecinała park, ujrzeli dom. Stał samotnie na końcu krętego podjazdu. Po obu stronach ozdobnej bramy z lanego żelaza świeciły dwie lampy naftowe, a uśmiechnięty Hindus, cały w bieli, wyprężył się na baczność i zaszalutował, kiedy ich samochód się zatrzymał.

- Jesteśmy na miejscu - rzekł Taisho - u bram nieba. - Dom był duży, biały, z wysokimi kolumnami i białymi okiennicami, trawnikami, fontannami i żywopłotami. Reflektory oświetlały ściany, gdy zaś Taisho zgasił silnik, z mroków nocy dobiegły nikłe dźwięki muzyki. Przestało padać, a miriady brylantowych kropelek deszczu iskrzyły się na brukowanej alejce, którą szli goście.

Dobrze ubrany Chińczyk stał przy otwartych drzwiach z powitalnym uśmiechem na twarzy.

- Witam w mych niskich progach - rzekł.

- To pan porucznik Katsumata - powiedział Taisho. - Właśnie przybył do Singapuru, a wyjeżdża jutro wieczorem. Pożegnalne przyjęcie jest na jego cześć.

Gospodarz odebrał od nich peleryny i czapki, po czym wyciągnął rękę po szablę, Taisho jednak nie odpiął swojej. Pan domu złożył okrycia na ramieniu służącego, który stał za jego plecami.

- Zaprowadzę panów do pokoju - odezwał się Chińczyk. - Oczekuje tam panów mój osobisty lokaj. Obiad ugotuje mój

kucharz i kosztując jego przysmaków, na pewno zapomną panowie o wojnie.

Zasiedli po japońsku przy niskim stole. Na podłodze rozrzucono poduszki, biały obrus podkreślał barwną obfitość zdobiących go owoców, bananów i ananasów, mango i kawonów, dojrzałych gujaw, papai, flaszowców i winogron, pięknie ułożonych, tak że dekoracja, podłużna i wąska, kształtem przypominała wyspy japońskie. Stał tam srebrny półmisek pełen różnego zimnego mięsiwa, ryb i jarzyn. Drewniany ruchomy barek oferował baterię butelek godną wystawnego przyjęcia, a ciche dźwięki fletu sączyły się do pokoju. Na ścianach wisiały chińskie litografie, parawany ilustrowały dawne bitwy, którym przyglądają się ładne kobiety.

- To nic nowego - stwierdził Taisho patrząc na sceny batalistyczne. - Za męstwem każdego żołnierza stoi kobieta. One jednak przyjdą tu później. Najpierw musimy porozmawiać.

Zaczekał, aż lokaj wniesie półmiski z gorącym jedzeniem i zniknie. Chiński kupiec zajrzał, aby wysłuchać podziękowań za wspaniałą gościnę.

- Na razie będziemy sami - warknął Taisho. - Po godzinie przyślijcie dziewczęta, wszystkie.

Gospodarz skłonił się z uśmiechem i zamknął za sobą drzwi. Na dworze znów się błyskało i grzmiało z dawną siłą.

- Jutro po zmroku łódź będzie czekać w porcie na pana i pańskich ludzi. To przerobiona łódź wycieczkowa. Należała kiedyś do bogatego Anglika i może na niej wygodnie spać dwanaście osób. Zachodni kolonialisci umieją żyć, Katsumata, lecz nie umieją umierać. Na pokładzie wymalowaliśmy czerwony krzyż, choć nigdzie nie widać Królewskiej Marynarki ani Królewskiego Lotnictwa. Załogę stanowi trzech

oficerów marynarki cesarskiej. Wiedzą, dokąd płyniecie, ale nie wiedzą po co. Będą na was czekać w porcie Pattaya, dopóki nie wrócicie.

Zaraz po waszym wylądowaniu w Tajlandii zgłosi się do pana kapitan Kato, którego rozkazów będzie pan słuchać do wyruszenia w dalszą drogę. Kapitan Kato dostarczy panu samochód i poinstruuje, gdzie jechać. Jedzenie panu smakuje?

- Tak, dziękuję.

- Oficjalnie to będzie pański urlop w Bangkoku. Niektórzy pana znajomi z ambasady jeszcze tam są i nic nie wiedzą o misji. W Tajlandii wie tylko kapitan Kato. Dwaj *gaijin*, dla osób zainteresowanych niemieccy oficerowie, też będą tam na urlopie. Zatrzymacie się w Hotelu Orientalnym nad rzeką. Chyba mogłby im pan pozwolić na kontrolowaną swobodę ruchów. Tajlandia to kraj z nami sprzymierzony i w razie ucieczki nie dotarliby zbyt daleko. Birmańczycy też zamieszkają w Orientalnym, ale muszą pozostawać pod strażą. W Bangkoku mieszka dużo Birmańczyków i niektórzy mogą trzymać z wrogiem. Kampania była tam ciężka, ale nie wszyscy Azjaci rozumieją, czym jest wolność. Za długo pozostawali niewolnikami *gaijin*. My, Japończycy, na szczęście zachowaliśmy ciągłość historyczną na własnej ziemi.

Kapitan Kato powie panu, kiedy wyruszyć z Bangkoku. Dostarczy najświeższych informacji o jeńcu. Jak mówiłem, on nie chce wracać. To mogłoby utrudnić wymianę i może trzeba go będzie porwać. Jeśli zaistnieje konieczność sprowadzenia go siłą i nie dojdzie do wymiany, pan zadecyduje o losie *gaijin* i Birmańczyków. Żaden z nich nie powinien przeżyć i opowiadać tej historii. W czasie podróży nie powinien pan zanadto się do nich zbliżać, bo w decydującej chwili mogłby pan zapomnieć, że to nieprzyjaciele. Jest pan oficerem

armii cesarskiej i potrafi wyjść z tego z honorem.

Porucznik Katsumata zdawał się starannie notować każde słowo w pamięci. Nie zdradzał najmniejszej ciekawości czy zainteresowania własnym losem. Taisho powiedział, że misja zakończy się z chwilą przekazania mu starszego oficera w Bangkoku. Katsumata odpłynie łodzią do Singapuru, gdzie czekać na niego będą dalsze rozkazy.

- Tego planu - rzekł Taisho - ma się pan trzymać.

Jeśli w ostatnim momencie zajdą zmiany, zostanie pan o nich poinformowany przez kapitana Kato.

Gdyby jemu coś się przydarzyło, ma pan postępować zgodnie z planem. Proszę pamiętać, że po ostatniej odprawie będzie pan zdany na własne siły. To wszystko, Katsumata.

Taisho wziął ze stołu butelkę wina Kikumasamune, które pije się w uroczystych chwilach.

- Przed bitwą żołnierze piją tym winem swoje zdrowie, Katsumata. *Rampai!* - Wypili.

Taisho zdjął szablę i pas, i gestem polecił Keichiemu zrobić to samo. Zadzwoił srebrnym dzwoneczkiem, na co drzwi się otwały i chiński kupiec wprowadził trzy młode dziewczyny. Stały naprzeciw gości pod ścianą.

- Chinę, Malajkę czy Hinduskę - powiedział Taisho. - Proszę sobie wybrać tę, która się panu podoba, albo wszystkie trzy.

Muzyka znów popłynęła z ukrytego głośnika, a Kei-chi upił łyk mocnego trunku z cudzoziemskiej butelki.

- Niech pan za dużo nie pije - rzekł Taisho - tylko pozwoli się pieścić wybranej dziewczynie. Może pan złożyć głowę na jej piersiach, a ona zaśpiewa o miłości tak, że pan zapomni o wszystkich słyszanych dotąd pieśniach.

Na dworze ucichła burza i przestało padać. Jasna tarcza księżycy w pełni wychynęła zza chmur, aby rozświetlić niebo.

*

W innym czasie i miejscu Yoshiro Katsumata siedział jak zahipnotyzowany. Poraziło go nie tyle opowiadanie, ile sposób, w jaki pan Sakamoto i jego głos wywołał tamtą rzeczywistość. Widział ojca i Tais-ho przyglądających się dziewczętom, spośród których ojciec miał dokonać wyboru. Jak mogły te słowa, te żywe, piękne opisy pochodzić z ust tego nudziarza? Czy są wytworami jego własnej udręczonej wyobraźni?

Yoshiro obserwował ruchy warg pana Sakamoto, ale nic nie słyszał. Mimo to widział dwóch mężczyzn w domu chińskiego kupca przed trzydziestu trzema laty, obserwujących kobiety, które ich przyszły zabawić.

- Nie była czystej krwi Malajką - podjął pan Sakamoto. - Może miała domieszkę krwi *gaijin* lub chińskiej, na co wskazywała alabastrowa biel jej skóry, okrągłe oczy i długie, piękne nogi widoczne w rozcięciu spódnicy. Włosy miała czarne i długie, zęby śliczne. Uśmiechnęła się do Keichiego, a on wskazał na nią i spojrzawszy na mnie powiedział: „Tę wybieram”. Wstał, aby ją wyprowadzić, ale go powstrzymałem, bo zostawaliśmy na miejscu. Służba odsunęła stół, rozłożyła na podłodze materace i prześcieradła, po czym zgasły światła.

Pan Sakamoto urwał. Napił się trochę zielonej herbaty i przeprosił Yoshiro.

- Nie powiem nic więcej, ponieważ był twoim ojcem.

Yoshiro nie musiał tego słyszeć z ust pana Sakamoto. Czuł zapach lawendy, róż i ziół, słyszał szelest odzieży ocierającej się o nagą, delikatną skórę. Czuł dotknięcia, słyszał namiętne

szepty tam na podłodze, daleko i dawno temu.

Widział uśmiechniętą Malajkę, leżącą na wznak, z rozłożonymi ramionami i nogami. Potem zobaczył zrzucone męskie buty, spodnie, wreszcie nagie plecy mężczyzny. Kobieta przysunęła się bliżej, pocierała głowę mężczyzny, całowała go w uszy, gryzła. Kiedy ją wziął, ktoś wydał okrzyk ulgi i obraz się zamazał.

Wokół nich rozsnuła się szarość, nikt im nie przeszkadzał, Yoshiro zaś słyszał jedynie głos pana Sakamoto.

*

Rano, o wschodzie słońca, dwaj oficerowie zjedli przy tym samym stole śniadanie. Poszli się przejść do ogrodu, później ruszyli z powrotem przez zamożne przedmieścia. Teraz słońce prędko wspinało się po czystym błękitnie nieba. Domy, dumne białe wyspy kolonialne, wyłaniały się z zielonych, dobrze utrzymanych parków. Rosły w nich palmy kokosowe i królewskie, krzewy róży chińskiej obsypane kwieciami, storczyki i papaje, niekiedy róże. Były niebieskie baseny kąpielowe i korty tenisowe.

- To tutaj *gaijin* trwonili pieniądze, jakie przynosiła im ta kolonia - rzekł Taisho.

Ich światem zawładnął poranek, z radia płynęła głośniejsza wojskowa muzyka. Nie rozmawiali już i w milczeniu słuchali wiadomości. Wyłącznie dobrych. Zwycięstwa na terenie całego nowego imperium. *Azja zbrojnie pokonała Europejczyków* - beznamyślnie mówił spiker. Po nieuchronnej klęsce zachodniego imperializmu wkrótce zapanuje pokój. Nasze wspaniałe wojsko powróci na te brzegi i stąd narzuci nowy porządek, który zgodnie z przeznaczeniem stworzy.

Dwaj brytyjscy oficerowie odbywali spacer na dziedzińcu, gdy samochód się zatrzymał. Za nimi kroczył uzbrojony

strażnik, prowadził ich na niewidzialnej smyczy. Keichi miał nadzieję, że bez wstydu będą patrzeć, jak po nocy zakazanych rozkoszy wchodzi do budynku wolny. Świeży błękit nieba i myśl o bliskim wyjeździe napełniły go nowym optymizmem. Na stole leżała zakodowana depesza z Bangkoku.

- Wszystko w porządku - oznajmił Taisho. - Kapitan Kato jest gotów i będzie na was czekać w porcie Pattaya. Ustalono już miejsce pobytu starszego oficera.

- Czy mogę z szacunkiem zaproponować, abyśmy pozwolili jeńcom spędzić cały dzień na świeżym powietrzu? Ten gest na pewno docenią.

- Nie obchodzi mnie ta uwaga. W postępowaniu z nimi musimy mieć na względzie dobro misji, nic więcej.

- Tak jest. Przepraszam.

- Niech pan się zbytnio nie zbliża do tych *gaijin*.

*

Pan Sakamoto oświadczył, że jest zmęczony i zaraz skończy. Ma - stwierdził - znacznie więcej do opowiedzenia. Przedstawił młodemu człowiekowi tło ojcowskiej misji. Odmalował przeszłość w najlepszych barwach, jakie potrafiła dobrać jego pamięć.

- Przywiązałem się do twojego ojca - rzekł. - Nawet go polubiłem. Nie cierpiałem go okłamywać i robiłem to wyłącznie z miłości do Japonii i cesarza. Przyjaźń między mężczyznami jest chwilowa. Tylko Japonia i tron są wieczne.

- Co się stało potem? Czy odpłynęli łodzią tej nocy?

- Po południu odbyło się zebranie. Siedzieliśmy w moim gabinecie, gdzie na ścianie wisiała duża mapa. Zabierał głos twój ojciec i starszy oficer, który omawiał teren i partyzantkę.

Zastanawiałem się, kto przeżyje misję. Wiedziałem, że sierzant i dwaj żołnierze zginą wkrótce po powrocie. Nie wiedziałem, co będzie z Birmańczykami i oficerami *gaijin*. O tym zadecyduje los. Twój ojciec musiał wrócić, bo miał dostarczyć starszego oficera. Musieliśmy go odzyskać, zanim tamci się dowiedzą, kim jest i co reprezentuje. Przez „my” rozumiem armię w Singapurze, nie rząd w Tokio.

- Sądziłem, że wy, żołnierze, ślepo słuchacie poleceń rządu.

- Zdradzasz nieposzanowanie, lecz ja to rozumiem. Czasy się zmieniły. Tak czy owak, nie zawsze zgadzaliśmy się z Tokio. W kwaterze głównej w Singapurze większość stanowili żołnierze, którzy często widzieli to, czego nie dostrzegali biurokraci w Tokio. Armia cesarska toczyła własną wojnę, nie było to jednak zdradą. Miała osłaniać cesarza i zbudować mu imperium bezpieczne dla niego i jego narodu. Czasem musieliśmy coś robić na własną rękę. Byliśmy na miejscu. Wojsko chciało za wszelką cenę odzyskać tego oficera. Wolałbym na czele tej misji postawić kogoś bardziej doświadczonego, bo twój ojciec nigdy by nie zrozumiał niezgody między rządem a wojskiem. Tylko żołnierz zawodowy mógł pojąć, że wykonywanie politycznych poleceń przez wojsko potrafi przybierać różne formy.

Zapadał wieczór i na całej Ginzie zapalały się światła. Pan Sakamoto przeprosił, że na tak długo oderwał swego rozmówcę od pracy. Dotychczas był całkiem odprężony, ledwie jednak wypowiedział te słowa, przybrał inną postawę. Wydawał się poruszony. Wstał.

- Muszę już iść. Mam na dziś zaproszenie.

Kazał kelnerowi przywołać swój samochód i podpisał rachunek. Nie zgodził się, aby Yoshiro podał mu płaszcz, i po

paru minutach obaj stanęli przy drzwiach.

- Zadzwoń za parę dni - rzekł pan Sakamoto bezbarwnym głosem. - Nie oceniaj naszego pokolenia zbyt surowo - dodał, gdy nadjechał samochód, a szofer wyskoczył, by otworzyć drzwiczki.

*

W biurze czekała wiadomość od pani Bellingham: „Proszę zadzwonić, jak pan będzie mógł”. Z Hokkaido telefonowała jego matka. Spóźnił się też na zebranie swojego działu. Ludzie jeszcze siedzieli przy biurkach, stukwały maszyny do pisania. Yoshiro wysłał asystenta do sali konferencyjnej zawiadomieniem, że coś go zatrzymało. Nie dodzwonił się ani do matki, ani do pani Bellingham.

Po podpisaniu paru listów i papierków poszedł na zebranie. Wszyscy wstali, kiedy się zjawił, lecz gestem kazał im usiąść i nie przerywać narady. Nieobecny duchem, udawał, że siedzi i słucha, tak jak członkowie zarządu na ósmym piętrze. Myślał o mężczyźnie z opowiadania Taisho. Tamten Keichi Katsumata był inny; daleki i obcy. Trudny do nawiązania kontaktu, bo młodszy niż prawie czterdziestoletni Yoshiro, a do tego żołnierz, zagrożony całkiem innym niebezpieczeństwem.

Podwładni czytali sprawozdania finansowe i prognozy, a tymczasem Yoshiro zamknął oczy niby w skupieniu. Mężczyzna z opowiadania pana Sakamoto był obcy, jakby żył na innej planecie. Yoshiro będzie musiał do niego przywyknąć, spróbuje go zrozumieć, zanim go uzna za człowieka, który niegdyś był jego ojcem.

Księga trzecia

Koło fortuny

16.

Londyn, październik 1975

Recepcjonistka poprosiła o znaczek, bo jej mały siostrzeniec je zbiera, a nigdy jeszcze nie widział japońskiego.

- Proszę bardzo - odparł Jimmy Hedges. - Może go pani odmoczyć.

Rysunek w rogu pocztówki nie odznaczał się szczególną urodą. Kartka była od Anny, która donosiła, że ich życie toczy się normalnie, a Jonathan chyba dobrze sobie radzi. Ona się zastanawia, czy nie napisać książki o dzisiejszej Japonii. Czy wśród swych pacjentów Jimmy ma wydawcę? Czy przyjedzie się z nimi zobaczyć? Załączała uściski i to wszystko.

Córka odziedziczyła widocznie zdolności literackie po Dereku - stwierdziła Toni, kiedy Jimmy powiedział jej o książce. Lepiej późno niż wcale. Czy ma na to czas? Jaki jest tytuł książki?

- To tylko pocztówka, do licha. Przeczytałem ci ją dwukrotnie.

- Naprawdę wracasz na Wschód?

- Myślę o tym. Tylko myślę. Chwilowo jestem tak zajęty, że nie mogę wyjechać. A nawet rozmawiać. Tłum ludzi czeka za drzwiami. Jedni są chorzy naprawdę, inni z urojenia.

129

Będę musiał pójść i zobaczyć.

- Możemy porozmawiać o twojej podróży w czasie weekendu. Przyjedziesz w niedzielę na lunch, co?

- Owszem - rzekł i odłożył słuchawkę.

Jimmy trochę mijał się z prawdą. W poczekalni oprócz sekretarki znajdowała się tylko ta straszna baba, jedna z jego najstarszych pacjentek. Pamiętał, jak dwa razy wychodziła za mąż i dwukrotnie zostawała wdową, i latami słuchał o tych samych dolegliwościach. Znakomite ubezpieczenie gwarantowało jej pełny zwrot kosztów leczenia. Jimmy nie mógł jej umknąć dzisiaj ani żadnego innego dnia. Irytowała go sama jej obecność, lecz nade wszystko głos, na który nie było lekarstwa. Cienkim, metalicznym głosem cedziła słowa, a robiła to powoli, wymawiając każde tak, jakby czytała Biblię głuchoniememu cudzoziemcowi. Godzinę będzie gadać o dolegliwościach i bólach, a choć zazwyczaj by tego słuchał, dziś trochę się niecierpliwił i złościł. Tyle domyśliła się recepcjonistka, nim oznajmiła o przybyciu pacjentki. Samorzutnie udzieliła jej rady, lecz wdowa nie chciała słuchać, nie zamierzała się pozbawiać przyjemności opowiedzenia doktorowi Hedgesowi o obecnych swoich kłopotach. Przecież od lat płaci mu za słuchanie. Na ogół był uosobieniem uroku, wyrozumiałości i współczucia.

- W moim stanie - zapiszczała w odpowiedzi na słowa recepcjonistki - nie mogę się przejmować jego złym humorem.

- Co pani dokucza, najmilsza? - zapytał doktor Hedges, gdy ją wprowadzono.

- Cóż, panie doktorze, pamięta pan ten dawny ból tutaj, poniżej piersi. Dokucza mi od dwudziestu czterech godzin, a nie wierzę, że niestrawność może trwać tak długo. Nie dość

na tym. Chyba straciłam energię. Nie mogę chodzić na zakupy, bo się męczę po paru minutach, i nie mam ochoty na jedzenie. Nawet najmniejszej, a pan wie, jaki mi dopisuje apetyt. Na dodatek odczuwam dolegliwości kręgosłupa i proszki nasenne wcale nie skutkują. Wywołują jedynie depresję. Nie spałam od ostatniej wizyty u pana w zeszłym tygodniu.

Patrzył na nią i słuchał jednym uchem. Mógł sam to wszystko wyrecytować i często tak robił, ale dziś myślał o ewentualnych wakacjach na Wschodzie. Z twarzą ściągniętą z wysiłku próbował sobie przypomnieć nazwy miejscowości i czas potrzebny na odwiedzenie ich wszystkich. Pani Jakiej-tam, bynajmniej nie zrażona jego milczeniem, brała je za oznakę zainteresowania i paplała bez końca, gdy tymczasem on cofał się w odległą przeszłość. Słyszał, jak bardzo zmienił się Singapur i jak Lee Kwan Yu stało się nowoczesnym miastem, przedmiotem zazdrości świata. Ale są jeszcze pozostałości cesarstwa. W starym hotelu Raffles wciąż można dostać napój ze słodzonego dżinu z wodą, równie dobry jak kiedyś, i na trawniku grywa się w krykieta. Hinduscy służący przedzierzgnęli się w kupców i handlują japońskimi aparatami fotograficznymi. W nowo powstałej fabryce montuje się mercedesy benz, a Singapur rozrasta się i obejmuje nowe tereny odebrane morzu. Port, który Jimmy widział po raz ostatni, gdy odpływali z tym porucznikiem Katsumatą, jest teraz najruchliwszym portem azjatyckim. Ciekawe, co się stało z budynkiem, w którym przetrzymywano jego i Dereka Pritcharda, a co z porucznikiem Katsumatą?

*

Ich łódź, elegancka, wygodna, o klasycznych liniach, była małym cudem. Nawet wymalowany przez Japończyków czerwony krzyż nie zdołał ukryć dumnego, kształtnego dzioba.

Wtedy nie miała wiele więcej jak rok. Do jej budowy użyto najlepszego drewna dębowego, tekowego i iroko, a morski silnik o dużej mocy pracował równie cicho, jak niezawodnie. Jimmy Hedges zawsze miał słabość do łodzi i w pewnym okresie trzymał na rzece Hamble własną o długości sześćdziesięciu dwóch stóp. Jego zamiar, aby kanałami La Manche i du Midi dopłynąć na Morze Śródziemne, spełzył na niczym, bo po rozejściu się jednej z par rozleciała się reszta dobranego w tym celu towarzystwa, spędził jednak przyjemnie sporo weekendów na pokładzie.

Tamta łódź, choć też ładna, nie umywała się jednak do tej, którą Derek Pritchard, Katsumata i pozostali popłynęli do Tajlandii. I nie pamięta równie cudownej pogody ani morza tak spokojnego, błękitnego i ciepłego. Nie wie na pewno, jak długo płynęli do Pattaya. Zapomniał. Pamiętał, że Katsumata i Derek Pritchard opalali się na pokładzie dziobowym, wieczyste gwarząc ze sobą w tym przeklętym języku hiszpańskim, podziwiając się nawzajem. On nie mógł rozmawiać z pozostałymi Japończykami, a Birmańczycy trzymali się razem.

Jedzenia mieli pod dostatkiem, porucznik Katsumata zaś wziął ze sobą parę butelek szkockiej whisky. Szafował nią dość hojnie, gdyż podobnie jak Derek, nie gustował w napojach wysokowych. Ich abstynencja krępowała Jimmy'ego i niekiedy nasuwała myśl, że jest zamierzona. Sierżantowi i dwóm żołnierzom nie pozwalano siadać z nimi do stołu. Obficie zaopatrzoną jadalnię zarezerwowano dla Katsumaty i jego jeńców. Birmańczycy umieli się zachować przy stole, obaj dobrze znali angielski, więc prowadzono ogólne rozmowy, lecz tylko podczas posiłków. Oficer marynarki, który

był kapitanem łodzi, dotrzymywał im niekiedy towarzystwa, ale ten cichy człowieczek mówił niewiele i wyłącznie po japońsku.

Wszyscy mogli swobodnie przechadzać się po łodzi. Tylko raz skorzystano z usług lekarskich Jimmy'ego, gdy jeden z marynarzy dostał biegunki, lecz sukces medyczny na nikim nie wywarł wrażenia. W czasie tego spokojnego, wypoczynkowego, acz samotnego rejsu Jimmy wyczekiwał pory posiłków i smaku szkockiej whisky Katsumaty.

Derek Pritchard rozmawiał z nim jedynie wtedy, kiedy musiał przetłumaczyć coś, co powiedział Katsumata. Z biegiem czasu zatarły się smutne wspomnienia i ta podróż kojarzyła się Jimmy'emu wyłącznie ze swobodą, jedzeniem i błękitem morza. Królewska Marynarka Wojenna ani razu nie zakłóciła tego, co obecnie wydawało się przyjemną wycieczką. Kiedyś przechwyciła ich fregata japońska i podpłynęła do burty. Ledwie jednak porucznik Katsumata rozwinął zadrukowaną kartkę papieru, którą trzymał ze swym zbiorem map, pozwolono im płynąć dalej.

- Sądząc po liczbie map morskich, które nosi ten żółty skurwieli, moglibyśmy płynąć dookoła świata - zwrócił się Jimmy do Dereka. Ten głupiec usłyszał tylko słowo „skurwieli” i besztzał go przez godzinę za nazwanie tak Katsumaty. We dwóch tworzyli małe towarzystwo wzajemnej adoracji i ustawicznie jeden szukał drugiego. Może język, jakim się posługiwali, przywodził Derekowi na myśl żonę.

Mogło to być coś więcej, ale tego Jimmy nigdy nie rozgryzł. Oficer japoński musiał być absolutnie lojalny w stosunku do Tojo, bo inaczej nie powierzono by mu tej misji. Z drugiej strony Derek, lewicujący liberał, gdyby mógł, w pojedynkę rozgromiłby wszystkich faszystów na świecie. Mówił

po hiszpańsku jedynie dlatego, że na ochotnika bił się po stronie przegranej podczas wojny nie będącej, po pierwsze, jego wojną.

W Cambridge moda nakazywała należeć do Czerwonych i Jimmy naraził się na niepopularność, gdy bez ogródek przeciwstawił się jadącym do Hiszpanii. Nawet teraz, ilekroć spotkał znajomego z młodzieńczych lat spędzonych nad rzeką Cam, odżywała dawna niechęć. Nikt nie wiedział właściwie, dlaczego należy go unikać. Przystawali, gawędzili, po czym nagle przypominali sobie, że się śpieszą na ważne spotkanie albo na pociąg, i odchodzili, zanim wymienili numery telefonów.

A może tylko to sobie wyobrażał.

W rzeczywistości nie potrzebował nikogo, bo ojciec pozostawił mu trzydzieści tysięcy funtów i dom na Harley Street, gdzie miał zasłynąć jako lekarz osób z towarzystwa. W roku 1946 był bogatszy od większości kolegów, a jako rozważny młody człowiek, słuchał rad swojego księgowego. W połowie lat pięćdziesiątych jego pakiet papierów wartościowych wielokrotnie przewyższał spadek. Wyrobił sobie znakomitą praktykę, zmierzał w określonym kierunku i nie musiał się w niczym ograniczać. Może i nie był najlepszym lekarzem na świecie, ale miał swój styl, werwę i urok. A co najważniejsze, pozostał kawalerem; potrafił słuchać i zwłaszcza kobiety za nim przepadały - większość z nich pragnęła kontaktu z mężczyzną, który nie lekceważył dolegliwości swoich pacjentek, tak jak to czasem robili ich mężowie. Był przesadny, jowialny, znał się na winach, a niekiedy mówił im, jak bardzo są pociągające i jak żałuje, że się u niego leczą.

- Wie pani - mówił raz po raz z ubolewaniem - nie ożeniłem się, bo gdybym to zrobił, nie mógłbym liczyć na zdobycie pani.

Takie wyznanie pełnego werwy i zrozumienia, nienaganie ubranego przedstawiciela jego zawodu pochlebiało. Najczęściej tego rodzaju zachęta pomagała wyleczyć chorobę, z którą do niego przyszły.

Zachowała się duża fotografia młodszego, szczuplejszego Jimmy'ego Hedgesa z czasów po odzyskaniu przez niego wolności. Krążyły pogłoski, że aby się nie dostać do japońskiego obozu, przeszedł setki mil przez dżungle, góry, pola minowe i rzeki. Niechętnie grał rolę bohatera. Niechętnie, bo nigdy nie opowiadał o latach wojny, choć nie zaprzeczał pogłoskom. *Gadanie - mamrotał - zwracanie głowy, najlepiej o tym zapomnieć.* Dlaczego ludzie mieliby wiedzieć, jak dobrze się bawił u Japończyków?

- Pana zdaniem aspiryna szkodzi na żołądek? - zapytał piskliwy głos. - Może powinnam zmienić dietę. - Pacjentka koniecznie chciała dostać równowartość swoich pieniędzy, lecz Jimmy nie dosłyszał pytania. Nie pierwszy już raz.

- Razowiec jest podobno zdrowy, ale tuczący, prawda, panie doktorze?

Pani się po prostu starzeje - chciał powiedzieć. Jak my wszyscy. Ma pani twarz ściągniętą, zmarszczki wokół oczu, a farbowane blond włosy nikogo nie zmylą. Sucha skóra nada je rękom wygląd podeszew, za dużo się też pani opala. Czuć pani z ust, piersi są wyschnięte. Proszę spojrzeć na mnie, na moje powiększające się czoło, brzuszysko i żylaki. Nie potrafi pani lepiej ode mnie oszukać lat. Taką cenę płacimy za to, że nie umarliśmy młodo. Ale po co urażać ludzi?

Więc rzekł:

- Nie. Tutaj choroby żołądka wywołuje jakiś wirus. Zaczęło się to w kensingtonskim przedszkolu. Chyba atakuje tylko w najlepszych dzielnicach.

Dzięki Bogu za wirusy. Każdą dolegliwość pod słońcem da się na któryś z nich zwalić.

Nie nazywają już tego Orientem. Dzisiaj mówią o Dalekim Wschodzie, zimną nazwą geograficzną zastąpili Orient i jego magię. Zamiast jak dawniej odbywać czarowną podróż statkiem przez Kanał Sueski i dalej Ocean Indyjski, leci się obecnie wiele godzin w zamknięciu odrzutowca. Odeszli plantatorzy herbaty, z Indochin Francuzi, z Cejlonu Brytyjczycy, na ich miejsce pojawiły się tanie zbiorowe wycieczki do Hongkongu, gdzie ceny są niskie, więc ludzie robią zakupy. Król Syjamu stał się monarchą konstytucyjnym, w Pattaya małe dziewczynki sprzedają się za marki, dolary, funty i jeny.

A jednak Jimmy Hedges pragnął tam wrócić, obserwować bezkresne morze, miłośnicie tłukące w portowe nabrzeża, i wspominać małą łódź wycieczkową, którą płynęli do Tajlandii. Darmową wojenną wycieczkę z japońskim porucznikiem w roli przewodnika. Lecz tylko pierwsza część tej podróży była przyjemna. Jimmy zaś nie zamierza myśleć o końcu. Wszystko to działo się dawno temu, było złe, ciemne i przynębiające. Nie powinien o tym myśleć.

Skoncentruje się na czymś innym. Na nie istniejącym lekarstwie na wyimaginowaną chorobę pacjentki. Na szklance czegoś przed obiadem. Otóż to. Kaze sobie przysłać obiad. Na początek gotowany na parze okoń morski w sosie imbirowym, podsmażany ryż i *chow mein*, cienkie jak opłatek plasterki wołowiny. Od wczoraj trzyma na lodzie butelkę chablis. Właśnie. Chińskie dania. I talerz liczy na zakończenie uczyty. Mógłby też poprosić o gotowane na parze grzyby w sosie ostrygowym, w razie gdyby jeszcze był głodny. Lubił gumowate, nie przegotowane.

Znów ocalił dzień, jak zawsze. A mało brakowało, by wciągnęło go to, co było bolesne w jego wojnie i wędrówce przez Tajlandię, ta jej część, którą siłą woli starał się - na ogół z powodzeniem - wymazać z pamięci. Dziś utonęła w oceanie rozkoszy gastronomicznych. Mógł zanotować, co zamawia u Kung Chi, i dać kartkę recepcjonistce.

Otóż to. Właśnie jedzenia chciał znów skosztować na Wschodzie. Dlatego pragnął tam wrócić. Nie po to, aby odgrzebywać szkielety, które najlepiej zostawić w spokoju.

Pani Jakjejtam jeszcze raz opowiadała o bólu pleców, więc spytał, czy mu wybaczy, jeśli zanotuje pewne szczegóły.

Wyjął pióro, nagryzmolił: ryba, ryż, cienkie jak opłatek plasterki wołowiny, wszystko porządnie wymienił i podkreślił, razem z grzybami i *chow mein*. Po skończeniu posłużył się suszką i zadzwonił na recepcjonistkę. Zareagowała ze zwykłą szybkością, a wręczając jej kartkę Jimmy mrugnął. Uśmiechnęła się z miną osoby operatywnej i zniknęła. Widocznie się starzeje - pomyślał. Zapomniałem o liczi. Przy odrobinie szczęścia Kung Chi będzie pamiętać, ale może i nie.

Pacjentka przestała mówić o plecach.

- Jest pan cudotwórcą, panie doktorze. Już mi lepiej. Chyba pójdę do domu i napiję się herbaty. Bez ciastek i biskwitów, obiecuję też nie tknąć sera. Może trochę owoców? - Jimmy podniósł słuchawkę, usłyszał, jak recepcjonistka zamawia dla niego jedzenie, przerwał jej i dwukrotnie krzyknął „liczi”. Pani Jakjejtam uznała to za dobrą myśl. Ma w domu puszkę liczi, które będą pasować do herbaty. - Co ja bym bez pana zrobiła, panie doktorze? - powiedziała. - Tak dobrze się czuję, odzyskałam apetyt.

Jimmy odłożył słuchawkę.

- Tak być powinno, proszę pani - odparł. - Po to tu jestem. Po to pani tu jest. Za to przesyłam pani te rachunki. - Pacjentka wstała, oświadczyła, że wart jest wszystkich tych pieniędzy, i wyszła.

W gabinecie zapanowała cisza. Przez otwarte drzwi Jimmy słyszał, jak recepcjonistka zamyka maszynę do pisania. Przygotowywała mu listy do podpisu i zostanie, dopóki chłopiec z chińskiej restauracji nie przyniesie zamówionego jedzenia. Stołowy był o piętro wyżej, ale Jimmy chciał zjeść tutaj. Była dopiero szósta, zgłodniał jednak po wczesnym lunchu.

- Dzwoniła pani Pritchard - powiedziała recepcjonistka. - Prosiła, żeby pan koniecznie oddzwonił. Mam pana połączyć teraz, panie doktorze, czy nie zapomni pan zrobić tego po obiedzie?

- Proszę połączyć mnie teraz - odrzekł.

Toni była podniecona.

- Przepraszam, że ci przeszkadzam, Jimmy, ale muszę z tobą pomówić o twojej podróży.

- Myślałem, że omówimy ją w niedzielę. Odwołujesz lunch?

- Och, nie, skądże znowu, ale posłuchaj. Są powrotne loty do Bangkoku za sześćset funtów, włącznie z dwutygodniowym pobytem w hotelu.

- Dwa tygodnie to za mało. Zresztą chcę polecieć i do Singapuru, ale nie wiem, czy odpowiadałyby mi tanie hotele, rezerwowane przez organizatorów tych wycieczek.

- To Siam Intercontinental, najpiękniejszy hotel w Bangkoku. Nowy, Jimmy.

- Wolę Orientalny...

- Podobno nie jest już taki jak wtedy, kiedy mieszkaliście tam z Derekiem. Kiedy ta kobieta i Derek... - Umilkła. *To nie może jeszcze boleć* - pomyślał - *po z górą trzydziestu latach.*

Nie należało o tym mówić, postąpił głupio, nie zamierzał jednak wytrącać jej z równowagi. Derek nie żyje od tak dawna, a po raz pierwszy powiedział jej o Tajce z dziesięć lat temu. Może piętnaście. Dlaczego Toni musi się złościć? Nie jest dzieckiem. Opowiedział jej tę historię tylko dlatego, że jego zdaniem powinna mniej facetowi współczuć. Do diabła, była wojna.

- No, no - rzekł swym głosem lekarza. - Zapomnij o tym. Jakie to teraz ma znaczenie? Co mi miałaś do zakomunikowania?

Nie odpowiedziała. Nie chciała się przyznać do złości. Ta głupia stara zazdrość o zmarłego. Milczała, ale nie odkładała słuchawki, bo słyszał jej oddech. Zadzźwięczał dzwonek, rozległy się kroki recepcjonistki, otwieranie i ponowne zatrzaśkiwanie drzwi.

- Nigdy nie patrzył na inne kobiety, Toni. Wiesz o tym. Na litość boską, weź się w garść. Czasem żałuję, że w ogóle coś ci mówiłem. Trzeba było siedzieć cicho, ale ty nalegałaś, prawda? Nie dawałaś mi spokoju. Chciałaś wiedzieć, co mówił i kiedy, jak się śmiał i dlaczego. Chciałaś wiedzieć, jak jadł, co i ile. No więc, co miałaś do powiedzenia o mojej podróży?

- Porozmawiamy w niedzielę. Mam dla ciebie parę broszur. Informowałam się w biurze podróży.

Usłyszał, że recepcjonistka wychodzi. Obiad mu wystygnie.

- Dobra, Toni, pogadamy w niedzielę, ale o tamtym nie chcę słyszeć. Daj mi słowo.

- Zobaczymy się w niedzielę. No, to na razie.

Głos w słuchawce umilkł, a Jimmy siedział przez chwilę, zanim wstał, aby się zabrać do gorących kartoników Kung Chi. Cierpliwie, powoli, z zamilowaniem nakrywał na biurku. Jedzenie było gorące, wino lodowate, kiszki marsza mu grały.

Kazał sobie czekać, aż weźmie pałeczki, serwetkę i kieliszek z rżniętego szkła. Dopiero gdy wszystko już poukładał i przez chwilę ponapawał się rozkosznym widokiem, nalał sobie kieliszek chablis. Zimne wytrawne wino było znakomite, spływało gardłem i przenikało do krwioobiegu. Wypił dwa kieliszki, nim się zabrał do okonia. Chciał zaatakować ryż, dopóki ma w ustach rybę, a równocześnie spróbować wołowiny, dysponował jednak całym wieczorem, więc postanowił się nie spieszyć.

Wreszcie skończył, wrócił na miękki skórzany fotel i popatrzył na stół. W pojemnikach nie zostało absolutnie nic. Oderwanie pojedynczego ziarenka ryżu przyklepionego do podstawki pod talerz, possanie go i przelknięcie zajęło Jimmy'emu bite dwie minuty. Teraz, nasycony, poczuł zmęczenie, ale za małe, by zasnąć. Nadszedł czas na miłe wspomnienia, więc je przywołał, nalewając sobie resztki wina.

Hotel Orientalny. Ten dzień, który tak długo miał wytrącać z równowagi wdowę po Dereku Pritchardzie, Jimmy'emu Hedgesowi dostarczył mnóstwa przyjemności. Teraz, równie dobrze jak kiedy indziej, może myśleć o tym, wspominać, przeżywać to od nowa.

17.

Do Bangkoku przybyli przed dwoma zaledwie dniami. Japoński oficer, oczekujący ich w porcie Pattaya, zabrał porucznika Katsumatę na całodzienny spacer, jeńcy zaś pozostali na pokładzie. Oficerowie wrócili dopiero pod wieczór.

140

Derekowi Pritchardowi ten drugi nie przypadł do serca, więc gdy Katsumata udał się do miasta, a lódź powierzył opiece nowo przybyłego, Derek odczuł wyraźny niepokój. Drugą noc też spędzili na łodzi. Anglikom pozwolono robić, co zechcą, gdy tymczasem oficer, kapitan Kato, przesłuchiwał Birmańczyków. Sierżant był tej nocy na przepustce, dwaj żołnierze niezbyt pilnie pełnili wartę, a Derek usiłował odpowiadać na pytania Jimmy'ego, ciekawego, co właściwie zamierza z nimi zrobić Katsumata.

Katsumata - mówił Derek - *wyjawiał mu nieco więcej*. Japończykom bardzo zależy na jeńcu, przetrzymywanym przez probrytyjskich partyzantów birmańskich, na którego wymianię jego, Hedgesa i dwóch towarzyszących im Birmańczyków.

- Bzdura - odparł Jimmy. - Zastrzelą nas. Ten Japończyk to sprytny skurwysyn. Dostanie swojego człowieka, po czym obu nas zastrzeli.

- Nie znasz Katsumaty tak dobrze jak ja. Wierzę, że dotrzyma słowa.

Następnego wieczora Katsumata zaprosił dwóch Anglików, wymytych, czystych i eleganckich w niemieckich mundurach, na obiad do Hotelu Orientalnego. Niedługo mają wyruszyć, więc urządził sobie pożegnalne przyjęcie, zapomną o czekającym ich zadaniu, własnej narodowości i wojnie. Porucznik spodziewał się, że będą, jak wyjaśnił Hedgesowi Pritchard, po prostu ludźmi. Współtowarzyszami podróży.

Jakimż romantycznym durniem był ten Derek. Lecz wtedy wieczorem okazał się wesoły, sympatyczny i Jimmy pamiętał, że wydał mu się niemal bliski. Jego bezgraniczna naiwność osiągnęła tamtego wieczora nowe szczyty. Może Jimmy'emu zrobiło się go żal.

Weszli za sierżantem do holu hotelowego.

- Noel Coward usłyszał melodię do sztuki *Prywatne życie* w tokijskiej taksówce - rzekł Derek. - Sztukę napisał właśnie tu, gdzie teraz jesteśmy. Wyobraź sobie.

W rozgrzanym powietrzu, za białymi żaluzjami spacerowali wśród bambusów po krytym tarasie. O tej dość wczesnej porze słońce wypuszczało drżącą ognistą strzałę w kierunku rzeki. Załoczony, rozkołysany wodny autobus pełził blisko brzegu, a terkot jego silnika przesywał wieczorną ciszę. Obok spokojnie przepływały pnie drzew i kwiaty, zgniłe owoce i zielenina.

Porucznik Katsumata siedział przy stoliku, kiedy się zjawili. Wstał na ich powitanie. Hedges zauważył nieomylny przeblysł uczucia na rozpromienionych twarzach Japończyka i Dereka. Katsumata odprawił sierżanta i strażników.

- Dzisiaj będziemy sami. Jak tego pierwszego dnia w Singapurze, tyle że nie w celi. Zjemy obiad tutaj. - Mówił po angielsku, nie po hiszpańsku.

Dookoła stołu znajdowało się sześć krzesel.

- A te są dla kogo? - spytał Hedges

- Wkrótce spotka nas przyjemność damskiego towarzystwa.

Jimmy zauważył minę Dereka.

- Wyglądasz jak chłopak przyłapany na paleniu w szkolnej bibliotece. Fajna cizia to nic złego.

- Powinieneś się wstydzić.

- Ja nazywam rzeczy po imieniu. Wezwano nas tutaj, żebyśmy sobie popieprzyli na koszt japońskiej armii cesarskiej. Mogę cię wyręczyć, Pritchard, jeśli wolisz zachować wstrzeмиęźliwość.

Katsumata odwrócił oczy i nie widział rumieńca na twarzy Dereka.

A potem przyszły dziewczęta. Trzy. Młode, szczupłe, z kwiatami we włosach. Sunęły w stronę stołu tak, jakby nie

dotykały stopami ziemi. Złożyły dłonie jak do modlitwy i skłoniły głowy. Ich kruczoczarne włosy lśniły w ostatnich promieniach słońca padającego zza rzeki; uśmiechały się nieśmiało. Jimmy Hedges był porażony. Nie oczekiwał tej niewinności w ich postawie. Miały w sobie czystość i wdzięk.

- Odwołuję wszystko, co powiedziałem, Derek. Twój przyjaciel Katsumata ma styl. To raj. Bogu dzięki za tę misję. Wyobrażasz sobie alternatywę? Do tej pory gnilibyśmy w singapurskiej celi, a takie niebiańskie istoty chodziłyby po mieście w oczekiwaniu, aż ktoś je weźmie. Jutro rano mogą odstrzelić mi dupę, mój chłopcze. - Pamiętał, jak pożałował, że użył tego ordynarnego wyrazu. Przy stole panowała atmosfera subtelności i elegancji. Porucznik Katsumata go nie usłyszał. Rozmawiał z jedną z dziewczyn, podczas gdy dwie obserwowały jego i Dereka.

Katsumata dobrze mówił po angielsku.

- Miejskowa kuchnia to połączenie indyjskiej z chińską, z domieszką birmańskiej i malajskiej. W kraju występuje obfitość owoców morza i trzy razy do roku zbiera się ryż. Dla uczczenia okazji wypijemy razem butelkę whisky. Jutro mogą panowie wstać tak późno, jak im przyjdzie ochota. Proszę nie zwracać uwagi na mundury przy tym stole, zwłaszcza na mój. Szabla, którą widzicie, jest tylko paradną częścią mojego stroju. Nigdy się nią nie posługiwałem. Jeśli w niedalekiej przyszłości będę musiał użyć broni, to tylko w waszej obecności i w waszej obronie.

Przerzucił się na hiszpański i Derek rad, że ma zajęcie, z pełnym przekonaniem tłumaczył słowo po słowie.

- Nie wierz mu - rzekł Hedges. - Niepotrzebnie usiłuje odwrócić naszą uwagę od rzeczywistości. Ja tam czuję się całkowicie odprężony. Możesz mu powiedzieć, żeby swoje

pacyfistyczne brednie zachował dla kogoś innego.

- Czy ty w ogóle nikomu nie ufasz?

Jimmy byłby odpowiedział, gdyby nie pojawiły się dania: smażone krewetki, kurczęta owinięte z liście banana, pucharki mleka kokosowego przyprawionego curry i ziołami, ryby *placapong* smażone we wrzącym oleju, kraby i chrupiące homary w pikantnym sosie, a do tego całe tony parującego białego ryżu. Po wieczorze powoli następowała noc, od rzeki powiał chłodny wietrzyk, lecz nikt nie zauważył, że ciemnieje horyzont i zapalają się światła. Na drugim brzegu rzeki nad mgłą i czubki palm wystrzeliwały pagody, wszędzie dookoła odzywały się świerszcze.

*

Jimmy Hedges był zmęczony. O mało nie zasnął w gabinecie. Choć to nie Hotel Orientalny, kuchnia Kung Chi prawie mu nie ustępuje. Wspomnienia tej nocy sprzed lat. Wróci na Wschód.

Myśl o Tajlandii była przyjemna, niemal tak nęcąca jak łóżko na górze. Jimmy wstał ze stęknieniem, poszedł do sypialni i usiadł na łóżku. Materac się zapadł, sprężyny zakrzypiały pod jego ciężarem. Zapalił stojącą lampę i znów się dźwignął, aby zgasić wiszącą Tiffany'ego, ładną, z ciemnozielonymi liśćmi otulającymi beżową oprawę, delikatniejszą po zgaszeniu żarówki. Jimmy leżał na plecach i patrzył przez okno. Będzie musiał wstać i zaciągnąć zasłony, jeśli ma spać długo, tak jak tego ostatniego poranka w Bangkoku. Ale oczy mu się kleiły, wspomnienia i jedzenie napępniały go zadowoleniem, więc nawet się nie rozbierał. Zawsze może się zdrzemnąć, a potem wstać i zasłonić okno. Potrafił spać przy sączącym się do pokoju świetle słonecznym. Bał się ciemności i zawsze miał na nocnym stoliku zapaloną lampę. To

dlatego większości swych przyjaciółek nie pozwalał zostawać na noc. Tego sekretu nie chciał zdradzić nikomu, wyjątek stanowiła jedynie Trudi - obecna przyjaciółka, czterdziesto-ośmioletnia niemiecka wdowa - a ona nigdy nie robiła komentarzy. Rozluźnił krawat, zrzucił buty i obrócił się na bok, plecami do światła. Zasnął.

18.

Nie cierpiał zdrobnienia „Jamie”, jakiego używała Trudi, zamiast mówić mu „Jimmy” czy „James”. Miała wyraźny akcent niemiecki, którego bez większego powodzenia usiłowała się pozbyć. Była wojenną żoną, przywieziona do Anglii z ruin Monachium i jak większość Bawarczyków odznaczała się jowialnością, często wybuchała śmiechem bez powodu. Jej mąż zmarł, a syn wyemigrował do Australii. Prowadziła biuro podróży i zarabiała tyle, że mogła żyć dostatnio i bez ograniczeń podróżować. Miała niewybredne gusty i nie domagała się zbyt wielu rozrywek. Lubiła gotować, jemu jednak nie smakowało to, co robiła.

Jimmy Hedges sypiał z Trudi od jakichś pięciu lat. Romans rozwijał się leniwie, Jimmy nie musiał jej ścigać, zabiegać o nią ani się zalecać, Trudi zaś do szczęścia wystarczył bukiet kwiatów i piwo. Dla Trudi Jimmy był uosobieniem angielskiego dżentelmena, którego żeńskim odpowiednikiem sama pragnęła zostać. Ta hoża, dobrze zbudowana kobieta o zdrowej cerze, zawsze elegancko ubrana, przychodziła do

145

niego o każdej porze, po czym wracała do domu nie upierając się, że po przebudzeniu musi go mieć u swego boku, jeśli on tego nie chciał. Namiętna i dbała, umiała wzbudzić w nim poczucie, że jest męski, silny i ważny..

Tego wieczora zabrał ją do restauracyjki na Knightsbridge. Pojechali jej samochodem, bo jego szofer miał dzień wolny, i zamierzała w drodze powrotnej tylko podrzucić go do mieszkania nad gabinetem lekarskim, gdy wtem zaprosił ją na jednego do poduszki. Trudi uśmiechnęła się pod nosem, gdyż to oznaczało, że chce się z nią kochać.

Wysiadł, Trudi zaparkowała samochód, zamknęła drzwiczki i ruszyła za nim. W przewidywaniu oczekujących ją rozkoszy, poczuła mrowienie kręgosłupa i twardnienie sutek. Jimmy bywał w łóżku nieco egoistyczny, z biegiem lat nauczyła się jednak troszczyć o własną przyjemność. Podniecona jej perspektywą, stała za nim i z trudem powstrzymywała się od dotknięcia zwalistej postaci. Zadygotała, prawie jakby się już kochali

Poprowadził ją na górę, usiadł na łóżku, zdjął buty i skarpety, a ona pomogła mu ściągnąć marynarkę. Rozluźnił krawat, odpiął szelki, podczas gdy siedząca przy nim Trudi głaaskała go po piersi. Pocił się.

- Mam otworzyć okno?

- Lepiej mnie rozbierz.

Wolałaby, żeby był nieco delikatniejszy, żeby jej mówił „kochanie” i szeptał miłe głupstewka do ucha. Łza spłynęła jej po policzku, gdy rozpiniała mu pasek i ściągała spodnie.

- Nie musisz ich wieszać - rzekł. - Jutro idą do pralni. Chodź tutaj.

Położył rękę na jej plecach i przyciągnął ją do siebie. Trudi wstała, zrzuciła sukienkę, potem pantofle, pończochy i stanik i wszystko cisnęła na podłogę.

- No - powiedział z uśmiechem - poskładaj to i połóż na krześle. Nie będziesz szczęśliwa, dopóki nie znajdą się tam porządne, czyste i Deutsch.

Wykonała polecenie chichocząc, bo miał rację, a to już mu nabrzmiewało pod brzuchem, wyraźnie zarysowane pod kalesonami. Wróciła do łóżka i nachyliła się nad Jimmym. Pełnymi piersiami ocierała się o jego spasione uda i obserwowała budzącą się męskość. Dotknęła go przez bawelnę. Był duży, coraz twardszy, podniecający. Jimmy może sobie mówić, co zechce. Chociaż wielki i tłusty, skłonny do irytacji, okrutny i szorstki w stosunku do niej, jest mężczyzną, a ona go pragnie. Ścisnęła go, ściągnęła mu kalesony, a to wzniosło się i dotknęło jej twarzy. Trudi chciała, aby Jimmy ją tulił, mocno rozcierał jej plecy, lecz wiedziała, że tego nie zrobi, bo jest zmęczony i leniwy. Całowała go,ssała, a on wzdychając chwalił szeptem jej biegłość. Było to prawie tak dobre, jak gdyby ją nazwał „kochaniem”, lecz teraz przestało się liczyć, co mówi. Dosiadła go - zaczęła ujeżdżać, pochylając się całowała go w usta. Zepchnął ją z siebie, przez chwilę był nieobecny myślami, po czym zwałił się na nią i zagruchnęła z rozkoszy. Widziała malujący się na twarzy Jimmy'ego gniew, lecz nie pytała o jego przyczynę, tak jak wolała nie rozumieć plugawych słów, które wypowiadał. W jego grubym ciele wezbrała nowa energia i ugryzł ją w ramię. Wiedziała, że później to będzie bolało, lecz na razie było jej tak dobrze, że wbijała mu paznokcie w plecy, pieściła go i przyciągała do siebie. Pragnęła, aby to trwało wiecznie, jej pożądanie osiągnęło jednak punkt, z którego nie ma powrotu, uniosła się, zwarła z Jimmym i oklapła jak balon.

Przycisnęła się do niego z krwią napływającą do twarzy i cichym szeptem „Jamie”, ale on nie słyszał, gdyż nadal ją

miażdżył i kłął, a następnie z jękiem padł na nią i eksplodował w jej wnętrzu, głowę położywszy na poduszce.

- Rany - powiedział. - Dobrze było. - Sturlał się z niej i legł wyczerpany pośrodku dużego łóżka. - Wytrzymaj mnie wilgotnym ręcznikiem - poprosił cicho, głosem miłym, łagodnym i pełnym troski.

- Tak, Jamie - szepnęła wstając. Kręciło jej się w głowie. Dla niego wyszłaby na deszcz, on jednak chciał tylko, aby go obmyła, wytarła, zapewniła mu wygodę.

No cóż - mówiła sobie - *wszyscy mężczyźni to dzieci*. Nie. To niemowlęta i nic dla siebie nie potrafią zrobić. Czują, że jest opanowana, silna i potrzebna.

Wróciła z herbatą, o którą by poprosił, i zobaczyła, jak siada przykryty prześcieradłem. Wyglądał świeżo, gdy z uśmiechem brał z jej ręki kubek.

- Chciałem z tobą porozmawiać o podróży na Wschód. Można by powiedzieć, o czymś w rodzaju pielgrzymki. Sprawdzenia, czy bogowie wojny nadal są tak młodzieńczy jak wówczas, kiedy tam byłem.

Chciałbym odwiedzić Tajlandię, może Hongkong, a także Singapur. Znam je, ale mimo to wyobrażam sobie, że mogłabyś mi załatwić miesięczny pobyt nie z grupą. Zamierzam się wysadzić. Podróż wyłącznie pierwszą klasą. Najlepsze hotele i limuzyny z szoferami. Chcę znów zobaczyć to miejsce, ale w komfortowych warunkach. Oszczędnie już było. Tym razem będzie z kawiozem i szampanem.

Wzięła kartkę papieru, pióro i robiła notatki.

- Nie bądź taką oślicą. Na pewno nie musisz wszystkiego zapisywać. To cholernie proste. Chcę tylko spędzić trochę czasu w Bangkoku, tak, i parę dni na wybrzeżu w Pattaya...

- To tam mężczyźni jeżdżą na dziewczynki i wracają stamtąd z syfilisem.

- Ostatni raz widziałem tę miejscowość, kiedy była wioską rybacką. Długa plaża, wzdłuż niej linia palm i kilka domów.

- Byłeś już kiedyś w Pattaya?

- Przewieźli nas tam z Singapuru Japończycy. Mnie, jeszcze jednego Anglika i dwóch birmańskich cywilów. Słowo daję, że nie widziałem żadnych dziewcząt. Chciałbym wrócić nie tyle do Pattaya, ile do malutkiej miejscowości Bang Saray, choćby na godzinę czy dwie. Tam zakończyła się moja niewola. Miejsce dla mnie szczęśliwe. Mniej szczęśliwe dla tego drugiego, faceta nazwiskiem Derek Pritchard, który umarł.

- Smutne. - Położyła dłoń na jego ramieniu. - Nie wiedziałam, że byłeś w niewoli japońskiej. To musiało być straszne. Japończycy są najokrutniejszymi ludźmi na świecie.

- Jeśli chodzi o ścisłość, w Tajlandii było nam nie najgorzej. Japońce zatroszczyły się w Bangkoku o towarzystwo dla mnie i Dereka. Nie umiem powiedzieć, dlaczego pozwolono nam spędzić noc z tymi cudownymi kobietami, ale niech mnie, cóż to była za zabawa. Kobieta... co ja mówię?... dziewczyna, choć taka młodziutka, okazała się geniuszem. Podrywała mnie do czynu, ledwie skończyłem. Nie do wiary, pięć czy sześć razy. Oczywiście prawie od roku nie zbliżyłem się do kobiety. Byłem pełen zapału, młody i po raz pierwszy jakby wolny. Ten drugi gość, Pritchard, mniej się palił. Jestem pewien, że niczego nie zrobił. Ale jego żona myśli, że tak.

- Jego żona?

- To znaczy wdowa po nim. Utrzymuję z nią kontakt z uwagi na dawne czasy. Z biegiem lat utwierdziła się w przekonaniu, że jej mąż był niezłym zawodnikiem. Tak czy owak,

miałem cudowną noc, nawet jeśli Derek siedział sam. Nie wiem. Ja albo pieprzyłem, albo spałem. Przepraszam, dziś było równie wspaniale, Trudi, słowo daję... gdyby nie ty, nigdy bym nie pomyślał o Bangkoku. Może jesteś nawet lepsza. Wiesz, z czasem człowiek zaczyna coś sobie wyobrażać. Pamięta tylko rzeczy dobre, prawda?

Skinęła głową. Ładnie, że to powiedział, nawet jeśli skłamał. On jest dzieckiem. Bynajmniej jej nie wykorzystuje. Śni o chwilach straconej młodości i o godzinach wielkości, a może chce wyrzucić na niej wrażenie, jak chciałoby tego każde dziecko. Tej nocy wspominał przeszłość, noc jednak należała do niej, bo z nią to robił. Umiała słuchać.

Leżał na wznak, z twarzą w blasku stojącej lampy, i mówił.

19.

Rzeka zmieniła swe tempo, kiedy zasiedli do śniadania. Teraz zaroїła się od łodzi różnej wielkości, od ludzi na pokładach i od załadowanych towarów. Światło odbite od wody docierało do ich stolika. Katsumata powiedział, że czekając na sygnał mogą dzień poświęcić na zwiedzanie. Dobrze znał miasto, gdzie było dużo do zrobienia i do zobaczenia. Wyprowa łodzią do starej stolicy, Ajuttaja, zajmuje tylko parę godzin. Na miejscu są świątynie, targ kwiatowy i rzeka z pływającymi na wolności krokodylami, a w chińskiej dzielnicy kina i targ, gdzie handluje się złotem. *Miejscowi Chińczycy niezbyt przyjaźnie o noszą się do armii cesarskiej -*

wyjaśnił porucznik Katsumata. To na ogół pierwsze pokolenie emigrantów, którzy nienawiść do Japonii wynieśli ze starego kraju. *Mnóstwo ich - powiedział - to komuniści i potencjalni partyzanci, lecz na ogół są kupcami, a jako cudzoziemcy nie wywierają w Tajlandii wielkiego wpływu.*

- Nic dziwnego, że was nienawidzą - zwrócił się Hedges do Katsumaty. - Po tym, jak wy, mordercy, zachowywaliście się w Chinach. Dotarło to do Anglii. Jak po roku 1931 paliliście ich miasta i gwałciliście kobiety.

- Odczep się od niego - szepnęła Derek. - On za to nie odpowiada.

- Bronisz wroga?

- Chodźmy zobaczyć Szmaragdowego Budę.

- Właściwie nie jest ze szmaragdu - powiedział Katsumata. Tylko z ciemnozielonego kamienia... Możemy po drodze wstąpić do kilku świątyń, a po południu obejrzeć film. Lubię kino.

- On lubi kino - powtórzył Derek jak papuga

I pół godziny poświęcili drobiazgowej analizie *Przeminęło z wiatrem*. Katsumata widział ten film w Tokio w 1938 roku. Jego żona się s płakała, on sam też trochę. Derek był na filmie w Londynie, ale zapomniał kiedy. Czytał książkę.

- My, Japończycy, również biliśmy się ze sobą, jak Amerykanie w czasie wojny domowej. Wojny bratobójcze są okrutne.

- Wszystkie wojny są okrutne.

- Jaką piękną kobietą była Scarlett O'Hara. Czy żyła naprawdę? Czy ten duży mężczyzna do niej wrócił? Zapomniałem, jak się nazywał.

- Rett Butler. Nie wiem, czy to zrobił. A zresztą to fikcja literacka. Powieść.

- Piękna powieść.
- Aktorka, która grała Scarlett O'Hará, jest Angielką, wie pan.

- To był najdłuższy film pod słońcem. W połowie zrobili przerwę.

- Chodźmy już, nas litość boską - odezwał się Hedges.

Przynajmniej raz coś poszło po jego myśli i towarzystwo ruszyło w drogę. Przejeżdżali przez miasto pełne kontrastów, biedne i zakurzone, lecz wszystkie świątynie pokryte były złotem, a ogrody wokół nich dobrze utrzymane. Kapłani wyglądali na zagłodzonych, każdy Budda natomiast, leniwie rozwalony, obserwował swych stróżów z wieczystym uśmiechem nieomal zadowolenia z siebie. Nędznie odziane młode kobiety zdobiły kwiatami olbrzymie kamienne męskie organy.

- Symbol płodności - rzekł Katsumata. - Bezdzielne kobiety przychodzą tutaj się modlić.

- Mogę służyć pomocą? - zapytał Hedges, nikt się jednak nie roześmiał.

Z wąskiej łodzi gładko sunącej po rzece oglądali pływający targ. Jimmy pocił się, bo dzień był upalny, a Derek i jego Katsumata rozpływali się z zachwytem. Owoce, ryby, sprzęt domowy i elektryczny, miliony kwiatów i warzyw porzkładano na łodziach, które *nu* ogół obsługiwały kobiety. Jimmy nigdy w życiu nie widział tylu pięknych kobiet. Ciemnych, delikatnych, stale uśmiechniętych. Wymarzone miejsce, aby w nim spędzić resztę wojny.

Porucznik Katsumata zostawił ich pod opieką sierżanta, a sam poszedł na jakieś spotkanie. Wstąpili do przydrożnej knajpki krytej dachem z blachy falistej, umeblowanej drewnianymi stołami i krzesłami.

- Znokautujmy go i zwiewajmy - powiedział Hedges.

- Oszalałeś. Katsumata wróci niedługo. A zresztą dokąd pójdziemy? Zanadto rzucamy się w oczy.

- Mamy obowiązek uciekać.

- Jesteś dziecinny. Wpadlibyśmy po godzinie, w niemieckich mundurach czy bez.

- Boisz się sierżanta? Wiesz, że nie odważyłby się strzelać.

- Nie masz pojęcia o wojnie. Zapominasz, że byłem prawdziwym żołnierzem. Zapewniam cię, że zamierza nas uwolnić.

- Jeśli w to wierzysz, jesteś naiwnym durniem.

- Mogę być durniem, ale nie jestem naiwny, czego żałuję.

Sierżant widocznie się czegoś domyślił. Wstał, wyjął z kabury pistolet i sprawdził bezpiecznik. Potarł kolbą o nagie ramię, po czym z uśmiechem znów schował broń.

- Popatrz na jego zęby - rzekł Hedges. - Powąchaj, jak śmierdzi mu z ust. To pewnie od tych surowych ryb, którymi się żywią. No, przekonajmy się, co zrobi.

Mówiąc to Hedges wstał. Sierżant poszedł jego śladem. Popatrzył na obu jeńców i usiadł. Minę miał stanowczą. Hedges wskazał na swoje krocze.

- Chcę siusiu. - Zrobił wymowny gest.

Sierżant skinął głową i pozwolił mu pójść w głąb salki pełnej ludzi jedzących, pijących, czekających. Jeden z gości wstał z podniesioną ręką, zawołał „Heil Hitler”, usiadł i zaczął odpędzać muchy. Hedges marudził, więc sierżant się dźwignął i coś krzyknął. Jimmy rozglądał się szukając innych drzwi, a gdy ich nie dostrzegł, wrócił do stolika. Sierżant mierzył z pistoletu w Dereka.

- No właśnie - rzekł Hedges. - Zgodnie z instrukcją ma się trzymać ciebie. Ja spróbuję. Idziesz?

Derek pokręcił głową.

- Do zobaczenia w Londynie.

Autobus z hałasem, w tumanach kurzu, zatrzymał się przy krawężniku. Derek krzyknął: - Nie! - Jimmy spojrział na niego i przebiegł koło stolika, który przewrócił na ziemię. *Muszę się dostać na drugą stronę ulicy* - myślał.

- Stój! - Po okrzyku Dereka rozległ się strzał. Kelner z parującym garnkiem ryżu upadł przed Hedgesem, a ziarenka rozsypały się po zakurzonej podłodze. Autobus ruszył powoli.

- Zabije jakiegoś przechodnia - wrzeszczał Derek. - Nie ciebie. Ciebie nie może.

Hedges przebiegł przez ulicę. Gruchnął drugi strzał. Jimmy obrócił się i machnął na Dereka, kiedy z cieni za jego plecami wyszli dwaj żołnierze z nastawionymi bagnietami. Dźganiem zmusili go do powrotu, a na twarzy sierżanta pojawił się surowy uśmiech.

- To sprytne! - zawołał Hedges. - Cholernie sprytne - powtórzył podnosząc ręce. - Dobra, dobra, idę spokojnie.

Ludzie biegali w tę i z powrotem, krzyczeli, gestykulowali, niektórzy darli się wniebogłosy. Pies ostrożnie zjadał ryż z podłogi, kelner wstawał i ocierał twarz, ale nie z krwi. Hedges dotarł do stolika i usiadł, a żołnierze stanęli za nim.

- Nawet strzelać nie umie. Też mi obrona - zadrwił, na co jeden z żołnierzy uderzył go kolbą po plecach. Sierżant mocno trzepnął go po twarzy.

- Będę grzeczny - obiecał Hedges.

Sierżant zamierzył się ponownie, lecz na ostre słowo komendy ręka zawisła mu w powietrzu. Nad nimi stał porucznik Katsumata z twarzą ściągniętą gniewem.

Po krótkiej wymianie zdań po japońsku żołnierzy odprawiono, sierżant poszedł do baru, Katsumata zaś usiadł z wyrazem szczerości i cieniem uśmiechu wokół ust.

- Nie zamierzał pan przecież uciekać, prawda, doktorze?

- Oczywiście, że nie. Dokąd miałbym pójść?

- No, proszę już więcej nie próbować. Nie jestem głupi; ani ja, ani moi podwładni.

- Nie - odparł Hedges. - Jesteście przebiegłe żółte małpki, co?

Porucznik Katsumata puścił to mimo uszu - Derek wyglądał na wytrąconego z równowagi.

- Skończył się nasz pobyt w Bangkoku - oznajmił Katsumata. - Kapitan Kato dał nam zielone światło. Ruszamy do Birmy jeszcze dziś po południu.

*

Na pierwszy etap podróży kapitan Kato dostarczył im samochodów: angielskiego austina, własność zamieszkałego przed wojną w Bangkoku *gaijin*, i amerykańskiego fordą. *Anglikowi nie stało się nic złego* - zapewnił ich Katsumata. Wyjechał na urlop do Londynu i nie wrócił. Austina, podobnie jak pokojówkę, powierzył opiece kapitana Kato, który od wielu lat mieszkał w Bangkoku i przed wojną pracował u Mitsui. Anglik handlował drogimi kamieniami, znali się zaś, bo byli sąsiadami i grywali ze sobą w golfa. Uczestnicy misji mieli samochodami dojechać do granicy, dalej zaś pójść pieszo.

- Kolejna bujda na resorach - rzekł Hedges. - Ten cholerny kapitan był prawdopodobnie szpiegiem i zabił faceta. Gdybym nie wiedział co i jak, powiedziałbym, że twój przyjaciel Katsumata to kiep. Chyba sam wierzy w tę historyjkę. Ładna z was para.

- Dzięki - odparł Derek.

- Mamy niewielki kłopot - oświadczył Katsumata. - Zabieramy kierowcę, żeby pilnował samochodów i benzyny, jak pójdziemy w góry. Ale austina będzie musiał prowadzić jeden z was, co nie powinno być trudne, bo wóz jest angielski.

- Kłopot dosłownie żaden - zapewnił Hedges.

- Kapitan Kato wyświadcza nam tę osobistą przysługę. Niezbyt często korzysta z samochodu. Zamierza go oddać właścicielowi, kiedy ten wróci po wojnie. No, ale nie pójdziemy do kina tu w Bangkoku. Przepraszam. *Maipen lai*. To po tajsku znaczy „nic nie szkodzi”.

- *Maipen lai* - powtórzył Derek. - Dobre słowa, przydatne. *Maipen lai*. Cały świat zwariował. Ludzie umierają na morzu, na pustyni, w dżungli, daleko od miejsca, gdzie być powinni. Może świat na moment przestanie myśleć i odzyska rozum, zada sobie pytanie, co się dzieje, i położy temu kres. *Maipen lai*.

- A kiedy, Mojżeszu, twoim zdaniem to nastąpi?

- Rozejrzyj się dookoła, Jimmy, zobacz uśmiechnięte twarze i kwiaty. Poczuj woń smażonych krewetek i ryżu. Popatrz na jedzących. Żadnych trosk. *Maipen lai*. Cóż za śliczne powiedzenie. Ty, ja i porucznik Katsumata na pewno kiedyś pójdziemy razem do kina. Będziemy patrzeć na miłość i zazdrość, może nawet na śmierć. Ale to będzie tylko śmierć na niby, z kulami na niby i z nienawiścią na niby. Nieszkodliwa. *Maipen lai*.

Sierżant nie rozumiał ani w ząb, a nikt się nie pofatygował mu tłumaczyć. Derek wpadł w ekstazę i niepowstrzymanie mówił o narodach świata, które usiądą na plażach trzymając się za ręce. Mówił o wymianie myśli, poezji, muzyki i sztuki między narodami, mówił o miłości. Jimmy po raz pierwszy

zwrócił wtedy uwagę na jego mocny baryton. Wyraźne, lapidarne brednie o międzynarodowym porozumieniu opartym na idealnej rodzinie.

- Bzdura - sprzeciwił się Jimmy. - Członkowie jednej rodziny potrafią się nienawidzić gorzej niż wrogowie.

- Pewnego dnia ludzie przemówią - zwracał się Derek do zahipnotyzowanego Katsumaty - a wtedy wrzucimy nasze armaty do morza i zasadzimy drzewa.

- Szkoda, że nie zostałeś kaznodzieją - zauważył Hedges, czemu Katsumata przytaknął z entuzjazmem.

*

- Czy był szalony? - spytała Trudi.

- Nie. Nie był.

- Może oszołomiony narkotykami?

- Jeśli tak, to nie widziałem, jak je zażywa.

- Więc czemu tak się zachowywał?

- Nie wiem. Chyba był bohaterem.

20.

Tokio, październik 1975

Ani trochę się do niego nie zbliżyła. Musi wzbudzić jego sympatię. Pożądanie. Pożądanie? Jej matka by umarła. Ale decyzję podejmuje Anna i przekona go, że na niego leci. Wtedy on zacznie polować na nią i oślepnie jak każdy mężczyzna. Nie będzie zdolny myśleć, gdy poczuje, że jest osiągalna. Będzie obiecywać, otworzy się, rozgada i zdradzi sekrety.

- Przepraszam, że wczoraj nie mógł mnie pan złapać - powiedziała Anna. - Raptem się okazało, że muszę iść do

ambasady brytyjskiej na przyjęcie, o którym mąż zapomniał mnie poinformować. Włosy miałam straszne, kiedy zadzwonił, dosłownie godzinę wcześniej. Pan nie postawiłby żony w tak kłopotliwej sytuacji, prawda, panie Katsumata?

- W Japonii panują inne zwyczaje, proszę pani. Żona nie uczestniczy w uroczystościach oficjalnych, jeśli mąż nie jest bardzo ważną osobistością. Moja żona była na obiedzie z biznesmenami zaledwie dwa czy trzy razy. I Japonka nigdy by nie krytykowała męża w rozmowie z innym mężczyzną.

Naturalnie miał rację.

- Ale żona może pomagać, prawda?

- W Japonii miejsce kobiety jest w domu. Ma go czynić bezpiecznym, miłym i trwałym. Kiedy jednak gdzieś wychodzi, na pewno jest gotowa o wiele wcześniej i nigdy nie wprawi męża w zakłopotanie swym zachowaniem ani strojem. Nasze kobiety nie są zepsute, proszę pani. Wychowuje się je tak, aby uznawały, że mężczyzna ma zobowiązania przede wszystkim wobec firmy.

Męski szowinista. Świnia.

- To rozmowa nie na telefon.

- Co pani proponuje?

Skąd ta pewność? Traktuje ją jak dziwkę. No, tego przecież chciała. Nie. Nie jak dziwkę.

- Może herbatę dziś po południu? - Czy nie jest zbyt śmiała?

- Gdzie się spotkamy?

- Może w Kawiarni Cesarskiej?

- Doskonale. Odpowiada pani godzina piąta?

- Jak najbardziej. - Poczula mdłości. Przeprosił, że się spieszy. Ma inne telefony.

W co się ubrać? Pod wieczór może się ochłodzić. Najlepsza będzie zielona sukienka. Nie szara wełniana. Tę miała na

sobie w czasie pierwszego spotkania i pochlebi mu, jeśli włoży inną. Zielona jest rozcięta z boku i widać kawał nogi. Więc zielona. Co zrobiłaby na jej miejscu matka? Nie można podchodzić do ludzi na ulicy i strzelać do nich. To nie Dziki Zachód. Matka, stara i rozgoryczona, jest daleko. Czy Anna nie potrafi pomyśleć sama? Czy aż tak długo była niewolnicą matki? Zrobi to po swojemu. Spotka się z Katsumatą w Cessarskiej i zobaczy, co będzie. *On musi zapłacić za zbrodnię swojego ojca* - powiedziała matka. Nie miej dla niego litości. Jego ojciec nie miał litości dla Dereka.

Nie ten sam człowiek. Nie te czasy. Nie to miejsce.

Znów wymówki. No, znajdzie coś, czym się pokieruje.

Czy mogły być pewne, że Jimmy Hedges mówi prawdę? Oczywiście, że tak. Matka wydobyła z niego całą historię aż do ostatniego szczegółu. W swym latyńskim dążeniu do zbawienia przez ból musiała cierpieć, by dzielić los z Derekiem. Anny nigdy nie wtajemniczano w szczegóły. Teraz jest na tyle dorosła, że może je poznać. Zapyta Jimmy'ego.

Gdybyż to znów mogła być dzieckiem, siedzieć przy oknie i wybiegać mu na spotkanie, jak w opowieściach matki. Czuć uścisk jego ramion, takich, jakich nie miał nikt; ciepłych, budzących zaufanie. Ale teraz nie wolno jej śnić na jawie. Jimmy Hedges wybiera się na Wschód, aż do Bangkoku. Anna może tam do niego pojechać. On jej zapewni poczucie bezpieczeństwa, a ona go wypyta o śmierć ojca.

Jimmy Hedges przyszedł ostatniego wieczora przed ich odlotem do Japonii. Jedzenie, picie i palenie odbijały się na nim. Spał się i nie mógł zrobić więcej jak dziesięć kroków, bo dostawał zadyszki. Piegry na twarzy powiększyły mu się i pociemniały, rude włosy posiwiwały i łatwo się przetłuszczały.

Ciało mściło się na nim za to, że nigdy nie oszczędzał zdrowia, zachował natomiast dawną jasność umysłu.

- Podobno Tajlandia jest modna. Pattaya to kraina snów.

- Dla takich sprośnych starców jak ty.

- Święta prawda. Teraz, kiedy was będę miał na Wschodzie, mogę się zabrać do planowania.

- Najpierw tam polećmy.

Szofer Jimmy'ego miał rano odwieźć ich na lotnisko. Jonathan zostawił gościa w salonie i poszedł za Anną do kuchni.

- Czemu tak szorstko się z nim obchodzisz? Zawsze okazywał nam wyłącznie życzliwość. Nie pamiętasz? Zafundował nam nasze pierwsze wakacje, kiedy nie za dobrze wiodło mi się w banku... i samochód.

- On tak sobie tego nie tłumaczy. My się rozumiemy... och, może masz rację. Nie wiem, czego chcę. Przykro mi.

- Mnie nie przepraszaj. Przeprós jego.

Nie miała okazji, bo kiedy wrócili do salonu, Hedges siedział na kanapie pogrążony w głębokim śnie.

*

Włożyła zieloną sukienkę, spojrzała w niebo i zdecydowała się wziąć parasolkę. Pokojówka uśmiechnęła się z zakłopotaniem, wychodząc z posprzątaney sypialni.

- *Kirei desu ne.*

Anna powiedziała *arigato*, gdyż wiedziała, że *kirei* to „piękny”.

Ledwie znalazła się na wąskiej uliczce, zaczęło padać i ludzie skryli się pod baldachimami parasoli. W deszczu miasto zasnęło się szarością, ulice wysadzone miłorzabami wiły się niczym błotniste rzeki, lecz nie było w tym nic posepnego. Ma dość czasu na znalezienie taksówki. Idąc w mżawce do głównej ulicy, zdąży się namyślić.

Później, w kawiarni Hotelu Cesarskiego, zajęła stolik przy oknie od ulicy. Zamówiła kawę i zaraz ujrzała Yoshiro Katsumatę wysiadającego z taksówki. Zjawi się lada chwila, więc dla dodania sobie animuszu zapaliła papierosa.

Zobaczył ją przez okno, gdy stanął na chodniku. Było wcześniej, bo przed spotkaniem zamierzał się rozejrzeć po pasażu. Cudzoziemka mówiła coś do kelnera. Yoshiro chciał poszukać dla córki słonia na jutrzejsze urodziny, ponieważ była zafascynowana tym zwierzęciem. Słyszał od kogoś, że znajdzie taką zabawkę w pasażu hotelowym. Może *gaijin* jeszcze go nie widziała. A nawet jeśli widziała, może nie poznała. Dla *gaijin* wszyscy Japończycy są jednakowi. Powiedziała mu to młoda Australijka, a potwierdziła szczerą Amerykanka. On sam musi mieć czas i nabrać wprawy w odróżnianiu cudzoziemców.

Byli grubi, owłosieni i wysocy, z dużymi nosami, a wyglądali staro jak na swoje lata. Niektórzy mieli cerę ciemniejszą od innych i więcej włosów. Niektórzy oczy innego koloru. Różnili się przede wszystkim charakterem. Nie wszyscy byli przyjaźni, otwarci i pragnęli sobie zaskarbić sympatię. Trafiali się humorzaści, którzy nie znosili Japonii i nie mogli się doczekać wyjazdu. To ci niecierpliwi, którzy nigdy nie odniosą sukcesu.

Cudzoziemka nie widziała, jak on wchodzi do hotelu. Niech poczeka, bo jest z gatunku tych niecierpliwych. Yoshiro wiedział, że *gaijin* wybuchają, kiedy ich coś rozzłości, a gdy wybuchną, mówią prawdę. Z nią może być tak samo i wtedy on się dowie, czego od niego chce.

Zszedł po schodach do pasażu i skierował się do sklepu z zabawkami, lecz jedyne słonie, jakie tam zobaczył, były metalowe, na baterijkę, i poruszały się na kółkach.

- Nie ma teraz popytu na miękkie zabawki, proszę pana. Chcą tylko czegoś hałaśliwego, do czego nie można się przywiązać. Co pan powie na rower?

- Moja córka kocha słonie. Duże, przylepne, miękkie i ciepłe. Jak Papa-san - powiedział, a sprzedawczyni kiwnęła głową.

- Proszę poszukać w sklepie meblowym naprzeciwko. Widziałam tam stół w kształcie słonia. Solidny. Nawet pan mógłby na nim usiąść. Chyba robią po jednej sztuce, więc niech pan nie będzie zawiedziony, jeśli go sprzedano.

Podziękował i wyszedł.

Zobaczył stół na wystawie. Był piękny. Szary, z dużymi, świetlistymi szklanymi oczami i przepyszny dywanem na grzbiecie, w niezliczone kolorowe pasy. Słoń miał złotą koronę na przyjaznym czole, jego zad ozdobiły szklane klejnoty. Właścicielka sklepu twierdziła, że jest to robota rzemieślnika z Sendai, który nigdy w życiu nie widział prawdziwego słonia, nawet w zoo. Wzór zaczerpnął z filmu o małym Hindusie imieniem Kim. *Ten film napisał angielski gaijin, Rudyard Kipling* - powiedziała. Słoń tak bardzo jej się podoba, że chciała go zatrzymać dla siebie.

- Myślałam, że dam go wnukowi - wyznała - ale on woli samochody wyścigowe i samoloty wojskowe. Ja się boję wojny, bo pamiętam bombardowania. Pan jest na to za młody, ale ja pamiętam. Widziałam, jak się pali moja ulica.

- Córka ogromnie się ucieszy z tego słonia, jeśli pani go sprzeda. Jutro są jej urodziny. Oczywiście nie spodziewa się tak wspaniałego prezentu.

- Mam nadzieję, że sprawi córce wielką radość. Pewno dostanie jakieś imię. Mam go zapakować?

- Wolałbym tak go zabrać. Chętnie na niego popatrzę po drodze.

- Tego nie mam za złe. Ale proszę uważać na deszcz.
- Dziękuję.
- Życzę pańskiej córce wspaniałego przyjęcia urodzinowego.
- Mam nadzieję, że będzie udane.

Córkę darzył szczególnym uczuciem. Chichotał rozbawiony jej niesfornością i niezależnością, ilekroć zobaczył kartkę od niej. Zostawiała te kartki wszędzie. Zawsze w miejscach, gdzie ojciec nie mógł ich przeoczyć. Małe, pracowicie kolorowane karteczki z dziecięcymi gryzmołami, przylepione do lustra w łazience albo ekranu telewizora. Zawierały prośby lub pozdrowienia, a czasami rysunek, aby go rozbawić.

Przez parę ostatnich miesięcy rysowała wyłącznie słonie: małe, duże, szare, czerwone i białe. Prezent będzie zupełną niespodzianką - pomyślał uszczęśliwiony.

Kiedy z zakupem pod pachą wszedł do kawiarni, ludzie odwracali się i pokazywali sobie słonia, gdy zaś stanął nad stolikiem Anny, wydał jej się nieomal ludzki. Uśmiechał się nieśmiało.

- Czy mogę usiąść?

- Naturalnie - odparła i zaraz zjawił się kelner.

- Poproszę o kawę - rzekł Yoshiro zapalając papierosa. Słonia postawił pod stolikiem, więc Anna zdjęła pantofle, aby oprzeć na nim nogi. Odchylony do tyłu Yoshiro czekał, co mu powie. Była natarczywa. Chciała się z nim zobaczyć i przysła wcześniej. Jeśli widziała, jak wysiada z taksówki, wie, że od pewnego czasu jest w budynku, co powinno ją rozżłościć. Ale ta pani ukrywa gniew za zasłoną dymu. *Japończycy - pomyślał - lepiej umieją maskować uczucie za wodu, ale przecież ćwiczą się w tym od pokoleń.* Japończyk

nie informuje świata, że cierpi czy został odtrącony. Tę energię zużyłby na to, aby się podnieść na duchu.

- Jaki śliczny stołek, Yoshiro. Mogę do pana tak mówić, prawda?

- Stołek jest dla mojej córki. Na urodziny.

- Więc nie powinnam opóźnić pańskiego powrotu do domu.

- Obchodzi je jutro.

- Będzie miała przyjęcie?

- Tak. Po południu.

- Cudownie.

- Owszem, ale ja nie wezmę w nim udziału. Muszę być w biurze.

- To niedobrze.

Nigdy jej nie zrozumie.

- Biedaku, na pewno wołałby pan być w domu.

- W Japonii firma jest najważniejsza. Córka dostanie swojego słonia. W jej wieku dzieci obchodzi tylko to, czego chcą.

Cyniczny sukinsyn.

- Chyba tak. Zapewne i nas też, ale my nie przyznajemy się do tego tak otwarcie. Pieniądze wszędzie są pieniędzmi.

- Wszyscy musimy uczestniczyć w tej grze. Najpierw firma. Taka jest zasada. Firma płaci mi pensję. Muszę ciężko pracować, aby była silna i nie przestała płacić.

- Za kawę płacę ja - powiedziała. - Nie firma.

- Nie spodobało mu się to, lecz milczał. Swoje prawdziwe zamiary ukrywała za zasłoną cynizmu i rubasznego humoru. Wybada ją. Postąpi jak *gaijin*.

- W jakiej sprawie chciała się pani ze mną zobaczyć?

Nie okazała zdziwienia. Tylko w jej oczach, oknach duszy ludzkiej, pojawiły się błyski.

- Pańskie nazwisko dostałam od mojego dawnego londyńskiego szefa. Powiedział, że pan, jako postępowy japoński biznesmen, mógłby mi pomóc w lepszym zrozumieniu kraju. Piszę książkę o powodach japońskiego sukcesu w handlu światowym. Usiłuję się dowiedzieć, dlaczego nie macie tych problemów co my: strajków, żądań płacowych, inflacji, związków zawodowych, wie pan, o co mi chodzi.

- Jak mogę pani pomóc? Może pani pójść do ministerstwa.

- Wy jesteście strasznie skryci. Wasz sposób życia to tajemnica państwowa. Nie mamy pojęcia, dlaczego w firmie japońskiej wszystko gra. Jak wam się udaje zachować taką dyscyplinę w okresie niepokoїв społecznych? Młodsze pokolenie Europejczyków jest przeciwne wszystkiemu, co reprezentuje prawo i porządek. Establishment znalazł się pod ostrzałem na całym świecie, w Japonii natomiast kwitnie. Chciałabym wiedzieć dlaczego.

Pytanie zadała inteligentne. Kiedy mówiła, obserwował jej twarz i oczy, widział wymowne gesty ramion i delikatne falowanie piersi. Może nie jest aż tak piękna, jak sądził z początku. Jest przyziemna, a przy całej żywości analitycznego umysłu absolutnie kobieca.

- Wasza młodzież miała za łatwe życie. To dzieci rodziców, którzy dorastali w okresie wojennych braków, więc okazują młodym zrozumiałą pobłażliwość.

- Znam źródła naszych problemów. Ale chcę wiedzieć, dlaczego wy ich nie macie. Mówi pan o dzieciach. Dobrze, więc co dzieci? Nie rozpieszczacie swoich dzieci? Nie grają w różne gry, nie biegają samopas, niesforne, denerwujące?

- Nie tak jak wasze. Dzieci *gaijin* od początku mają łatwiej. Łatwiej uczą się języka, bo pismo macie prostsze.

Dziecko japońskie ma więcej pracy w szkole, ponieważ musi opanować parę tysięcy znaków chińskich. Równocześnie uczy się alfabetów japońskich i to wszystko może mu pomieścić w głowie. Później dochodzi jeszcze alfabet łaciński. Dzieci japońskie nie biegają samopas z uwagi na brak czasu. Starsi je zachęcają, aby się wybijały, jest nas bowiem tak dużo, że panuje ostra konkurencja.

- Znów dyscyplina... czy tylko na tym to polega? Niemcy też są zdyscyplinowani, a jednak mają problemy na ulicach.

Zastanawiał się przez chwilę, odpowiedzi zaś udzielił z zamkniętymi oczami.

- Mógłby to być błogosławiony wpływ sinto.

- Ma pan na myśli religię...

- Sinto to droga bogów. Poszanowanie dla rzeczy takich jak góra, wodospad czy drzewo, które były zawsze. Trudno to wyjaśnić.

- Więc to są wasi bogowie?

- Nie. To są *kami*. *Kami* można uważać za bogów, ale właściwie są czymś nadrzędnym, lepszym od nas. Czymś, co czcimy i szanujemy. Rozumie pani, wieśniak może szanować wielki głaz na skraju swego pola, bo zawsze leżał w tym miejscu, za czasów jego ojca i dziada, leżał tam, gdzie jest, i we wszystkich budził cześć.

- Z tym jest tak jak z waszym oddaniem cesarzowi, z gotowością poniesienia za niego śmierci na wojnie.

- Niewykluczone - rzekł w zadumie.

- Więc tak. Tę cześć, to posłuszeństwo wobec swoich *kami* teraz okazujecie firmie.

- Całkiem niewykluczone. - Uśmiechnął się, lecz jego oczy pozostały poważne. - Nigdy tak o tym nie myślałem. Możliwe, że naiwna cześć dla kamienia na czymś polu przekształciła się w... - Zawahał się i urwał.

- W poważne, bez strajków produkowanie samochodów, zegarków i aparatów fotograficznych.

Ona musi wiedzieć o Japonii znacznie więcej, niż chce przyznać. Coś jeszcze kryje się za tym szczerym uśmiechem. Będzie musiał zaczekać, aż powie.

- Więc pana nikt nie psuł? Ani odrobinę?

- Nie. Mój ojciec wrócił z wojny zmieniony. Latami trzymał się na uboczu, a do mnie prawie się nie odzywał. Nie, nikt mnie nie psuł. Mówi pani o pokoleniu młodszym, nie moim. Ja mam trzydzieści dziewięć lat.

- Nie wygląda pan na tyle.

- Mogę pani udzielić pożytecznej lekcji. Wam Japończyk zawsze wydaje się o dziesięć lat młodszy niż w rzeczywistości. Nam *gaijin* wydaje się o dziesięć lat starszy niż w rzeczywistości, lecz my po przekroczeniu sześćdziesiątki zaczynamy się starzeć szybciej od was.

- Teraz moja kolej powiedzieć, że to niewykluczone.

- To dowiedzione, ilekroć ktoś patrzy na Japończyka i daje mu trzydziestkę, może być pewny, że ten człowiek ma czterdzieści lat.

- Ile mnie by pan dał?

- Są wyjątki. Trzydzieści cztery... trzydzieści sześć?

- Chce pan powiedzieć, że wyglądam na starszą o dziesięć lat?

- Powiedziałem, że są wyjątki. *Gaijin*, więksi i tłściejsi od nas, mają inną niż my skórę. Szybciej łysieją. Jest to związane z jedzeniem. Japońskie młodsze pokolenie też się zmienia, podobnie jak jego dieta. Młodzi ludzie jedzą za dużo mięsa, jak wy. Wie pani, co to takiego *nisei*?

- Nie.

- *Nisei* to Japończyk urodzony i wychowany z dala od Japonii. W Brazylii, na przykład, żyje pięćset tysięcy osób

japońskiego pochodzenia. Są wyższe, tłuściejsze, łysieją, mają inną skórę. To kwestia diety.

Co ona wyprawia z tym człowiekiem? Dlaczego nie może po prostu powiedzieć mu prawdy? Powiedzieć, co zrobił jego ojciec. On wie. Nie. Nie wie.

Powiedzieć, że przyjechała do Japonii żadna jego krwi? Nie, nie będzie musiała. Skoro mu powie, co zrobił jego ojciec, sam się ukarze. Nie, tego nie zrobi. Jest zbyt nowoczesny. Będzie musiała wszystko załatwić sama. Nic nie powie, dopóki nie podejmie decyzji. Musi sprawiać wrażenie szczęśliwej. Wciąż go zaskakiwać. Zabawiać.

- Co pan robi wieczorem, Yoshiro?

- Nic specjalnego.

- Czy to oznacza, że jest pan wolny?

Jej otwartość była pociągająca, podobnie jak twarz. Twarz miała owalną, szczerą i ożywioną, lecz roziskrzone oczy, nieustraszenie wpatrujące się w jego oczy, coś ukrywały.

- Chyba tak.

- Ja też - odparła rozpromieniona. Wypiękniała teraz, a jej głos zabrzmiał ochryple, ze znacznie mniejszą pewnością siebie.

- Pozwoli pan zaprosić się na obiad? Możemy zjeść rybę. Nie zaszkodzi pańskiej cerze. Ale mówiąc poważnie, liczę, że potrafi mi pan pomóc w badaniach. Będę musiała poznać najróżniejszych ludzi... młodych, starych. Umożliwi mi pan wgląd w życie Japonii, prawda?

Nie miał pewności, ile z tego, co powiedziała, jest prawdą. Może wszystko to powtarza. Ale przecież to mogą być nerwy. Mówi za dużo. Zupełnie jak Taisho jego ojca.

Pan Sakamoto zadzwonił wcześniej tego dnia, aby uprzedzić, że na parę tygodni wyjeżdża. Wybiera się do Europy,

gdzie nie był od czasów młodości. Podróż zapowiada się szalenie interesująco, zamierza bowiem odwiedzić Berlin, Paryż i Amsterdam. Jedzie sam, tak jak wtedy, kiedy miał lat osiemnaście. W Paryżu pójdzie na grób kuzyna w dniu jego urodzin.

- Pamiętasz go, Katsumata? - zapytał Taisho. - Tego dyplomata przejechanego przed wojną przez samochód. - Yoshiro nie pamiętał, lecz się do tego nie przyznał. Taisho poleci, gdyż statki pasażerskie kursują rzadziej i są gorsze niż kiedyś. Prawie nikt z nich teraz nie korzysta. Taisho oświadczył, że ma mu jeszcze mnóstwo do opowiedzenia po powrocie.

- Pójdź do świątyni - rzekł. - Odmów modlitwę za mnie.

Kobieta nie milkła. Widział twarz jej, lecz także i Tai so, a równocześnie myślał, jak bardzo chętnie znalazłby się na jego miejscu ojciec. Ta rozmowa dostarczyłaby mu odpowiedzi, których szukał w kinie.

Kobieta coś mówiła, nie tak zwyczajnie jak przedtem, lecz w sposób całkiem inny. Wolniej, ciszej, oczekując jego reakcji.

- Przepraszam - powiedział. - Czy mogłaby pani to powtórzyć?

- Pewnie. Pytałam, dokąd chciałby pan pójść. Musi pan znać wszystkie knajpy w mieście. Nie możemy siedzieć za długo, bo pan wraca do domu.

Znów sprawiał wrażenie zagubionego, ale w jego oczach czaiła się energia, jakby przez cały czas ładował baterie. Nie współczuj mu. Nie, mamó, nie współczuję.

- My, Japończycy, jadamy wcześniej - odparł.

Przywołał kelnera i zapłacił, Anna zaś wzięła i podała mu słońia. Szła przodem, a Yoshiro patrzył, jak jej krągłe biodra

kołyszą się w rytmie wymagowanej melodii. Japonki nie poruszały się w ten sposób. Zwłaszcza w miejscach publicznych. Zapragnął jej dotknąć, ale ciężar słońca przypomniawszy mu, kim jest on, kim ona i gdzie się znajdują.

Odrzuciła się, a widząc, że na nią patrzy, przesłała mu uśmiech. Uśmiech miała szlachetny, usta jak wyrzeźbione.

- O co chodzi? - spytała, na co odparł, że o nic. Odrzuciła do tyłu głowę, omiatając włosami twarz.

Prowadziła go z przyjemnością. Do jej wyobraźni przemawiały emanujące z jego oczu niezdecydowanie i bezradność. Dreptał za nią, zadowolony, że go prowadzi.

Wszyscy znani Annie mężczyźni byli inni. Agresywni. Musieli zrobić pierwszy krok i mieć ostatnie słowo.

Jej ojciec musiał być taki jak Yoshiro. Matka przejęła inicjatywę; stała się gospodynią Dereka, jego menedżerem i przywódcą. To wstętnie. Yoshiro Katsumata podobny do ojca? Spojrzała na niego, gdy szukał wzrokiem taksówki, i zapragnęła go ucisnąć. Po macierzyńsku? Tak. Po macierzyńsku.

Yoshiro Katsumata wcale nie był mężczyzną. W przeciwieństwie do Jimmy'ego Hedgesa.

Stał ze słońcem pod pachą, podczas gdy ludzie wysypywali się z biur na zimne ulice.

Nigdzie wolnej taksówki. - Przepraszam. - Miał minę dziecka. Ani śladu rozczulania się nad sobą na twarzy. Dobrej twarzy. Jak to możliwe?

Tak, dobrej.

Nie wiadomo skąd powiało chłodem i zabolowały ją stwardniałe sutki. Wtedy doznała olśnienia. Musi wziąć go do łóżka i utulić. Nie. Nie to. Nie może zostać jej kochankiem. Ale musi, jeśli ona ma się do niego zbliżyć.

Czemu nie? Podbój nie sprawi jej przyjemności, a musi to być podbój, gdyż on nie zrobi pierwszego kroku. Będzie musiała zacząć. Nigdy tak się to nie odbywało. Podniecające, ale złe. Dlaczego? Bardziej by go znienawidziła, gdyby się narzucał, jak czasami Jonathan.

Odwrócił się do niej. Była pewna, że czyta w jej myślach.

- Przepraszam - powiedział. - Będziemy musieli poczekać. Nie lepiej wrócić do środka?

Próbował jej się przypodobać w jakiś ciepły sposób. Bzdura. Wszyscy oni są tacy. Dlatego odnoszą sukcesy. Wyglądał śmiesznie z tym dużym słoniem pod pachą.

Pożądanie jego ciała było grzechem śmiertelnym, lecz polowanie stanowiło udrękę. Wszystko to jedna wielka pomyłka. Planuje uwiedzenie mężczyzny tylko po to, aby spowodować jego śmierć, a myśleć potrafi wyłącznie o polowaniu. Nadaje sobie ten męski przywilej z uwagi na ojca. Zgubne. Wstrętne. Piękne.

- Może trzeba zrezygnować i pójść na piechotę - krzyknęła pod wiatr. - Bo inaczej spędzimy tu całą noc.

- Jeszcze trochę poczekajmy. Proszę. - W chwili gdy to mówił, lunął deszcz. Yoshiro usiłował wepchnąć za dużego słonia pod marynarkę i sam przemakał. Anna otworzyła parasolkę, którą próbowała utrzymać na wietrze. Ulica Hibiya pociemniała w mgnieniu oka, Yoshiro zaś pokręcił głową zrezygnowany, zawiedziony.

To nie koniec świata - chciała powiedzieć, co by jednak oznaczało, że jej zależy. Podszedł do niej z zawstydzoną miną gospodyni, która przypaliła niedzielną pieczeń.

Anna pod wpływem nieznanego instynktu zapragnęła znaleźć się gdzieś sama z Katsumatą, położyć go na łóżku

i rozebrać. Wziąwszy go pod rękę poprowadziła w stronę drzwi obrotowych.

- Zjemy coś zachodniego, Yoshiro - powiedziała.

- Jak pani chce.

- Chcę, ale się pośpieszmy. Z zachodnim jedzeniem nie robi się ceremonii. Po prostu się je zjada.

Może przyczyną był głód, bo nie jadła lunchu. Tak. Jej myśli, uczucia i zdziwienie wywołał zwyczajny głód. Pusty żołądek zawsze płata figle. Jest przyczyną zaskakujących reakcji, nagłych decyzji, że będzie działać, że wybuchnie. To szaleństwo skończy się z chwilą, kiedy coś zje. Wziąć go, owszem. Może będzie musiała. Dla przyjemności? Nie.

Czy mogła ją podniecić nieagresywność tego mężczyzny? Możliwe, lecz posiłek wkrótce to wyjaśni.

21.

- W ludziach nie ma dobra ani zła - stwierdził Yoshiro. - Rządzi nimi los, nie siła woli.

- A charakter? Czy podłość lub przyzwoitość nie są ich częścią, jak nos czy ramię?

- Należy oddzielać byt fizyczny od duchowego. Okrucieństwo lub dobroć nie stanowią trwałej części nas samych, jak nos czy ramię. Charaktery się zmieniają.

- Bzdura. Nie uważasz, że mordercy rodzą się źli?

- Nie. Jest tylko wielkie koło okoliczności. Przetacza się nad ludźmi zmuszając ich do działania. Stwarza sytuacje, w których muszą działać. Kiedy los zrządzi, że człowiek ma zabić, zabije, ponieważ zaistnieją takie możliwości. Nie można

walczyć z przeznaczeniem ani go zmienić. Możesz sądzić, że jesteś tutaj, bo tak to sobie zaplanowałaś, ale to los nas tu przywiódł. Zastanów się. Czasami wybierasz właśnie tę sukienkę, bo jest pod ręką albo ci się podoba, a w końcu wkładasz inną, bo jest zimno na dworze. Los ich tu przywiódł? Nie jej matka... nie te lata dręczącego planowania... nie... co to on mówił?

- Chcesz powiedzieć, że moglibyśmy tu siedzieć zajęci własnymi sprawami, a nagle to twoje koło spadłoby i zaczęło dyktować nasz następny ruch? Od niechcenia, ot tak?

- Owszem. Mój ojciec przyjeżdżał do Tokio z wizytą. Fortuna uśmiechała się do niego, kiedy kupował bilet. Robiliśmy przygotowania. Cieszył się na spotkanie ze mną, a potem okoliczności się zmieniały. Byłem zajęty albo musiałem wyjechać.

- Chyba zrozumiałam. Na to trzeba czasu. Przepraszam.

- Mamy go dość.

- Czas to jedyna rzecz, której nam brakuje.

- Czas jest wieczny.

Czy powinna mu powiedzieć, że zarezerwowała pokój? Klucz wypalał jej dziurę w torebce. Spotykali się już od paru tygodni i dzisiaj znajdowali się w dzielnicy Takanawa, dość daleko od centrum miasta. Umówiła się z nim na kawę w Księciu Takanawa. Hotel gwarantował zachowanie tajemnicy, a rozległe japońskie ogrody dokoła zapewniały spokój. Chwilowo skończyła się dla niej straszna huśtawka nastrojów.

- Naprawdę w to wierzysz?

- Wierzę. Powiniennem. A jednak wyznaję, że może tak nie jest. Mój ojciec przeniósł się do tak zwanego królestwa wiecznego i choć powiniennem wierzyć, że znalazł spokój, nie

mogę przywyknąć do tej myśli. Nie potrafię uwierzyć, że już nigdy go nie zobaczę ani nie usłyszę, nie będzie mnie złościć jego niezdecydowanie. Powinienem wierzyć, ale należę do pokolenia zdezorientowanego. Przylapuję się na tym, że chcę go pytać. O różne głupstwa. Brak mi wskazówek, których nigdy nie udzielał, ponieważ je odrzucałem.

- To znaczy los je odrzucał.

- Tak. Ojcu mogło się zdawać, że go nie szanuję, lecz nie sposób korzystać z dobrodziejstwa, jakim jest niezmiennosc uczuć. Los do tego nie dopuszcza. Ojciec należał do gatunku ludzi cichych. Łagodnych i delikatnych. Mógłby ci pomóc i na pewno ty byś mu pomogła. Polubiłabyś go.

Musisz być szalony.

- Na pewno tak.

- Czemu jesteśmy tutaj, Anno?

- Bo mi się tu podoba. To najelegantsza kawiarnia w mieście. I zapewnia intymność. Moje koło fortuny chce, abym była niegrzeczna. Pragnę być z tobą sama. Z dala od telefonu i ruchu ulicznego. Nic w tym złego, prawda? Chcę patrzeć na zieleń, nie na ludzi i samochody. Jesteś zdenerwowany?

- Nie - skłamał. - Jesteśmy sami, prawda? Nie widzę nikogo znajomego.

- Nie o to mi chodziło. Chciałam, abyśmy byli gdzieś w ogóle bez ludzi. Całkiem sami.

- W tym celu musimy polecieć na Księżyc.

Drań. Doskonale wie, w czym rzecz. Wszystkie te bzdury o kole fortuny, o byciu dobrym i złym.

- Chcesz mnie zawstydzić? - Co ona jeszcze ma zrobić?

- Dokąd możemy pójść przed południem?

Włożyła rękę do torebki i wyłowiła klucz. Pomachała nim, obróciła go w palcach.

- Wzięłam dla nas pokój - powiedziała obserwując jego twarz.

Więc przez cały czas do tego zmierzała. Ciekawość. Słyszał, że cudzoziemki to intryguje. O ile może być inaczej. Australijska dziwka mówiła, że ją też ciekawiło, jak to jest z Japończykami, dopóki się nie przekonała, że tak samo. Musiał być ślepy. Był w stosunku do niej otwarty, bo brał ją za przyjaciółkę. Czy tłumił w sobie pożądanie?

- Nie ma pośpiechu - rzekła. - Zawsze mogę, zwrócić klucz. Boisz się, Yoshiro?

Nie bał się nikogo ani niczego. Nie lubił niespodzianek, to wszystko. Boże, nie zamierzała go zaszokować. Co w nią wstąpiło? Mina mu zrzędła, wyraz zakłopotania pojawił się w oczach.

- Możemy zapomnieć o całej sprawie.

On jednak nie zareagował. Po drugiej stronie holu w jego pole widzenia wkroczyła postać z prawdziwego świata. Prezes, pan Sato, zmierzał w stronę ogrodu. Towarzyszyło mu dwóch mężczyzn. Prezes przeszedł przez szklane drzwi i skierował się do wodospadu za nimi. Nie widział Katsumaty. Tamci dwaj rzucili się do przodu i otworzyli mu drzwi, co oznaczało, że zajmują niższe miejsce w hierarchii społecznej. Gest zresztą był zbędny, ponieważ drzwi otwierały się automatycznie. Yoshiro się uśmiechnął. Sam zrobiłby to samo.

Tak jest lepiej - pomyślała.

- Chodźmy - rzekł nagle.

Zjawił się kelner i podpisał rachunek.

- Mam nadzieję, że będzie pani zadowolona z pobytu u nas - powiedział kelner po angielsku. W ogrodzie, w blasku słońca, pan Sato się odwrócił. Przystanął, aby zachwycić się lampami Yoshinori, po czym z powrotem ruszył do hotelu.

- Pokój numer 328 - oznajmiła Anna. - Czemu nie przyjdiesz tam do mnie?

Ratowała go przed nieznośnym spotkaniem twarzą w twarz z szefem. Zastanawiał się, czy robi to świadomie.

Pierwsza wstała od stolika i skierowała się do windy. Drzwi się otworzyły, ledwie przycisnęła guzik. *Dzisiejszy dzień jest szczęśliwy* - powiedziała sobie i powtórzyła to, aby ukryć zdenerwowanie. Cóż, mogą pójść na górę i po prostu posiedzieć. Do tego dojść nie musi. Koło fortuny może, się jeszcze zastanowić i wszystko wykonać za nią.

Myślała o nim, o jego pociągającej twarzy i o tym, jak ostatnio układały się ich wzajemne stosunki. O czym myślała? O losie. Nie o sile przyciągania. Pamiętaj o tym.

Panowała nad nim i ta władza ją upajała, lecz nie należy się nad nią zastanawiać, gdyż wszystko to ma cel. Przekona się o tym kiedyś albo może już wiedziała i zapomniała. No, nigdy przedtem tego nie robiła. Stąd to jej pomieszanie.

W pokoju zdjęła pantofle, usiadła na łóżku i zapaliła papierosa. Drzwi zostawiła uchylone. On idzie za nią gdzieś w tym dużym hotelu i wkrótce tu będzie. Teraz opuściło ją zdenerwowanie, bo działa za jej namową. Wyłącznie jej. Nie matki. Nie Jonathana. Tak, czuła się dziwnie i palce ją świerzbiły.

Co z Jonathanem? To nie ma nic wspólnego z nim. Ani z nikim. A zresztą może nic się nie zdarzy. Później rozległo się stukanie. Może go zmusić, aby tydzień czekał w korytarzu. Albo wlaź na czworakach.

- Wejdz, Yoshiro - powiedziała. - Drzwi są otwarte.

Miał na sobie szare flanelowe spodnie, granatowy blezer i

krawat jak z angielskiej szkoły, a buty wyglansowane nienagannie. Sprawiał wrażenie drobnego i dającego sobą kierować, gdy tak szedł z bezwładnie zwieszonymi rękami. *Ślepiec wiodący ślepca* - pomyślała.

- Usiądź pod oknem, Yoshiro. Napijesz się czegoś?

- Nie, dziękuję. Mogę zapalić?

- Oczywiście.

- Jak praca nad książką? Widziałas się z tym człowiekiem z ministerstwa w sprawie danych liczbowych? Umówiłem cię z nim.

- Dzwoniłam do niego. To na nic. Chyba nie rozumiesz, jaką książkę próbuję napisać. Bez liczb i statystyki. Nie obchodzi mnie, ilu pracowników zatrudnia Yamaha. Chcę zrozumieć, co, jak i dlaczego dzieje się w Japonii, a do tego wystarczy mi obserwowanie i bliższe poznanie ciebie.

- Sądzę, że główna różnica między nami a *gaijin* polega na czasie pracy. Czasie wolnym. Według mnie *gaijin* są znacznie bardziej zainteresowani przyjemnościami po pracy. Raczej wydawaniem zarobionych pieniędzy niż zbytnią troską o ich zdobycie. My dostarczamy Zachodowi sprzętu służącego do urozmaicenia czasu. Aparatów fotograficznych, systemów stereo, wiesz.

Nie słuchała. Musi skończyć z tą szaradą. Musi go poznać. Ale czy może na to liczyć? Jej nie zna własna matka. Jonathan? Cóż, zna jej ciało i wie, jak Anna wygląda we śnie.

W jego przekonaniu Anna kocha bądź nienawidzi to, co zgodnie z jego wolą powinna kochać czy nienawidzić. On jest zupełnie jak jej matka. Jak każdy, kto ma nad kimś władzę. Właściwie nie sposób nikogo winić. Anna sama chciała, aby nią kierowano. Ubierała się, aby sprawić przyjemność Jonathanowi, i zachwycała się tym, czym on chciał. To znaczy, na ogół.

Los uczynił z Yoshiro przedłużenie jej woli. Mogła wkładać mu w usta słowa, zmuszać jego kończyny do działania. Teraz stała się jego kołem fortuny.

- Chodź i usiądź przy mnie, Yoshiro - powiedziała.

Wstał, podszedł do niej i usiadł. Dlaczego jej słucha? Nigdy nie słuchał ojca i nie korzystał z jego rad. Nawet jako mały chłopiec, kiedy ojciec wrócił z wojny i wcale się nie odzywał. Matka nie szczędziła ojcu epitetów, takich jak słabeusz, głupiec, facet do niczego i innych, których Yoshiro nie rozumiał. Powtórzył parę z nich, gdy ojciec wpadł na drzewo, jeżdżąc na nartach w Yoichi.

- Nie wiesz, co mówisz, synu - rzekł ojciec, ale go nie uderzył, a chłopiec się zawstydził. Matka mu wmawiała, że nie potrzebuje ojca, bo jest silny, wie, dokąd zmierza, charakter zaś odziedziczył po dziadku. Jej zdaniem wojna zaszkodziła ojcu, może już nigdy nie przyjdzie do siebie, więc może Yoshiro będzie musiał sam sobie radzić. Mimo to - mówiła - powinien szanować ojca jak każdy dobry Japończyk.

Najlepiej zapamiętał właśnie ten okres całkowitego milczenia, ponieważ wyobrażał sobie, że ojciec nie chce się do niego odzywać. Nie uczył się wprawdzie najlepiej, nigdy jednak nie oblał egzaminu, a kiedy z dumą pokazywał wypracowanie ojcu, ten nic nie mówił. Nie. Nie słuchał. Lecz Yoshiro musiał być posłuszny cudzoziemce.

- Zapal jeszcze - powiedziała.

Ojciec często chodził do kina, aby poznać *gaijin*. Co by powiedział synowi o tej kobiecie? Trzymała w ustach papierosa, a gdy podał jej ogień, ujęła go za rękę. Palce miała silne i nagie. Przyjrzała mu się, po czym objęła go za szyję i przyciągnęła do siebie. Pocałowała go w zaciśnięte wargi i ugryzła

w brodę, na co zeszywniał. Ściągnęła mu krawat i rzuciła na dywan.

- Zdejmiesz buty i marynarkę, czy mam to zrobić za ciebie?

Wciąż milczał, więc dmuchnęła mu w twarz dymem, od którego zakaszał. Rada ojca, żeby spróbował zerwać z nałogiem, odniosła tylko ten skutek, że palił więcej. Stary Taisho ojca udzielił mu tej samej rady. Zaczęła rozwiązywać mu sznurowadła, zdejmować buty, skarpety, rozcierać stopy. Jest smutny, czy też skośne oczy nadają mu taki wyraz?

- Zdejmij koszulę - powiedziała łagodnie, ponieważ zaś nie usłuchał, zrobiła to za niego. Zupełnie jakby sam niczego nie potrafił. Przypomniała sobie, jak często słyszała to z ust matki. Jak świetnie musiała się bawić matka jej wyimaginowaną bezradnością. Zapaliła lampkę na nocnym stoliku.

- Pójdź i zasłoń okno, Yoshiro - poleciła. Sprawiał wrażenie skamieniałego, więc wstała i zaciągnęła zasłony. Wróciła do łóżka, pchnęła go delikatnie i położyła się przy nim. Nie drgnął mu żaden mięsień.

- Obejmiesz mnie? - zapytała patrząc na niego. - O czym myślisz?

Choć na pewno już to zdanie słyszała, nie zastanawiała się gdzie, ogarnięta nagłym, silnym podnieceniem. Pociągała ją myśl o rozbieraniu tego muskularnego ciała. Pragnęła poczuć go blisko, w sobie, tęskniła do jego dotyku, on jednak pozostawał nieruchomy.

Całowała jego czoło, brwi, szyję, gryzła w ramię, rękami przesuwała po jego piersi i brzuchu. Rozpięła mu pasek, jej palce powędrowały niżej i namacały miękką męskość.

- Chcesz mnie? - szepnęła mu do ucha, lecz nie uzyskała odpowiedzi. - Wiem, że chcesz. - Ścisnęła delikatnie i poczuła,

jak twardnieje. - Nie oszukasz mnie, Yoshiro. Leż sobie i nie nie rób. Przywykłeś do obsługi, a ja obsłużę cię jak nikt dotychczas.

Myślał o następnej wizycie w świątyni. Co powie ojcu, kiedy uklęknie przy jego szczątkach? Lecz ciało od mózgu dzieliła duża odległość i poczuł, jak dziwna namiętność zakrada się tam, gdzie Anna trzyma rękę.

Przywykł do spokojnych, uległych kobiet, nieśmiało uśmiechniętych, wstydliwie zakrywających usta dłońmi. Mówiły niewiele, cicho, tak też wyrażały swe pragnienia. Czasem nie odzywały się wcale. Nie pociły się ani nie krzyczały w łóżku. Jęczały, wzdychały i zamykały oczy w ciemnościach, szeptały zaś z rzadka. Nie mówiły, jaki jest wspaniały czy zły, i nie przyznawały się, że kiedyś miały kochanków. Wiedział, że robi to cudzoziemka. Jej szyja lekko pachniała perfumami i potem, usta miała wygłodniałe, lecz leżał bez ruchu. Co robi tu o tej porze? Powinien wracać do biura. Jest pierwszy w kolejce do awansu. Czeka ją, aż kuzyn pana Sato przejdzie na emeryturę. Teraz Yoshiro powinien jeszcze bardziej dowodzić swego zaangażowania i wartości. Ale jej nie sposób powstrzymać. Wiedział, że go pragnie, bo nie panowała nad ruchami bioder, przybliżała się coraz bardziej.

Chciała tego, ale dlaczego z nim? I dlaczego przed południem? Czemu nie pójdzie za Akasaka, gdzie chodzą po to cudzoziemki? Czują, że tak należy? Nie. Bo nie była udawana ta miękka wilgotność, jakiej dotykał teraz, po zdjęciu przez nią spodnicy. Dysząc ciężko położyła się na nim.

Jemu wciąż twardniał, aż do bólu, ona zaś dotykała go i mówiła z uśmiechem: - Wiem, że mnie pragniesz. - Oparła mu głowę na ramieniu, a on patrzył na jej małe uszy i ciemnorude włosy, gdy ścierała mu i odrzucała spodnie. Ocierała się o niego, w upale i ciemnościach oplatała go nogami,

szeptala rzeczy, których nie rozumiał.

Ogarnięta szaleńczo traciła panowanie nad sobą. Coś ją zmuszało do gniewienia go i ściskania, gryzienia, ssania, szarpania. Nikt jej nie mówił, co ma robić. Nikt nie pytał, czy czerpie z tego przyjemność. Nie potrafiła na to odpowiedzieć, bo coś się z nią działo. Wyobrażała sobie, że jest w wannie, drzwi zamknęła na klucz i dotyka się, ale to ciało należy do kogoś innego. Prawie już doznawała tej ulgi, jaka możliwa była tylko w samotności. Teraz leżała na mężczyźnie, czuła, jak on tam rośnie, a gdy wprowadziła go do środka, rozpętało się piekło. Pochyliła nad nim, objęła go w pasie i wrzasnęła: - Rusz się, ty draniu! - on jednak nie usłuchał, więc stoczyła się z niego, w coraz większym napięciu smakowała jego, siebie, a on leżał tak nieruchomo, jakby jej tam w ogóle nie było. Dotykała wszędzie jego i siebie, po czym znów go dosiadła, poruszała biodrami, unosiła ramiona jak w tańcu, poruszała się coraz szybciej. Z zamkniętymi oczami, wpita paznokciami w jego ramiona unosiła się i opadała.

Wtem, całkiem nieoczekiwanie, lekko dotknął rękami jej bioder, spoconych pleców i nadał jej rytm. Zawahał się, nim palcami poszukał jej piersi. Otworzywszy oczy pomyślała, że ktoś z nią jest, choć musiała być w wodzie sama, jak nieraz. Zbawienie przybliżało się z każdą chwilą szybciej, a jemu twardniał brzuch, biodra zaś poruszały się w jednym rytmie z jej biodrami. Usłyszała swój głos: - Prędszej, ty draniu, prędszej, mocniej i więcej. -Wrzeszczała, żeby zaczekał, więc to zrobił, poruszyli się oboje i ona oklapnięta jak balon padła na niego. Czuła jego ruchy szybkie, niekontrolowane, wreszcie objął ją bez słowa. W upale, wilgoci oblewała go swym potem, on wciąż się poruszał, ona pozostawała nieruchoma. Po

kulminacji Yoshiro zadygotał i padł na wznak. Słyszał bicie serca jej i swojego.

Plakała, on zaś nie wiedział dlaczego.

- Nie odchodź. Zostań jeszcze - prosiła, kiedy zaś zwiotczał, osunęła się i położyła przy nim. W mroku za kręgiem nocnej lampki, już uspokojona, sięgnęła po papierosy. Zapaliła sobie i jemu.

- *Domo arigato gosaimasu* - powiedział. - Dziękuję.

Zdawała sobie sprawę, że nie jest sama, lecz nic nie mówiła. Jakie to straszne. Jakie cudowne. Nie powinna tak czuć, ale nigdy jeszcze tak nie było. Absolutne odprężenie, żadnej nerwowej gadaniny, widok rzeczy na ścianach, barwy i kształty. Nie dręczyły jej obawy, papieros smakował, dokuczał głód. Pragnęła, aby ktoś ją całował, pieścił i tulił. Mógł to zrobić tylko on, a wiedziała, że jego nie może o to poprosić. W przyplwywie wątpliwości wysliznęła się z łóżka.

- Dokąd idziesz? - zapytał. Nie odpowiedziała. Była rozgrzana, spocona, w całym pokoju czuła swój zapach. Musiała wziąć prysznic.

- Zaraz wracam - odparła. - Bardzo niedługo. Mógłbyś zamówić dla mnie filiżankę herbaty?

Nie rozumiał powodu jej oziębłości.

- Chcesz także coś zjeść?

- Tak. - I znikła w łazience.

Zmęczony, z trudem unosił ciężkie powieki. Może się zdrzemnie. Pięć minut.

Dostał od pana Sakamoto pocztówkę ze znaczkiem francuskim. Gęste, schludne znaki bez adresu. Co robił w Takanaawa prezes, pan Sato? Czy mógł go zauważyć? Pan Sato nie słyszał z taktu. *Gaijin* go lubili, gdyż jego gadatliwość brali za szczerłość. Na pewno coś by powiedział, gdyby zobaczył swego pracownika. Yoshiro ma teraz za dużo do stracenia.

Wczoraj wieczorem córka zostawiła mu kartkę. Krótki wierszyk z rysunkiem śniegu, gór, deszczu i rzek. Powróciwszy myślami do teraźniejszości przypomniał sobie niemal okrutny uśmiech satysfakcji na twarzy cudzoziemki. Czy go wykorzystuje? Traktuje jak męską dziwkę i zaraz zaoferuje pieniądze za wyświadczone usługi? Jest pozbawiona zahamowań, pokory lub wstydu, ale on stanowi przedmiot jej pożądania, co napawa go dumą.

Telefonicznie zamówił herbatę i klubową kanapkę. Mówił po angielsku, więc dziewczyna z drugiej strony odpowiedziała: - Tak, sir. - Zastanawiał się, czy pan Sato jeszcze jest w hotelu. Yoshiro nie powinien zostać tu przyłapany, bo to pan Sato przedstawił go przyszej żonie, po czym występował w roli swata.

Yoshiro odłożył słuchawkę i znów zaciążyły mu powieki. Nie słyszał żadnych odgłosów dobiegających z łazienki, nie myślał o kartce córki ani o widokówce Taisho.

Ani, po raz pierwszy od niepamiętnych czasów, o swoim ojcu.

22.

Nie mógł nie przyjąć tego zaproszenia.

Ale otrzymał je w okresie najgorszych kłopotów z filią w Nagoya. Pokpił sprawę dopuściwszy, aby człowiek na niższym szczeblu hierarchii służbowej potraktował go niegrzecznie. Jego dział sprzedał filii dwa tysiące skrzynek z tajwańskimi krabami w puszkach, gdy zaś doniesiono, że towar jest w złym stanie, Yoshiro podpisał protokół właściwie

bez czytania. Wystąpiło niebezpieczeństwo zatrucia pokarmowego i dwaj klienci trafili do szpitala. Resort zdrowia zagroził, że jeśli towar nie zostanie wycofany, historia trafi na łamy gazet. Kiedy kierownik filii w Nagoya to mówił, Yoshiro wciąż kazał mu powtarzać, co rozwścieczyło kierownika. Jako człowiek blisko związany z jednym z bratanków Sato, bez trudu mógł zwrócić uwagę prezesa na zlekceważenie przez Yoshiro ewentualnego procesu, który ktoś mógł wytoczyć firmie.

W preliminowanych wydatkach działu zawsze znalazłyby się pieniądze na wypłacenie małych odszkodowań, ale to będzie duże. Musiałaby je zaaprobować księgowość i prezes by się dowiedział. Nikt nie jest bezpieczny, póki nie znajdzie się na ósmym piętrze. Stamtąd można zwać winę na kogoś postawionego niżej. Niepowodzenia miewają wyłącznie wyrobnicy z biura ogólnego. On postępuje inaczej. Pozwala kierownikowi filii pchnąć się nożem w pierś. Staje z nim twarzą w twarz.

- Prezes pyta, czy może pan zjeść z nim lunch.

- Dzisiaj? - W głowie miał kraby w puszkach, lecz zaproszenie prezesa to był rozkaz.

- O dwunastej u Maxima - powiedziała sekretarka prezesa. - To lunch prywatny. Z okazji urodzin prezesa.

- Zapomniał.

- Oczywiście - rzekł Yoshiro. - Będę zaszczycony.

Jego matka miała przyjechać do Tokio po raz pierwszy od śmierci ojca. Przekona się, jak rzadko syn spędza noce w domu. Zobaczy jego ściągniętą twarz i będzie się martwić. Choć zbliża się okres przyznawania premii, on nie wystawił

jeszcze żadnych opinii. Ważny klient amerykański jest w Tokio od ponad tygodnia, a Yoshiro dotąd nie znalazł czasu na spotkanie.

I nie był w świątyni.

Anielka całkowicie zawładnęła jego duszą. Od paru tygodni byli kochankami. Cechowała ją otwartość i bez skrępowania mówiła o swoim życiu seksualnym z mężem. Twierdziła, że dawniej uważała seks za coś, co się robi, aby zadowolić mężczyzn. Rumienił się słysząc te szczere wyznania, pewny, że słucha jej całe biuro.

Czy coś przed nim ukrywa? Czy czuje się samotna? Czy coś bolesnego każe jej używać słów, jakich żadna Japonka nigdy nie odważyłaby się wypowiedzieć?

I ryzykuje.

- O dwunastej u Maxima - powtórzyła sekretarka prezesa, Yoshiro zaś skłonił się nad biurkiem i powiedział, że przyjdzie.

Na połączenie czekał pan Sakamoto, zdziwiony że Yoshiro od tak dawna się nie odzywa i jest nieuchwytny w domu. Pan Sakamoto przezornie zadzwonił do swojego przyjaciela pana Sato. Czy Yoshiro się nie przepracowuje?

- Wiedziałeś o dzisiejszych urodzinach prezesa?

- Tak, proszę pana. Zaprosił mnie na lunch.

- Zaproszenie z takiej okazji to wielki zaszczyt i rzadka sposobność. Mnie też proszono, nie wprost, o dotrzymanie wam towarzystwa, sądzę jednak, że najrozsądniej będzie podziękować. Chyba zaproszony zostałem z grzeczności.

Naturalnie - myślał Yoshiro - *co robi się wprost w tym staroświeckim społeczeństwie?*

- Moglibyśmy napić się kawy po lunchu - rzekł pan Sakamoto - lub zjeść obiad.

Cudzoziemka zadzwoni do niego w porze obiadowej. Umawiali się wcześniej, lecz znów odwołała spotkanie.

Nie wiedział, co to za gra, Anna była mu jednak potrzebna. Czuł jej miękkie włosy na twarzy i słyszał głos. Jeszcze nie, Yoshiro. Zaczekaj. Jeszcze nie.

- Panie Katsumata, słucha pan? - pytał Taisho.

- Tak, tak. Oczywiście. Ktoś właśnie podał mi kartkę. Przepraszam.

- Wciąż zapominam, jaki musisz być zajęty. Mam dużo do opowiedzenia.

- Czy mogę zadzwonić po lunchu?

- Proszę. Baw się dobrze i przekaż ode mnie prezesowi wyrazy szacunku. Dzięki temu nie będę musiał odrzucać jego zaproszenia. Należy robić to, co wypada, nie uważasz? Jeśli mamy nie zatonać w morzu cudzoziemszczyzny.

Moglibyśmy przecież wszyscy nauczyć się pływać

- pomyślał Yoshiro. Taisho dużo gadał. Może jego przyjaciele poginęli na wojnie albo powymierali ze starości.

- Spotkania ze mną nie powinny ci przeszkadzać w wypełnianiu obowiązków służbowych - rzekł Taisho. - W tym kraju ktoś bez powiązań rodzinnych może się wywindować na sam szczyt jedynie dzięki ciężkiej pracy. Dobrze urodzeni prowadzą konie pociągowe. Nie mają wyboru, bo dali przodkom słowo, że wciąż będą stać na czele. Robotnicy muszą iść za nimi, ponieważ muszą jeść. W ten sposób wspólnie przyczyniamy się do wielkości kraju.

- Nigdy tak o tym nie myślałem - przyznał się Yoshiro.

- Będę czekać na twój telefon. - Taisho odłożył słuchawkę.

*

Nie lubi się wtrącać w czyjeś życie prywatne - powiedział prezes - czasem jednak musi, kiedy ważny pracownik zamierza popełnić błąd.

- Dziękuję panu - rzekł Yoshiro.

- Kim jest ta cudzoziemka, Yoshiro? Dlaczego wciąż się z nią spotykasz o tak dziwnych porach i czemu w hotelu? Jeśli to interesy, może przecież przyjść do biura. Sam jej nie widziałem, ale podobno jest bardzo atrakcyjna. To lunch prywatny, możesz nie odpowiadać. Nie oczekuję, że będziesz święty, wymagam natomiast dyskrecji. Mężczyzna musi się zabawić, to jednak nie powinno kolidować z jego życiem. Nie wracałeś ostatnio na noc do domu. Nie siedziałeś za biurkiem. Nie żądam od ciebie komentarza, Yoshiro, tylko tego, że będziesz słuchać i myśleć. W przyszłym roku kończysz czterdzieści lat. Jesteś teraz głową rodziny Katsumata i zostaniesz członkiem zarządu Sato Kaisha. Trudno przewidzieć skutki małej nieostrożności. A teraz wesoło spędźmy moje urodziny. Kierownik powiada, że wszystkie ryby i warzywa kupują u nas.

Sieć plotkarska firmy działała w obie strony. Historia dotarła na górę i zajmowała sporo miejsca w myślach prezesa, bo inaczej by o niej nie wspomniął.

Ostatnim człowiekiem na stanowisku, który napytał sobie biedy, był poprzedni dyrektor finansowy. Jego zażyłość z biurową maszynistką zakończyła się tragicznie. Dziewczyna zniknęła, dyrektor zaś odszedł i podjął pracę w firmie zagranicznej, gdzie po upływie dwóch lat przyłapano go na kradzieży. Przeprosił listownie wszystkich, po czym odebrał sobie życie w małym hotelu w uzdrowisku Atami. To miał na myśli prezes mówiąc, że trudno przewidzieć skutki nieostrożności. Z dyrektorem finansowym łączyła go mocna więź i choć nigdy nie opuścił ani dnia pracy, po znalezieniu zwłok wziął sobie wolny tydzień.

- Co złego jest w tym, jak my, Japończycy, traktujemy *gaijin*? - zapytał prezes.

- To proste - odparł Yoshiro. - Musimy się nauczyć myślenia o reszcie świata jak o równym partnerze. Żyjemy na tych wyspach od tysięcy lat. Toczyliśmy wojny. Mamy tu system klasowy ustanowiony w wyniku dawno wygranych bitew. Z trudem nauczyliśmy się współżyć ze sobą, z nikim innym natomiast nie potrafimy. Dla nas nikt inny nie istnieje. Handel to coś więcej niż wymiana towarów na pieniądze. Polega on na wymianie kultury, historii, poglądów. My stoimy na straży własnych interesów.

- Czyż nie tak robią wszyscy?

- Może, ale przecież my się boimy, nic więcej. My, Japończycy, dobrze się czujemy tylko we własnym towarzystwie. Nigdy nie nazywamy cudzoziemców Włochami, Niemcami czy Amerykanami, prawda? Są *gaijin*. Obcymi. Barbarzyńcami. Tym zbiorowym określeniem obejmuje się każdego, kto nie należy do nas i kogo zawsze trzeba podejrzewać, wykluczać. Jak trędowatego.

- Tego bym nie powiedział.

- Niech pan spojrzy na nasze przepisy paszportowe. Japończyk urodzony w Stanach Zjednoczonych, w Anglii czy gdziekolwiek indziej automatycznie dostaje paszport kraju swego urodzenia. Rosjanie, Żydzi, Chińczycy, Hindusi, wszyscy ci, których rodzice przybyli tu i zamieszkali przed wojną, a którzy tutaj się urodzili, nigdy nie będą mogli otrzymać obywatelstwa japońskiego, prawda? Obojętne, jak się to nazywie, nie uchodzą za godnych. U podłoża naszego słynnego kompleksu niższości leży największa zarozumiałość na świecie. Nikt nas szczególnie nie kocha. Nie kochamy się nawzajem. Tylko tolerujemy, bo wszyscy jesteśmy Japończykami, synami cesarza, ludźmi lepszymi od innych.

- A co z tradycją? Czy nie mamy długu wobec naszych przodków? Naszego dziedzictwa?

- Powinniśmy się szczyć naszym dziedzictwem, a nie po prostu czcić je na rozkaz. Jak można się nim chlubić, nie poznając spuścizny innych narodów? Zarzucają nam, że kradniemy innowacje, wzory, pomysły. Zabieramy je i tutaj produkujemy rzeczy taniej. Tak nas postrzegają, bo jesteśmy zagadką. Nikt nas nie rozgryzł. Dlaczego od nas się wymaga, abyśmy zaglądali w serca innych ludzi, a im się na to nie pozwala? Nie twierdzę, że musimy zerwać z przeszłością. System klasowy i dyscyplina rozwiązały nam problemy z siłą roboczą. Zapewniają firmom lojalność pracowników. Dźwi-gnęły nas z ruin. Dzięki nim mamy stosunkowo puste więzienia i bezpieczne ulice. Możemy oferować nie tylko samochody, zegarki i aparaty fotograficzne. Ilu *gaijin* wie o naszych ogrodach i ceramice? Jakiś nieznany profesor mówi o naszej kulturze w amerykańskiej telewizji, a wszyscy oglądają baseball na innym kanale. Uchodzimy za eksporterów, pewnego dnia jednak Chińczycy i Koreańczycy zaczną eksportować taniej. Mało jest zagranicznych samochodów na naszych ulicach, jeszcze mniej zagranicznych studentów w naszych szkołach. Jeśli całkowicie nie zmienimy naszego sposobu postępowania, świat będzie kiedyś musiał wydać nam wojnę handlową. Powstaną bariery, takie jak te wznoszone obecnie przez nas. Wystarczy silna recesja na Zachodzie i bezrobocie, aby do tego doszło. Jedynym ratunkiem dla nas jest stać się częścią świata, nie tylko w słowach, lecz także w rzeczywistości i w działaniu. Budować poza Japonią fabryki z udziałem japońskiego kapitału.

- A te miliony gąb do wyżywienia tutaj?

- Planowanie rodziny, proszę pana, i emigracja. Zarówno Północną, jak Południową Amerykę zbudowali imigranci. W Brazylii żyje pół miliona Japończyków.

- Nikt nas nie chce.
- Gdybyśmy mieli budować za granicą fabryki, gdybyśmy dawali w nich ludziom pracę, nikt by nas nie powstrzymywał od przyjazdu.
- Chcesz wyludnić ten kraj? Utracić dziedzictwo, z którego jesteś rzekomo tak dumny?
- Przepraszam pana. Amerykanie włoskiego pochodzenia nie utracili swego dziedzictwa, a na Świętego Patryka tysiące Amerykanów wspomina swoich dziadków przybyłych z Irlandii. Pozytywny aspekt naszej spuścizny jest niezniszczalny.
- Jesteś radykałem.
- Nie. Chcę przetrwać. Chcę, żeby przetrwała ta firma i inne podobne do niej. W Europie mają Wspólny Rynek. Dawni wrogowie, jak Niemcy i Anglia, współpracują z myślą o ogólnym dobrobycie.
- Próbowaliśmy tego przed wojną.
- To nie było to samo. Wspaniały pomysł spalił na panewce z braku równości. My uważaliśmy się za przywódców. Partnerstwo nie może się opierać na rasie panów. Potrzeba równości. Tego brakowało wtedy i niestety dziś także.
- Prezes miał przerażoną minę. Ten człowiek nie rozumie, co mówi. Traci grunt pod nogami. Pan Sato ziewnął, zasłaniając usta chusteczką, po czym się uśmiechnął. Yoshiro podniósł kieliszek.
- Czy mogę panu złożyć życzenia urodzinowe? Służę firmie i panu od wielu lat i mam nadzieję to samo robić w przyszłości. *Rampai!*
- Dziękuję. Nawiasem mówiąc, pan Sakamoto wspomniał, że się dzisiaj z tobą spotyka. Jest o tobie bardzo dobrego zdania, Yoshiro. Chyba nie wie, co sądzisz o przyszłości Japonii. Na twoim miejscu nie dyskutowałbym z nim o tym. To człowiek starej daty.

- Nie z każdym tak rozmawiam, proszę pana.
- Znam pańską bezstronność. Pan potrafi skorygować moje błędy, bo szanuję pańskie poglądy i zdolności.
- Wszystkiego najlepszego, proszę pana.
- Wypili wino i Yoshiro zemdliło.
- Miałem ostatnio trudny okres, a człowiek musi się czasem wypowiedzieć, obojętne, czy ma rację, czy nie. Z braku ojca wykorzystałem pańską życzliwość.
- Bezwstydnie posłużył się śmiercią ojca, aby zaskarbić sobie przychylność tego prostodusznego mężczyzny. Zanadto się pośpieszył. To nadal pozostawało domeną ludzi starych.
- Zdaję sobie sprawę z tego, co przechodzisz, ale uważaj z tą cudzoziemką. Miasto, choć duże, to wciąż wioska.
- Dziękuję - rzekł Yoshiro, a prezes, jako gospodarz, wstał i pierwszy ruszył do wyjścia. Ukłonił się.
- Pozdrowienia dla pana Sakamoto.
- Dziękuję panu.
- Rozstali się i Yoshiro poszedł zadzwonić do starego Tais-ho swojego ojca.

23.

- Sprawiasz wrażenie zdenerwowanego - stwierdził pan Sakamoto. - Czy lunch się nie udał? Nie powinniśmy się zdradzać. Nad niektórymi uczuciami najlepiej zapanować, choć to nie zawsze łatwe. Zwłaszcza za młodu, ale na twoim miejscu bym się nie martwił. Przyszłość należy do ciebie.

Diabła tam. Rządzą starcy. Wyświechtane poglądy.

- Jak się panu podobała Europa? Musiała bardzo się zmienić od pańskiego ostatniego pobytu.

- Owszem. Cały świat się zmienił. Zatracił swą inność. Ludzie ubierają się tak samo, jeżdżą takimi samymi samochodami i jedzą te same gotowe dania. Te same filmy są wyświetlane we wszystkich stolicach, a identyczne znaki firmowe widnieją wszędzie. W dawnych czasach człowiek wiedział, że przejeżdża z kraju do kraju. Dziś już nic nie jest obce. Podróże straciły swój podniecający charakter. Nadal różnią się tylko języki i waluty. Wszyscy ludzie wyglądają tak samo. Budynki są chyba dziełem tych samych architektów. Wszyscy zmierzają w tym samym kierunku. Wszystko da się przewidzieć. Żałuję, że pojechałem. Miło byłoby wspominać taką Europę, jaka utkwiała mi w pamięci. Spróbuję zapamiętać to, co widziałem.

- Słucham tego z przykrością.

- Tak.

- Ma pan dzieci, panie Sakamoto?

Staremu człowiekowi twarz się wyciągnęła. Nie należało zadawać takiego pytania.

- Miałem córkę, Yoshiro. Dzisiaj byłaby w twoim wieku. Jak inni przedstawiciele mojego pokolenia, rzadko ją widywałem, kiedy była dzieckiem. Chyba wiecznie służyłem w wojsku. W chwili jej narodzin znajdowałem się w Mandżukuo. Po raz pierwszy zobaczyłem już dwuletnią dziewczynkę. W tamtych czasach ludzie się nie kręcili. Potem przysła Birma i Singapur. Może w sumie spędziłem z nią trzy miesiące. Mieliśmy w Jokohamie domek nad zatoką.

Dziś trudno w to uwierzyć, ale wtedy naprawdę można tam było pływać, zanim pojawiły się fabryki i tankowce. W wieku chłopięcym jeździłem tam z rodziną na długie lotnie

wakacje. Tam nauczyłem się łowić ryby. Tak, niegdyś w Zatoce Jokohamskiej były żywe ryby. To zbyt przygnębiające. Nieruchomość pozostała w naszych rękach, lecz teraz wynajmujemy ją rodzinie właścicieli dużej restauracji w dzielnicy chińskiej.

Obie, moja żona i córka, utonęły któregoś popołudnia w zatoce. Po paru dniach znaleziono ich małą łódź wiosłową na piasku, ciało natomiast woda nigdy nie wyrzuciła na brzeg. Wydarzyło się to na miesiąc przed końcem wojny. W roku 1952 ożeniłem się z młodszą siostrą mojej żony, ale nie mamy dzieci.

- Bardzo panu współczuję.

- Dziękuję. To dawna historia. Telegram odebrałem w Singapurze, w trakcie kapitulacji. Byłem zły. Nie wiedzieliśmy o zburzeniu Hiroszimy i Nagasaki, o bombie, która skłoniła cesarza do tego kroku.

Czuliśmy się zdradzeni i poniżeni. Ja nie miałem do czego wracać. Żołnierze nie byli wyczerpani walką, lecz gotowi się bić, tak jak ja.

Naturalną reakcją każdego mężczyzny byłby natychmiastowy powrót, jako jeńiec wojenny nie mogłem się jednak nawet upić ani rzucić w objęcia prostytutki. Musiałem samotnie stawiać czoło śmierci żony i córki. Nie miałem z kim o tym porozmawiać. I w celi nauczyłem się patrzeć na wszystko z perspektywy. Ja przeżyłem małą tragedię w porównaniu z potworną katastrofą.

Chyba nie byłem dobrym ojcem. Zapomniałem, jak wyglądała dziewczynka. Fotografie, które miałem przy sobie, uległy zniszczeniu. Moje osobiste cierpienie mieszało się z bólem z powodu klęski. Nigdy nie dano mi drugiej szansy, więc nie umiem powiedzieć, jakim byłbym ojcem. Pewnie takim samym. Mówię to z przykrością, ale pytałeś.

- Z całego serca panu współczuję.

Taisho milczał. Wypił ostatni łyk zimnej zielonej herbaty. Rysy mu stwardniały.

- Porozmawiamy o innych sprawach. Dałem słowo twojemu ojcu. Opowiem ci o czasie, który spędził w Tajlandii. Doszliśmy chyba do przyjęcia, jakie w domu tego chińskiego kupca wydałem dla twojego ojca w przeddzień jego wyjazdu.

Kupiec otrzymywał zezwolenia na import w zamian za drobne przysługi, czyli dostarczanie, jak to nazywaliśmy miejscowych plotek. O łodziach zawijających do ujść małych, nie naniesionych na mapy strumieni, o przemycanych na wyspę towarach, nowych twarzach na ulicach i podobnych rzeczach. On zarabiał, my zaś nieoficjalnie kontrolowaliśmy sytuację. Miejscowi poplecznicy się liczyli, bo na ogół budziliśmy nienawiść. Pod koniec wojny chiński kupiec ogromnie się wzbogacił. Znalaziono go martwego w jego gabinecie na dwa tygodnie przed naszą kapitulacją. Miał poderżnięte gardło, lecz w otwartym sejfie nie brakowało ani pensa. Narobił sobie wrogów, co wszystkim nam się zdarza. Tak, na tym skończyliśmy ostatnim razem. Przypomniałem sobie.

Twój ojciec rzadko przyjeżdżał do Tokio, prawda? Chyba próbował jakoś zabić czas. Trudno jest to zrobić w tym mieście człowiekowi bez żadnego zajęcia. Są tu miliony ludzi, budynków, sklepów i samochodów. Znaliśmy z twoim ojcem miasto przed wyburzeniem wąskich uliczek i wykarczowaniem drzew, aby zrobić miejsce na płatne autostrady i drapacze chmur. Człowiek pracujący traci dwie godziny na dojazd do biura, dwie na powrót do domu i w dzień nigdy nie zdąża robić tego, co powinien. Są muzea i bary, i cudzoziemskie potrawy do kosztowania, a nie ma czasu. Po przejściu

na emeryturę natomiast człowiek ma czas, a nie ma ochoty wchodzić do sklepów. Szuka kontaktu z ludźmi. Może twój ojciec szukał go w swych ukochanych kinach. Dla emeryta nikt nie ma czasu, twój ojciec zaś nie znosił litości.

Ludzie się nie zmieniają. Tylko starzeją się i umierają. Uparty młodzieniec staje się upartym starcem. Twój ojciec pod koniec był w tym mieście obcy. Wolał oglądać cudzoziemskie twarze na ekranie i słuchać rozmów tych ludzi niż zawierać nowe przyjaźnie. Pamiętam, że przed powrotem do Bangkoku, gdzie miał się ze mną spotkać, spadł na niego cios. Coś wytrąciło go z równowagi i czuł potrzebę zwierzenia się komuś, lecz milczał. Oczywiście powiedział mi to, co musiał. Przekonasz się, że niczego nie pominął. Nigdy jednak nie wspomniał o przyczynie depresji, w jaką popadł po powrocie. Na czym skończyłem?

Yoshiro nie odpowiedział. Niech starzec sam odnajdzie to miejsce. Było już po południu i Yoshiro liczył na spotkanie z Anną Bellingham w hotelu Książę Takanawa. Ona w dalszym ciągu nie zdradzała swych myśli, uczuć i planów, maskując je seksem. W ciągu tych ostatnich paru tygodni w jego życiu zapanował chaos. Stopniowo poznając dzieje swego ojca i pogrążając się w zamęcie uczuciowym, mniej się przykładał do pracy w dziale, gdzie chyba dobrze sobie bez niego radzono. Obowiązki służbowe ustąpiły pierwszeństwa objęciom cudzoziemki.

- Pozwól, że opowiem ci więcej - rzekł Taisho.

- Tego popołudnia twój ojciec, dwaj brytyjscy oficerowie i sierżant wyruszyli austinem w stronę granicy. Birmańczycy i dwaj żołnierze jechali innym samochodem. Austina prowadził angielski lekarz. Teraz wyjawię ci coś, o czym wówczas wiedziało bardzo niewiele osób. Prawdziwy cel tej misji. Starszy oficer, którego chcieliśmy sprowadzić z powrotem, był zdrajcą, szukał sposobów zakończenia wojny. Oddał się w ręce wrogów, aby im pokazać, jak osłabić wpływ armii na politykę japońską. Armia dotarła wtedy do szczytu powodzenia. Od czasów Mukdenu o polityce zagranicznej Japonii decydowali generałowie. Dopóki wszystko szło dobrze, ministrowie i prości ludzie byli zadowoleni. W okresie misji twojego ojca obserwowaliśmy porażki naszych niemieckich sprzymierzeńców w Afryce Północnej. Alianci cały swój wysiłek koncentrowali na Europie, przez co zyskałszy czas na umocnienie się w Azji. Później mieliśmy działać z pozycji siły. Tego starszego oficera i kilku innych podejrzewano o znowę i zamiar pertraktowania z Brytyjczykami i Amerykanami. Nikt nie wiedział, o co mu chodzi. Ponieważ przed wojną trochę czasu spędził w Moskwie, może w jakiś sposób reprezentował Rosjan. Pokój z Japonią pozwoliby rzucić do walki w Europie więcej wojsk alianckich i odciążyć Armię Czerwoną. Oficer działał bardzo sprytnie, bo odwiedził taką część Birmy, gdzie nie miał żadnego interesu, a gdzie przebywało wielu brytyjskich komandosów i partyzantów birmańskich. Tym, którzy go wzięli do niewoli, nie zdradził, kim jest. Czekał na instrukcje od kolegów z Tokio. My czekałszy, bo musieliśmy ich zidentyfikować, aby się z nimi

rozprawie. Człowiek wzięty razem z nim do niewoli dochował nam wiary, ale zmarł niebawem. Drobiazgowo opracowany plan oficera obejmował zdymisjonowanie Tojo i trzech innych ministrów, jak również aresztowanie głównodowodzących na wszystkich terytoriach okupowanych. Podejrzewaliśmy, że zastępcy tych generałów już są w ich sztabach i czekają na rozkaz. Koniecznie musieliśmy się dowiedzieć, kim są. Na takim stanowisku dowodzenia jak Singapur, mógł to być każdy. Starszy oficer był kluczem do sprawy, ponieważ zdecydował się zaoferować swe usługi nieprzyjacielowi. On jeden znał spiskowców. Wiedzieliśmy, że listę nazwisk ma w głowie, nie na papierze, dlatego też należało sprowadzić go z powrotem i przesłuchać. Zgodnie z planem zostałby stracony zaraz po tym, jak rozprawilibyśmy się z całą resztą. Istnienie jego i spisku zachowano by w tajemnicy. Wszyscy uczestnicy misji włącznie z twoim ojcem mieli zginąć, a zlikwidowanie ich zlecono kapitanowi Kato. Próbowałem nakłonić mojego przełożonego do zmiany decyzji w sprawie twego ojca, lecz bezskutecznie. Nie mogłem zbyt nalegać, aby nie wzbudzić podejrzeń. W tamtych czasach tylko garstka ludzi uchodziła za bezpiecznych. Kapitan Kato był inny, bo długo pracował w wywiadzie wojskowym. Przed wojną figurował na liście płac Mitsui, co służyło mu za parawan, i należał do wszystkich klubów towarzyskich w Bangkoku. Donosił o poglądach i siłach politycznych w tym regionie. Pamiętaj, że planowaliśmy stworzenie w Azji Południowo-Wschodniej wspólnego obszaru dobrobytu, a zadanie klęski militarnej *gaijin* walenie się przyczyniło do umocnienia naszej wiodącej roli. Kapitan Kato był ważnym człowiekiem, który ostatecznie zginął z rąk komunistów na parę miesięcy przed końcem

wojny. Nie osądzaj mnie według dzisiejszych kryteriów. Możesz powiedzieć, że posłużyłem się twoim ojcem, ale i mną się posługiwano. Niezależnie od tego, jak wysoką ktoś uzyskał pozycję, podczas wojny każdego można było poświęcić. Ani tej wojny nie chciałem, ani wojny nie ustaną po mojej śmierci.

*

Tak więc wyjechali z Bangkoku.

Samochód miał tablicę rozdzielczą z drewna orzecha włoskiego i skórzane siedzenia, a mknął jak rakietka.

- Ty siądź z przodu obok rudego *gaijin* - polecił sierżantowi porucznik Katsumata. Wiedział, że lekarz planuje ucieczkę. Nie rozumiał, dlaczego Hedges chce ryzykować, skoro wolność ma niemal zagwarantowaną. Sam Katsumata i porucznik Pritchard zajęli tylne siedzenie. Patrzyli na drogę, obserwowali odległe góry, mijając drzewa kokosowe, plantacje bananów i trzciny cukrowej. W dolinach widzieli pola ryżowe rozkołysane na wietrze niczym pastelowozielone jeziora.

- Tutaj w Tajlandii uprawiają dobry ryż - stwierdził porucznik Katsumata. - Smaczniejszy niż nasz. Ziemia jest żyzna, urodzajna, wydaje obfite plony. W Japonii musimy ryć w kamieniu, aby natrafić na glebę, a potem uprawiać ją i nawozić, aby cokolwiek wyrosło. Nasze pólka są małe, porządne, symetryczne i...

- Rolnicy na całym świecie są tacy sami - rzekł Pritchard. - Wiodą ciężkie życie i odznaczają się prostotą. Ledwo wiejski chłopak przeniesie się do miasta, dopuszcza się grzechu zazdrości i chłonie wpływy zewnętrzne. Zazwyczaj złe.

- Ten samochód zbudowano na lepsze drogi - mruknął Jimmy.

- Wiedział pan, że system klasowy zrodził się na wsi? - zapytał Pritchard.

- Wieś jest dla ptaków - odparł Jimmy.

- System klasowy stanowi przekleństwo Anglii, Japonii i świata. Dopóki masy nie zdobędą wykształcenia, demokracja nie ma szans. Usiłowaliśmy to zmienić, lecz ulegliśmy przewadze.

- To znaczy, że pan zrezygnował? - chciał wiedzieć Katsumata.

- Teraz będę się starał lepiej zaspokajać potrzeby mojej żony i córki. Po wojnie świat musi się stać lepszy, ponieważ ją przegra, a przegrani bardziej się starają.

Wszędzie dokoła wieś żyła w pokoju ze swą roślinnością. Sielankowe sceny zachwycały obu oficerów przyglądających się im z tylnego siedzenia. Czołgi i armaty kazały im zapomnieć o polach i drzewach, o wieśniaczkach z uśmiechem składających nad rzekami kwiaty u stóp posągów Buddy.

- Ja jeszcze nie widziałem wojny - odezwał się porucznik Katsumata.

- A ja tak. Niszczy, pali i kruszy ziemię, aby ludzie cierpieli głód. W czasie wojny usychają drzewa owocowe, łąki jałowięją. Martwe konie i spalone samochody leżą tam, gdzie kiedyś stare drzewa dawały cień i oczyszczały powietrze. Odpadki bitewne zanieczyszczają studnie i rzeki, a zwierzęta domowe giną od szrapneli. To wstrętne, poruczniku, i ma pan szczęście, że tego nie oglądał.

- Bzdura - wtrącił się Hedges. - Musiał widzieć zdobycie Singapuru i Malajów.

- Nie widziałem - zaprzeczył Katsumata. - Do Singapuru przybyłem dopiero w przeddzień spotkania z wami.

- I pewnie żył pan na Księżycu, zanim wsadzili pana na statek płynący do Singapuru. Przypuszczam, że pan nie

widział, co pańskie waleczne armie zrobiły w Chinach, na Filipinach i w Indonezji.

- Przypuszcza pan słusznie, panie poruczniku. Nie oddałem ani jednego strzału.

*

Do przyjazdu na granicę - mówił pan Sakamoto - nie działo się wiele. Tam połączyli się z pozostałymi żołnierzami i Birmańczykami i ulokowano ich w pustym domu nieobecnego japońskiego biznesmena. Zwrócono im mundury brytyjskie, a zabrano niemieckie. Zjedli owoce, ryby przyprawione curry i zimny ryż. Dowiedzieli się, że granicę birmańską przekroczą bardzo wczesnym rankiem, przed wschodem słońca.

Spokojne miasteczko, bez latarni ulicznych i autobusów, miało tylko jeden czy dwa samochody. Powietrze było tu czyste i chłodne. W domu, urządzonym po japońsku, porucznik Katsumata pokazał cudzoziemcom, jak rozłożyć na noc *futon* na *tatami*. Miał nadzieję, że nie będzie musiał zabijać ich teraz, gdy ich zaczął rozumieć. Wszyscy wcześniej udali się na spoczynek. Derek Pritchard stał przy oknie i wzdychał zachwycony.

- Spójrz na różowe niebo nad tymi fiołkoworóżowymi górami, Jimmy.

- Pieprzę góry. Jestem głodny.

- Zaczekaj. Wkrótce pokażą się gwiazdy. Przyprószą ciemniejący firmament złotymi punkcikami. Tak wyglądało niebo w Hiszpanii pewnej nocy w trzydziestym siódmym roku, kiedy się ożeniłem.

Nie zauważyli, że Katsumata wszedł i usłyszał słowa Pritcharda.

- Ja poznałem moją żonę w mniej romantycznych okolicznościach. Dorastaliśmy razem i nie czekały nas żadne niespodzianki. Liczyłem, że wyemigruję do Brazylii i tam rozpocznę z nią nowe życie. Wyzwolę się z więzów tradycji,

krępujących mnie od urodzenia. Czy człowiek jest bogaty, czy biedny, w Japonii idzie śladem rodziny. Bogaty czy biedny, ma ręce związane, bo o jego życiu i pozycji decyduje urodzenie.

- To ten przeklęty system klasowy - rzekł Pritchard - choć stary potwór ucieka, kurczowo trzyma się życia w nowym świecie. Może trwać, bo jest bogaty, doświadczony i nie chce umierać.

- Nasze struktury społeczne są chyba bardzo podobne mimo odległości - zauważył Katsumata.

- System feudalny panuje tu nadal, ale po tej wojnie ludzie, którzy krwią zapłacą za swój kraj, będą się domagać udziału w jego losie.

- Mam nadzieję - rzekł Katsumata. Wychodząc ukłonił się od drzwi.

- Idealistyczne brednie - stwierdził Hedges.

25.

- Zbudzili nas o skandalicznej porze, o trzeciej nad ranem - opowiedział Jimmy Hedges Trudi. - Nie dostaliśmy nic do jedzenia i picia, a te dranie oczekiwały, że będziemy iść ciemnymi ulicami tego pieprzonego miasta o pustych żołądkach. Byliśmy jeńcami i sądziliśmy, że przeżywamy ostatnie upokarzające godziny, prowadzeni przez garstkę okrutnych Japońców. Mieli nas wymienić na jakiegoś ważniaka przetrzymywanego, gdzieś w górach. Według mnie porucznik Katsumata nie znał miejsca jego pobytu.

201

Te tajlandzkie miasteczka graniczne nie mają przedmieść. Tam, gdzie kończą się ulice, zaczyna się dżungla. Mimo chłodu pocilem się jak świnia. Ilekroć próbowałem otworzyć usta, popychał mnie któryś z tych żołnierzyków. Derek Pritchard odstawiał bohatera. Nie narzekał i szedł zaraz za Katsumatą, niczym uczeń za nauczycielem. Jak na człowieka, który nigdy nie uprawiał sportów, miał kondycję byka. Stał po kamieniach, brodził w wilgotnej wysokiej trawie, przelazł przez zwalone drzewa i kłujące zarośla. Ja wciąż myślałem o węzach, tygrysach i innych niebezpieczeństwach, Derek natomiast kroczył za swoim ukochanym Katsumatą, jakby odbywali popołudniowy spacer gdzieś w parku. Musiałem podziwiać jego wytrzymałość. Postój zrobiliśmy dopiero po bitych czterech godzinach.

- Dobry Boże - wykrzyknęła znudzona Trudi. - To musiało być dla ciebie okropne.

- W tamtych czasach nie byłem taką ruiną człowieka jak dzisiaj, ale mężczyzną dobrze umięśnionym, nawet po trzech miesiącach niewoli. Mogłem każdemu we wszystkim dorównać. Derek, tego samego co ja wzrostu, zmęczony, kruchy, trzymał się siłą woli. Miał w tyłku rakietę.

Zatrzymaliśmy się na polance, na szczycie wzgórza, w połowie drogi pod górę. Pod nami w porannym słońcu ukazało się kilka chat w dolinie - niedaleko, w odległości najwyżej mili. Była godzina siódma, odczuwaliśmy wyczerpanie, ale Derek stał i podziwiał widok. Mówił o odcieniach zieleni, wonnym powietrzu i podobieństwie unoszącej się mgły do tej, którą widzieli na scenie londyńskiego teatru, kiedy w rocznicę ślubu wybrali się z żoną na balet. Z czego się śmiejesz, Trudi?

- Angielskie słowo „mgła” to po niemiecku „gówno”.

Roześmiał się.

- Święta prawda. Poranne gówno nad górami. Gówno, kwiaty i palmy królewskie. Po wschodzie słońca zrobiło się upalnie i byłem zgrzany. Gówno, to fakt.

Dwaj Birmańczycy kulili się na uboczu. Do tej pory Japończycy nie byli dla nich zbyt przyjemni, teraz jednak częstowali ich papierosami. Chyba dlatego, że znaleźliśmy się w ich kraju. Nie wiem, jak ci niemłodzi ludzie radzili sobie na szlaku. Wyglądali na cywilów, jakichś urzędników państwowych. Tak czy owak, porucznik Katsumata rozmawiał z sierżantem i wskazywał na chaty. Ich mieszkańcy - bardzo rozsądnie - jeszcze spali. Pritchard gadał jak turysta. „Żałuję, że nie mam aparatu fotograficznego” - powiedział. Gówno, to prawda. Pragnąłem, aby się przestał zachwycać okolicą i tak przyjaźnie odnosić do porucznika.

Katsumata wysłał sierżanta do jednej z chat. Ten wziął ze sobą żołnierza, który szedł z nastawionym bagnetem, podczas gdy my czekaliśmy na miejscu. Sierżant dotarł do pierwszej chaty i zastukał do drzwi pistoletem. Żołnierz zatrzymał się w bezpiecznej odległości. Sierżant zastukał kilkakrotnie, nim drzwi się otwały i stanęła w nich drobna postać kobieca. Nie słyszeliśmy rozmowy. Katsumata powiedział Dereko-wi, że jego ludzie poszli kupić jedzenie, a do miejsca, gdzie partyzanci przetrzymują ważniaka, jest już niedaleko. Derek mi to powtórzył. Czy nie uważam, że te chatki są urocze? Nie, nie uważam. Zastanawiał się, z czego ci ludzie żyją. Nigdzie nie było pól. Może uprawiają herbatę lub tytoń. „Czemu nie zapytasz swego przyjaciela Katsumaty?” - odparłem, a że brakowało mu poczucia humoru, tak właśnie zrobił.

Katsumata nie wiedział. Czekaliśmy na powrót sierżanta, niespiesznie rozmawiającego z kobietą, która nie ruszała się od drzwi ani nie zapraszała go do środka.

Dopiero po dobrej półgodzinie zniknęła we wnętrzu chaty. Sierżant i żołnierz przykucnęli tam, gdzie stali. Nie rozumiałem, dlaczego Katsumata stara się być taki grzeczny. Ja bym po prostu rozkazał moim żołnierzom wejść i wziąć to, co się tam znajduje. Zdaniem Dereka Japończycy usiłowali wywrzeć wrażenie dobrotliwych na Birmańczykach, zwłaszcza tych, którzy szli z nami. *A poza tym - powiedział Derek - Katsumata nie jest taki. To nie złodziej. Tylko skurwysyn morderca* - odparłem.

Kobieta wróciła z trzema dużymi paczkami w rękę i Japończycy poderwali się na równe nogi, aby je odebrać. Żołnierz spojrział w górę, na nas, i zasygnalizował coś trzykrotnym uniesieniem karabinu w powietrze. Katsumata wstał, mówiąc „*Vamaños*, a nawet ja wiedziałem, że po hiszpańsku oznacza to „chodźmy”. Wszyscy ruszyliśmy na dół, Birmańczycy, żołnierz, Derek za Katsumata. Birmańczycy szli szybciej, więc nas dogonili.

„Spójrz na ich twarze - powiedział Derek - są tacy szczęśliwi. Widać, że czują własną ziemię po stopami. Żywię nadzieję, że jakoś im się ułoży. Potrafisz sobie wyobrazić, Jimmy - ciągnął - co byśmy czuli, gdyby te chatki w dole były portem w Dover?” Odrzekłem, że nie wierzę w cuda, kiedy Japończyk może mnie dźgnąć w zadek bagnetem. Derek życzył szczęścia Birmańczykom, ale mu nie podziękowali.

Dolina okazała się znacznie mniejsza, niż sądziłem. Pięć czy sześć dróg gruntowych przebiegało jej środkiem, każda w innym kierunku. W sumie stało tam z dziesięć drewnianych budynków krytych kokosowymi liśćmi. Coś w rodzaju błotnistej kałuży pośrodku doliny zalatywało gnojem, co wskazywało, że zwierzęta piły z niej wodę. Niektóre chaty, większe od pozostałych, wyglądały na miniaturowe magazyny. Tu i

ówdzie widniały ślady ognisk. Stosy porąbanego drewna przy każdym wypalonym w trawie placku nasuwały mi myśl, że miejsce to może służyć za rodzaj stacji sygnalizacyjnej.

Przed chatą oczekiwaliśmy nas prawdziwy posiłek. Sierżant rzeczywiście zapłacił kobiecie birmańskimi banknotami, które miał w skórzanym plecaku. Był ryż gotowany na parze, kurczęta z curry, jarzyny, owoce i gotowane kraby na zimno. I zimny napój podobny do piwa, mnie, spragnionemu, smakujący - och! - jak Moët i Chandon. Katsumata z Derekiem przechadzali się dokoła niczym gęsi, podczas gdy inni pałaszowali. Nie przypuszczam, abyśmy dużo Derekowi zostawili. Porucznikowi Katsumacie podkomendni odłożyli najlepsze kaski, a on zaproponował, że podzieli się z Derekiem, który przyjął poczęstunek. Też bym to zrobił. Dla drania zostawili wybrane kawałki. Ci japońscy oficerowie mieli królewskie życie. Siedzieli sobie, Katsumata z szablą sterczącą z przodu jak kutas. Katsumata, duży jak na Japońca, z ogromną księżycową twarzą i krótkimi włosami, wcale się nie pocił. Zjadł i pociągnął parę łyków piwa z własnego kubka, jak na oficera przystało. Derek nie jadł dużo, dziobał tylko i skubał, co zresztą robił zawsze. Nie wiem, jak to potrafił. Zachowaniem przypominał rozpaskudzone dziecko, no, ale gdybyś spróbowała przysmaków jego żony, na pewno byś zrozumiała. Pyszności. Chodzę czasami do niej na niedzielny lunch. Wiesz, to Hiszpanka. Przywiózł ją sobie z wojny domowej.

Tam więc spędziliśmy resztę dnia. Robiło się bardzo gorąco, upał był jakiś suchy, klarowny. Różni ludzie wciąż pojawiali się w dolinie, jedni konno, inni pieszo, na ogół obładowani paczkami owiniętymi jutą. Wszyscy znikali w chacie

kobiety na pewien czas, po czym ruszali w dalszą drogę. Zdaniem Dereka, siedzieliśmy w miejscu dostaw towarów. Dolinę zamieszkiwali przemytnicy rubinów, papierosów, alkoholu i marihuany. Może nawet opium. Wioska okazała się miejscem ich spotkań. Zatrzymywali się tu idąc do Birmy, Tajlandii i innych krajów i w drodze powrotnej. Czasami tu doręczali towar, kiedy indziej szli dalej, zawsze jednak płacono w wiosce. Powiedział o tym Derekowi porucznik Katsumata, niesłychanie ubawiony. *Nieraz - twierdził - bywa tu więcej pieniędzy niż w Banku Tokijskim.*

Czekaliśmy na przybycie jakiegoś birmańskiego dżentelmena. Kogoś w rodzaju króla przemytników, z kim mieliśmy ubić interes. Dwaj Birmańczycy dość się interesowali tym, co się dzieje. Chyba lepiej mogli się połapać dzięki znajomości języka. Zdaniem Dereka można tam było poznać cenę złota, kawy i Bóg wie czego jeszcze, ci ludzie zaś wiedzieli o wojnie więcej niż jej uczestnicy.

„To dziwna wojna - zauważył Derek. - Jesteśmy z dala od pocisków i zapachu trupów, a jednak to wojna i bierzemy w niej udział. W Hiszpanii wojna była blisko. Przynosiła natychmiastowe i od razu widoczne rezultaty. Ginąłeś ty albo wróg, a ten, kto przeżył, w danym dniu zwyciężał. Dowódcy przebywali z nami i wyznają ze wstydem, że naprawdę nienawidziło się nieprzyjaciela”.

Nie rozumiałem, o czym mówi ani po co to robi, lecz Katsumata chłonał każde jego słowo jak nektar. Derek powiedział mi później, że dobrze wychowany, łagodny Katsumata nie był stworzony na żołnierza. Cóż, potem okazał się bynajmniej nie mięczakiem.

Na razie siedzieliśmy w samym środku tego przemytniczego ula. Wszędzie dokoła targowano się o ceny i towary, a z upływem dnia dwaj Birmańczycy coraz bardziej się odprężali.

Jeden z nich podszedł do nas. Mówił po angielsku nie gorzej ode mnie. Był w Oxfordzie, studiował prawo w Caius College. W połowie lat trzydziestych został nawet w Zjednoczonym Królestwie adwokatem, zanim wrócił do Rangun, gdzie podjął pracę w jakiejś eleganckiej angielskiej firmie prawniczej. Miał smykałkę do interesów i w roku 1938 założył własną firmę. Doradzał birmańskim biznesmenom, w co inwestować, za co dostawał prowizję. Okazał się prawdziwym oportunistą i do wybuchu wojny zdołał zgromadzić okrągłą sumkę. Równocześnie zajął się polityką. Nie można było zrobić w Rangunie nic złego z oksfordzkim wykształceniem, zwłaszcza jeśli się chciało wyrzucić Brytyjczyków z własnego kraju.

Przypuszczalnie mały drań pozwalał sobie na takie gadanie, bo byliśmy w Birmie i w rękach Japończyków. Cóż za bezczelność! Przyjeżdża do Anglii, dostaje dyplom z gratulacjami, po czym wraca z angielskim akcentem, aby zbić majątek, a nam dać kopniaka. Łatwo wyczuwało się jego wściekłą anty-brytyjskość. Nie cierpiał naszej odwagi. „Podziwiam pańską szczerą - powiedział mu Derek. - Każdy pragnie wyzwolenia swego kraju. To my, Anglicy, nauczyliśmy pana o wolności. Czytał pan pewnie Johna Stuarta Milla? Zna pan naszą historię. Żadna dyktatura nie utrzyma się w Wielkiej Brytanii. Dobrze nauczył się pan lekcji”.

Birmańczyk słuchał ze spuszczonego wzrokiem. Chciał odpowiedzieć, lecz Derek w jednym z tych swoich kaznodziejskich nastrojów przez dłuższą chwilę nie dopuszczał go do głosu. „Choć mogę się z panem zgadzać - ciągnął - do ostatniej kropli krwi będę bronił pańskiego prawa do tego, aby się mylić. O to nam, Anglikom, chodzi albo chodzić powinno. Oczywiście zdobędzie pan swoją niepodległość,

ukończenie szkoły nie uprawnia jednak do kopania nauczyciela, prawda?”

Derek potrafił być dość gwałtowny, kiedy go poniosło. Kilka razy przedtem widziałem jego wybuchy, ale prędko się męczył i po tym ostatnim potoku słów z uśmiechem zapytał Birmańczyka, jak się dostał do Singapuru.

Okazało się, że nasz sprytny birmański prawnik nie za mądrze dobierał sobie klientów i przyjaciół. Odgrywał ważną rolę w tajnym antykolonialnym ruchu w Rangunie. Jeden z jego klientów, wzbogacony przedsiębiorca budowlany, nie palił się do zmiany istniejącego w Birnie stanu rzeczy. Wolał stabilność, jaką zapewniała krajowi obecność Brytyjczyków. Jak na człowieka, który nigdy nie wyjeżdżał z Birmy, był zagorzałym zwolennikiem Korony brytyjskiej. Ten potentat budowlany odznaczał się sprytem. I ledwie Japończycy pojawili się w Birnie, wydał naszego prawnika jako brytyjskiego szpiega, czego miało dowodzić jego zdobyte w Anglii wykształcenie i angielska klientela. Na domiar złego prawnik miał żonę Angielkę, która w czasie inwazji japońskiej przebywała w Londynie. Korespondencja z nią i inne czynniki przechyliły szalę. Aresztowano go jako szpiega i przesłano do Singapuru.

Birmański prawnik nazwał to prawdziwą komedią omyłek. Oto on, wielki nacjonalista i rzeczywisty zwolennik japońskiego planu dla tych obszarów, dzieli celę z oficerami brytyjskich sił zbrojnych. Kilkakrotnie o mało go nie rozstrzelano, aż wreszcie wstawił się za nim ktoś w Rangunie. Japończykom powiedziano, że wcale nie jest brytyjskim szpiegiem. W istocie miał odegrać wybitną rolę w niepodległej Birnie, jaką zamierzano stworzyć po klęsce Brytyjczyków.

Ranguńscy koledzy chcieli, aby wrócił i pomógł zorganizować projapońską administrację lokalną. W ten sposób uniknął egzekucji i został wysłany z naszą misją. Jest ważną figurą i jeśli poszukiwanego przez Katsumatę człowieka trzymają w niewoli Birmańczycy, na pewno ich wymienią.

„W nowej Birmie - powiedział - będzie ministrem. Wykształcony, oddany sprawie, może nawet objąć urząd premiera. Japończycy słusznie głoszą - twierdził - że Anglicy, Holendrzy i Francuzi nie mają na Wschodzie żadnego interesu. Azja dla Azjatów.” Dodał wprawdzie, że zarówno Derek, jak i ja jesteśmy sympatyczni, ale niepotrzebnie staramy się wyzwolić jego kraj z rąk Japończyków. Wszystkich nas wyrzucą po wojnie z niepodległej Birmy. Powinniśmy zamiast tego skoncentrować się na obronie naszej zimnej wysepki przed Niemcami.

Przypuszczalnie usiłował wywrzeć na Katsumacie wrażenie tymi projapońskimi bzdurami, ten jednak połowy nie rozumiał. I nie słuchał zbyt uważnie, bo przysypiał. Zdaniem Dereka wypił trochę za dużo miejscowego piwa, a nie przywykł do alkoholu. Sierżant wraz z żołnierzami dla ochrony przed słońcem zbudował namiocik nad górną połową jego ciała.

„Na jakiej podstawie pan sądzi - spytałem Birmańczyka - że pańscy rodacy są przygotowani do życia w niepodległym kraju?”

„Nic pan nie wie - odparł. - Jesteśmy starym, dumnym narodem, który był niepodległy, zanim wy nauczyliście się czytać lub pisać. Wykorzystam to, czego się od was nauczyłem, bo wy nas wykorzystywaliście. Przywłaszczaliście sobie nasze bogactwa”.

„Uważa pan, że Japończycy będą inni?” - zapytałem, na co odparł, że są inni.

„Zdziwiłby się pan - powiedział - gdyby pan usłyszał, ilu Birmańczyków godzi się z tym, co usiłuje robić Japonia”.

„Za to - odrzekłem - brytyjscy żołnierze umierają w tych dżunglach”.

Birmańczyk nie pofatygował się odpowiedzieć. Wstał i podszedł do kręgu birmańskich przemytników siedzących o kilka jardów dalej. Porucznik Katsumata się obudził i po swojemu uśmiechnął się do Dereka.

„Niech pan trochę odpocznie - poradził. - Przemytnik, na którego czekamy, przybędzie niebawem, a wtedy ruszymy. Droga nie jest daleka, lecz nie będzie łatwa. Możemy się nawet znaleźć pod ostrzałem”.

Jeszcze raz się uśmiechnął, ziewnął i znów zapadł w sen, jakbyśmy wszyscy byli gdzieś na plaży.

Trudi wpatrywała się w Jimmy'ego oczami czujnymi i roziskrzonymi. Dzieliła łożę z prawdziwym żołnierzem.

- Zrób mi mocnego drinka. I sobie także. A potem możesz mnie masować, dopóki nie zasnę. Uważaj. O tej porze wszystko może się zdarzyć.

Trudi uśmiechnęła się pod nosem. Tak, jest szorstki, grubiański, czasem nieprzyjemny, ale taki ma sposób bycia. Każdy mężczyzna to właściwie dziecko. Wszystko może się zdarzyć.

26.

- Najbardziej uderzającą cechą twojego ojca, Yoshiro, była odwaga - powiedział Taisho. - Nie mówię o odwadze fizycznej. Żaden oficer armii cesarskiej nie był tchórzem. Nie, mam

210

na myśli odwagę cywilną. Gotowość przyznania się przede mną do niekonwencjonalnych poglądów w czasie, gdy mogło oznaczać egzekucję. Decydowałem o jego życiu, a mimo to wypowiedział się w sposób budzący mą zazdrość.

Był pełen kontrastów. Usiłowałem zrozumieć go wtedy, tak jak robię to teraz. Nie lubił wojska, tego jestem pewny, a jednak nigdy nie próbował wykręcić się od zadania. Duży, silny, mógł zostać wzięty za cudzoziemca, gdyby ktoś patrzył na niego z tyłu, lecz głos miał cichy, a jako oficer odznaczał się sprawiedliwością i bezstronnością. W czasie trwania misji zabił, będąc pacyfistą. W momencie kapitulacji mógł się trzymać na uboczu, tak jak to robili inni, aby po wojnie zacząć z Amerykanami bez obciążeń. Tamci udawali przeciwników reżimu, ale nie twój ojciec. Choć nigdy nie zaakceptował tak zwanej Nowej Japonii z końca lat trzydziestych, nigdy też nie próbował zdezerterować.

Twój ojciec, jego *gaijin* i cała reszta czekali w górach na przybycie ważnego birmańskiego przemytnika. W zamian za swobodę ruchów przemytnik dostarczał naszemu wywiadowi istotnych informacji. Był jednym z najlepszych współpracowników kapitana Kato. Mógł zdobyć każdą potrzebną nam rzecz. Zapasowe części do pojazdów, amunicję różnego kalibru i szkocką whisky. I wiedział, gdzie przetrzymują starszego oficera. Kapitan Kato nie umiał sobie bez niego poradzić i dlatego pozwalaliśmy mu na przemytnictwo. Nic mu nie płaciliśmy. Nie należał do zwolenników ani do przeciwników naszej ideologii. Przydawał się, bo nigdy nie nawalił z dostawą. Miał spotkać się z ludźmi pod dowództwem twojego ojca w tamtej wiosce i zaprowadzić ich do miejsca, gdzie przebywał oficer.

*

Birmański przemytnik zjawił się wreszcie o czwartej po południu. Dwaj Anglicy spali na słońcu, a Birmańczycy po zażyciu sporej dawki alkoholu nie mogli się ruszać. Przemyt-
nik zauważył stan grupy i zaproponował wyruszenie o półno-
cy. Wędrówka potrwa najwyżej cztery, pięć godzin, więc na
miejsce dotrą jeszcze po ciemku. Partyzanci są czujni i będą
strzelać do wszystkiego, co się rusza, a obecność wśród nich
angielskiego żołnierza mogłaby utrudnić negocjacje.

Porucznik Katsumata wystarał się o pustą chatę dla swo-
ich ludzi, żeby mieli gdzie spędzić resztę czasu, po czym on i
birmański przemytnik, skuleni nad butelką whisky, pograży-
li się w rozmowie. Przemyt-
nik znał angielski i Keichi popro-
sił, aby mówił wolno, bo chciał rozumieć każde słowo. Był
ciekaw, kogo spotka i jacy są ci ludzie.

„Sprawy należy jak najszybciej wyjaśnić” - rzekł. Prze-
mytnik się roześmiał.

„W moich interesach trzeba improwizować”.

„Podobno dobrze się panu wiedzie. Pańskie towary na
czas docierają do miejsca przeznaczenia i otrzymuje pan
zapłatę. To zależy wyłącznie od właściwego planowania, do-
boru ludzi i dyscypliny. Zupełnie jak w wojsku”.

„Racja - przyznał przemytnik. - Nie zatrudniam mnóstwa
osób. Ważne sprawy załatwiam sam. Kropelkę tego”.

„Nie mogę pić dużo mocnych trunków. Obaj możemy się
zalać jutro o tej porze, po zakończeniu misji”.

„Pan jest szefem. Dla mnie whisky to lekarstwo. W tej
chwili dokuczają mi bóle pleców. Nic nie uśmierza go tak jak
whisky. W moim zawodzie rzadko chodzi się do lekarza”.

„Mamy ze sobą lekarza. Lekarza angielskiego. Chce pan, żeby pana obejrzał?”

„Nie, dziękuję. Każe mi tylko na miesiąc położyć się do łóżka, a to niemożliwe. Chodzę w tych stronach od dwudziestu lat, czasem z ciężkimi ładunkami na grzbiecie. Plecy mszczą się za wszystko, co przeze mnie wycierpiały”.

Whisky rozwiązała mu język. Powiedział, że urodził się w wiosce pod Rangunem i rozpoczął życie jako pasterz. W wieku lat szesnastu uciekł z domu i zaciągnął się do armii brytyjskiej, gdzie przez dwadzieścia lat służył jako tropiciel. Dzięki temu tak dobrze poznał kraj i nauczył się po angielsku. Za odprawę kupił parę skrzynek whisky i papierosy, które sprzedał za granicą, w Syjamie, sam po trochu przenosząc towar.

Z biegiem lat pojął, że przemytnictwo weszło mu w nałóg. Żył w oczekiwaniu napięcia i podniecenia, i nie potrafił z tym skończyć. Miał duży dom czynszowy w Rangunie, hodowlę drobiu w rodzinnej wiosce, olbrzymi zapas towarów, złotych funtów szterlingów i gotówki, więc nie musiał już pracować. Próbował przestać, robił wycieczki do Hongkongu i Jokohamy, zatrzymywał się w hotelach, lecz górskie ścieżki wkrótce wzywały go do powrotu. W świecie zewnętrznym wszystko dało się przewidzieć. Jadło się obiad, kelner musiał przyjść po pieniądze. W jego świecie panowało napięcie. Czy towary nadejdą? Czy policjant popatrzy w drugą stronę?

„Mam do czynienia z ludzką zachłannością i słabością. Te artykuły przybierają różne kształty i rozmiary, zawsze jednak są dostępne. Każdy człowiek ma swoją cenę, a jeśli nie można go kupić, można złamać. Poza tym jest moda. Rzeczy sezonowe. Korzystne, choć ryzykowne. Whisky i papierosy idą

zawsze. Parę lat temu nagle wzrósł popyt na skóry krokodylowe. Dostarczano je z Syjamu. Całe bele krokodylowych skór. Tu na miejscu selekcji dokonywał włoski ekspert. Przez Indie i Kanał Sueski skóry docierały do Europy, a opłaty celne nie wynosiły ani centa. Włoski ekspert przyjeżdżał tu co parę miesięcy, punktualnie jak w zegarku. To były pięknie, bezpiecznie i łatwo zarobione pieniądze, lecz moda zmieniła się z dnia na dzień i skończył się interes z krokodylowymi skórami. Czasem sprzedaje się ludzi, czasem złoto czy informacje, ale przede wszystkim człowiek sprzedaje samego siebie”.

„Fascynujące” - powiedział Katsumata.

„Przemytem zajmuje się mnóstwo ludzi różnych narodowości. Powstaje pytanie, za co biorą pensje wszyscy ci policjanci. Zaledwie dwa miesiące temu mieliśmy tu Rosjanina. Proszę nie pytać, jak dotarł w tak dalekie strony, skoro toczy się straszna wojna, ani skąd wiedział, gdzie mnie znaleźć. Sprzedawał rosyjskie szmaragdy, brylanty i bursztyn, a przyjechał kupić suwereny. Zdawałoby się, że tego powinien szukać w Anglii. Był zabawny i wszyscy żegnaliśmy go z żalem. Wiedział, że mam kupę suwerenów w Indiach, i czekając na nie wypiliśmy we dwóch całą skrzynkę szkockiej whisky. Zaprosił mnie do siebie. Ale wyjeżdżał całkiem trzeźwy, bystry i rzeczowy ze wszystkim, po co przybył. Tylko jego tamtejszy Budda wie, na co potrzebował suwerenów. Czy mogę się wycofać i na jakimś tarasie czy w kawiarni słuchać głośnego staruszków o ich dolegliwościach, dzieciach i pogodzie zamiast dzisiaj być tutaj z panem? My tylko zabieramy rządowi trochę pieniędzy. Nadal wystarcza im na wspaniałe pałace i wojny. Nie jesteśmy złodziejami ani przestępcami. Jeśli umrę i nie zapłacę rachunku albo nie dostarczę towaru, zrobi to za mnie mój syn. Czy to samo można powiedzieć o

rządach? Ledwie się zmieniają, nowy człowiek w pałacu oznajmia, że niczego nie obiecywał. My świadczymy usługi. Nikomu nie wyrządzamy krzywdy. Jedyne rządowi, co wcale mi nie przeszkadza. Ja ich nienawidzę”.

„Ale teraz współpracuje pan z rządem. Rządem japońskim, prawda?”

„Nie, młody człowieku. Współpracuję z kapitanem Kato, człowiekiem słownym. Po drugie, to rząd kapitana Kato pracuje dla mnie. Oszczędza mi gotówki, której bym potrzebował na przekupywanie straży granicznej. Z poparciem waszego rządu mogę robić różne rzeczy, ale to nie będzie trwać wiecznie. Pewnego dnia kapitan Kato odejdzie ze swoim wojskiem i będę musiał znaleźć kogoś innego. Przedtem jednak dotrzymam umowy”.

„A co z człowiekiem, po którego idziemy? Widział go pan na własne oczy?”

„Wy, japońscy oficerowie, wszyscy jesteście tacy sami. Nic tylko praca. Żadnej rozrywki. Doprawdy powinniście czasem się napić. Szkoda, że pan nie widział oficerów brytyjskich wieczorem w ich kasynie. Do dziesiątej byli już zalani. Polegali na tych, co pełnili służbę i nie pili, a zachowywali się przyjaźnie, zapewniam”.

„Może zanadto się odprężali. Przegrywają wojnę”.

„Jeszcze jej nie przegrali. Jak sami mówią, doznali pewnych niepowodzeń. Myślę o innych czasach. Kiedy służyłem w armii brytyjskiej, nie było wojny”.

„Myśli pan, że oni wygrają tę wojnę?”

„Nie jestem wróżbitą”.

„Proszę nie wymigiwać się od odpowiedzi. Nie doniosę na pana. To rozmowa prywatna”.

„Nie jestem politykiem, młody człowieku, ale nie trzeba geniusza, aby odgadnąć, że nie możecie sami walczyć z Brytyjczykami i wszystkimi innymi”.

„Niech pan jednak spojrzysz, gdzie jesteśmy. Imperium brytyjskie prawie przestało istnieć. Flaga ze Wschodzącym Słońcem powiewa wszędzie”.

„Nie w Afryce, panie poruczniku, nie w Europie, nie w Ameryce”.

„Japonię interesuje tylko Azja”.

„Nie mam ochoty na polityczne spory. Powiedzmy po prostu, że jak dotąd spisywaliście się bardzo dobrze. Brytyjczycy i Amerykanie najpierw rozprawią się z Niemcami. Włosi wieją, a Rosjanie w końcu wypowiedzą wam wojnę. Bardzo proszę, poruczniku Katsumata, dajmy temu spokój. Wszystko może się wydarzyć. W moim kraju wielu dobrze wam życzy”.

„A pan?”

„Pytał pan o jeńca. Widziałem go przedwczoraj. Nie wiem, po co chcecie go odzyskać. To spokojny człowiek, stale zasępiony. Od wielu tygodni płacę tym, u których jest w niewoli, żeby nie brakowało mu jedzenia i żeby nie stracił sił, ale to nie bardzo podnosi go na duchu. Wciąż chce rozmawiać z brytyjskim oficerem, a oni tam mają tylko starszego sierżanta, żołnierza zawodowego od dwudziestu pięciu lat. Dobrze organizuje składy żywności i amunicji, lecz nie jest negocjatorem. Myślałem o przebraniu go za pułkownika, wasz człowiek jednak rozszyfrowałby go w dwie minuty.

Uparcie żąda widzenia z co najmniej brytyjskim pułkownikiem. Słowo daję, tyle lat służyłem w armii brytyjskiej, a pułkownika widywałem nie częściej niż raz na miesiąc. No, ale mu obiecali wkrótce znaleźć pułkownika, więc się na razie uspokoił. Zaczekajmy, aż tam dotrzedzie”.

„Myśli pan, że ci, co go tam trzymają, zgodzą się ubić interes?”

„Trudno powiedzieć”.

„Jacy to ludzie?”

„Podają się za partyzantów walczących z Japończykami, ale ich przywódca nie jest bojownikiem o wolność”.

„Co pan przez to rozumie?”

„To wstrętny typ. Przed wojną napadał na banki. Małe banki w małych miasteczkach. I tego nie umiał, dopóki nie znalazł sobie współpracowników. Dwóch kobiet, uwierzy pan? Planowały dla niego operacje od A do Z i świetnie się udawało. Obrobili kilka dużych oddziałów i zgarnęli kupę forsy. Według mnie, sypiał z nimi obiema. Tak czy owak, w tydzień po waszym wkroczeniu kobiety wpadły w zasadzkę, urządzonej przez japońskich żołnierzy, i zginęły na oczach kasjera. Kasjera też zastrzelono. Taki był koniec kariery faceta. Bardzo zdenerwowany mówił, że Anglicy go nie dopadli, bo to porządne chłopy. Japończycy okazali się zbyt poważni i sprawni w działaniu, więc przyłączył się do partyzantów. W razie zwycięstwa Brytyjczycy wybaczą mu niegdyś popełnione winy jako bojownikowi o wolność. Tak, może zdoła pan ubić z nim interes”.

Ubawiło to porucznika Katsumatę.

„Chodzi o pieniądze?”

„Oczywiście”.

„Musi być szalenie barwną postacią. Zupełnie jak pan. Proszę się nie obrazić, ale nigdy jeszcze nie spotkałem nikogo takiego jak pan”.

„Ten człowiek wcale nie jest barwny. Przebiegły, owszem. Obmierzły, owszem. Dwulicowy skurwysyn, owszem, lecz nie barwny. To przestępca. Facet nieuczciwy”.

„Przepraszam. Miałem na myśli niezwykłość was obu”.

„Cóż niezwykłego jest w bandycie, który napada na banki? Nie macie takich w Japonii?”

„Jaką transakcję można mu zaproponować?”

„Na to panu porucznikowi nie odpowiem. Mam pana jedynie dostarczyć tam bezpiecznie i dokonać prezentacji. Dopilnuję, aby w czasie pięciogodzinnego zawieszenia broni traktowano pana jak przyjaciela. Potem, jeśli nie dobiejecie targu, będzie pan musiał walczyć lub uciekać”.

Przemytnik birmański nie chciał rozmawiać. Był zmęczony. Poprosił, aby porucznik Katsumata obudził go za kwadrans dwunasta, bo chciał się przygotować do drogi. Szlak nie będzie łatwy, prowadzi wysoko w góry i nie sposób się zbliżyć do celu, gdyż zawsze ktoś zobaczy, usłyszy lub wywęszy.

Przemytnik wstał i oddalił się ciężkim krokiem.

*

- Twój ojciec dobrze się tego wieczora bawił - mówił dalej Taisho. - Nie mógł powstrzymać się od śmiechu, kiedy opowiadał o przemytniku. Kapitan Kato potwierdził, że ten człowiek był taki. Lubił go, lecz sam zginął i nie doczekał końca wojny. Mimo to poznałem dalsze losy przemytnika i nawet wspominałem o nich twojemu ojcu podczas jednego z naszych spotkań w tej kawiarni. O mało nie pękł ze śmiechu.

- Co się stało z przemytnikiem?

- Jesteś naprawdę podobny do ojca. Równie ciekawy. On miał szerszą twarz i był wyższy, ale coś po nim wzięłeś. Opisałem ci ostatnie beztróskie chwile, jakie ojciec przeżył w czasie tej misji. Wspominanie ich przynosiło mu pewną ulgę w strasznym cierpieniu spowodowanym okolicznościami śmierci porucznika Pritcharda. Niestety, ulgę niedostateczną, bo Pritchard miał go prześladować do końca życia. Sam mi to mówił. Chętnie spotkałby się z nim po wojnie, poznał jego i jego rodzinę. Ty możesz to uznać za sentymentalność. Tak jak ja. Powiedziałem mu, że armia nie jest

bankiem ani towarzystwem ubezpieczeń, gdzie się planuje spotkania i utrzymuje stosunki dla własnej przyjemności. Wojna to smutna okazja dla zwycięzonych. Twój ojciec ocalał niechętnie. Unikał śmierci zarówno w czasie misji, jak po jej zakończeniu, czułem jednak, że właściwie mu na tym nie zależało. Kwestionował dane mu przez bóstwa prawo do obserwowania, jak rośnięcie ty i jego wnuki, skoro Pritchard tego prawa nie miał. Poczował się do odpowiedzialności za śmierć Anglika, zresztą niesłusznie. Otrzymał ode mnie wyraźne rozkazy, że jeśli nie dojdzie do wymiany jeńców, mają zginąć. Twój ojciec przeżył tylko dlatego, że kapitan Kato zdołał wpłynąć na zmianę decyzji Tokio.

- Czy mój ojciec zabił porucznika Pritcharda, proszę pana?

- To się stało po misji. Po naszym spotkaniu w Bangkoku. Nie wróciliśmy razem łodzią do Singapuru, jak było zaplanowane. Wziął parę dni urlopu i pojechał do małej miejscowości Bang Saray na południowy zachód od Pattaya. Nie podlegał mi już i nie musiał się meldować. Widziałem się z nim przelotnie po jego powrocie z Bang Saray i wtedy mi powiedział, że Pritchard został zabity. Nie podał żadnych szczegółów.

Przed paru miesiącami, kiedy tu siedzieliśmy, twój ojciec poprosił mnie o przysługę. Chciał, abym jako bankier z powiązaniem i biurami na całym świecie, zdobył możliwie dużo wiadomości o rodzinie porucznika Pritcharda. Miał jego adres angielski i zamierzał napisać do wdowy. Żyją nadal obie, ona i jego córka. Lecz twój ojciec o tym nie wiedział.

- Czy mój ojciec zabił porucznika Pritcharda?

- Zabijanie w czasie wojny nie jest zbrodnią. Ostatnim razem, kiedyśmy się spotkali, prosił mnie o skontaktowanie

się z rodziną Pritcharda przez naszą filię w Londynie. Zrobiłem to teraz i mam wszystkie informacje, twemu ojcu już niepotrzebne. Nie wiem, co zamierzał. Może zadośćuczynić za to rodzinie, prosić o przebaczenie albo coś w tym rodzaju. Myślałem, że zostawię mu w świątyni kartkę z zebranymi informacjami. Nie mam ich wiele. Same fakty.

Yoshiro poczuł wiszące nad jego głową niebezpieczeństwo. Uważnie wsłuchiwał się w każde słowo. Zdania były związane, on zaś od wielu dni nie myślał z równą klarownością. Siedział i czekał, co powie stary człowiek, ale tak jakby już wiedział.

- Nie miałem okazji powiedzieć o tym twojemu ojcu - podjął pan Sakamoto. - Wyobraź sobie, że gdyby żył, mógłby się spotkać z córką porucznika Pritcharda tu na miejscu, w Tokio. Znam wszystkie szczegóły. Nie wiem, co chciał zrobić. Podejść do niej i wyznać: „To ja przed laty spowodowałem śmierć pani ojca”? Nie wierzę w wywoływanie duchów. Czy chciałby, aby go zabiła? Zwyczaj *kataki uchi* nie ma zastosowania w czasie wojny. Każdy spotkany na ulicy *gaijin* mógłby być synem kogoś, kogo zabiłem.

Tak być nie może. Nie powinno. Nie chciał słyszeć więcej. Może starzec zapomni. Zachowa nazwisko dla siebie. Yoshiro miał zamęt w głowie, gdy mówił z nadzieją:

- To historia bez zakończenia.

- Pewnie chciałbyś wiedzieć, co się stało z birmańskim przemytnikiem i jak zakończyła się misja. Niestety, to wymaga jeszcze jednego spotkania. Zmęczenie nie pozwala mi mówić dalej. Korzystam z przywileju starości. Ale opowiem ci o przemytniku. Zmarł śmiercią, jakiej każdy by sobie życzył. Zazdrosny mąż zastrzelił go w Rangunie pięć lat temu,

kiedy przemytnik liczył sobie osiemdziesiąt trzy lata. Rozumiesz, dlaczego twój ojciec tak się śmiał. Zabawne, prawda?

Yoshiro bez zastanowienia sformułował ostatnie pytanie.

- Jest pan pewien, że córka Pritcharda przebywa w Tokio?

Taisho popatrzył na niego, ziewnął, po czym się uśmiechnął.

- Jestem bankierem, panie Katsumata. My operujemy faktami.

- Mniejsza z tym. - Może lepiej nie wiedzieć.

- Poleciałem dwóm naszym londyńskim pracownikom bardzo dokładnie sprawdzić tę informację. Mieli adres i numer porządkowy porucznika Pritcharda, zatrudnili też miejscową agencję, aby potwierdziła ich odkrycia. Musisz pamiętać, że oddawałem przysługę przyjacielowi. Oczywiście jestem pewien, że przebywa w Tokio. Nosi nazwisko Bellingham po mężu, Jonathanie Bellinghamie. Na imię ma Anna, z domu Pritchard. Tam zmieniają nazwiska po ślubie, tak jak u nas.

27.

Do drzwi dotarł już prawie biegiem. Rzucił panu Sakamoto krótkie „do widzenia”, po drodze wpadł na kelnera i wytrącił mu z rąk tacę. Nie przystanął. Musiał wydostać się na świeże powietrze.

Miał się z nią spotkać tego popołudnia. Nie widzieli się cały tydzień, bo pojechała z mężem do Hongkongu. Po drugiej

stronie ulicy znajdował się bar z napojami alkoholowymi.

Trochę whisky, tylko tego potrzebuje. Potem może zadzwonić do cudzoziemki, odwołać spotkanie albo zrobić coś w tym rodzaju. Ale czy wystarczy mu sił, kiedy usłyszy jej głos?

Przystanął i popatrzył ponad jezdnią. Osiem pięter budynku Sato spoglądało na niego, każde okno marszczyło się gniewnie. Flaga firmy z dezaprobatą machała mu z dachu, gestem nakazując wrócić za biurko. Marnujesz sobie życie, mówily duże czerwone litery.

Nie potrafił myśleć. W głowie pojawiały się obrazy, znikaly i znowu wracały. Słowa. Słodko-gorzki zapach potu Anny mieszał się z dźwiękiem głosu jej ojca. Czy pana Sakamoto? Musi wypić tylko tego małego drinka. Ona czeka na niego w hotelu Książę Takanawa.

Zbiegł po schodach do baru i siadając zamówił drinka. Barman go obserwował. Elegancki młody dyrektor, zazwyczaj dumny ze swego wyglądu, był zaniedbany. Barman widywał już ludzi dotkniętych nieszczęściem, którzy niejednokrotnie pili i mówili do niego, ale ten człowiek się nie odzywał. Nieprędko się otrząśnie, bo tak zawsze bywa z milczkami.

Na jasnej, rozświetlonej Ginzie wiało chłodem. W wysokich szklanych budynkach odbijało się zachodzące słońce, niebo i samochody w dole. W witrynach wystawiono nowe towary. Czarny szereg krótko ostrzyżonych uczniów przeszedł w ślad za nauczycielem.

Yoshiro wstąpił do biura podpisać korespondencję. W męskiej toalecie zmienił koszulę, ogolił się, a w swoim pokoju pozostał na tyle długo, aby inni na pewno go widzieli. Następnie rozejrzał się dokoła i zszedł na dół, spiesząc się do kobiety.

W dzielnicy Takanawa zapadał wieczór. Była dopiero piąta, zimą jednak ściemnia się wcześniej. Ze swego okna Anna widziała zapalające się światła. Czekwała od lunchu. Resztki amerykańskiej klubowej kanapki jeszcze poniewierały się na talerzu; nadgryzione kawałki pieczeni na zimno w morzu mokrej sałaty.

Nie zabrano tacy, ponieważ na uchylonych drzwiach została wywieszka „nie przeszkadzać”. Yoshiro zjawi się lada chwila. Uprzedził przez telefon, że będzie o piątej. Nigdy się nie spóźniał.

Anna miała dla siebie całe popołudnie, czas na zastanowienie, co między nimi zaszło i co nastąpi. Im więcej rozmyślała o jego kole fortuny, tym lepiej rozumiała. Sprowadziło ją do Japonii wydarzenie sprzed z górą trzydziestu lat, którego dwaj uczestnicy już nie żyją. A jednak ich spotkanie naznaczyło jej życie. Spoczywa na niej obowiązek dokonania aktu zemsty, co dziś jest równie odległe jak przedtem.

Jonathanowi kończy się delegacja, o czym powiedział jej w Hongkongu. Niebawem wróci do Londynu, gdzie on może awansować. - Nie podoba ci się tu tak naprawdę - powtarzał często. - Musisz się nudzić.

Polowanie na Yoshiro wykorzystwała dla własnej przyjemności. To grzech. On rozwiązywał problem zrodzony z jej podniecenia. Powinien stanowić cel i w czasie każdego spotkania zamierzała go ugodzić. Ale wchodził do pokoju, stawał w kącie albo siadał daleko od niej na krześle. Najpierw utożsamiała się z nim, potem skradała się jak kot, ocierała o niego, dotykała go, a on wciąż pozostawał bierny, przyprowadzał ją o zawrót głowy, aż zapominała, po co się tu znalazł.

Na odległość mogła go nienawidzić, planować, że go zniszczy, bo na odległość nie czuła go ani nie potrzebowała. Teraz zaczynała brakować czasu, ponieważ zaś знаła jego

obyczaję i obowiązujący kodeks, wiedziała, że łatwo będzie go zwrócić przeciw samemu sobie. Nie może się ugiąć. Jest maszyną, a maszyny da się zniszczyć.

Zdradził niemal ludzkie cechy, gdy kupił słonia, lecz nawet psy kochają swoje młode.

Tak mało mówił o sobie, w przeciwieństwie do innych jej mężczyzn. Dzisiaj go zmusi do zrobienia czegoś, co ją rozgniewa; tu, na miejscu, nie na odległość.

Zastukał do drzwi i zadzwonił. Robił to zawsze, choć wiedział, że są otwarte, a ona czeka, ale taki był ich rytuał. Nigdy nie wchodził od razu. Czekał na zaproszenie.

Dziś nie wszedł po usłyszeniu jej głosu, bo dziś było inaczej. Dziś koło fortuny powiedziało mu, że Katsumatowie zaciągnęli u kobiety znajdującej się w tym pokoju dług honorowy. Dziś zmarły ojciec powiedział mu, że zabił jej ojca dawno temu, kiedy była małą dziewczynką. Choć nie użył tylu słów, nie wytłumaczył, jak i dlaczego to zrobił, przyznał się do odpowiedzialności.

- Drzwi są otwarte. Wejdz - powiedziała kobieta.

Dzisiaj mogła być miłość, której tak mu brakowało, gdyby nie ingerencja koła fortuny.

Idąc do windy Yoshiro dostrzegł w głównym holu prezesa, pana Sato, i dyrektora finansowego. Miał wrażenie, że prezesa kiedyś już tu widział, ale nie był pewny. Nie był pewny niczego.

- Co pan tu robi? - zawołał pan Sato. - Pewnie spotyka pan gości z zagranicy? To śliczne miejsce, a ogrody są urocze. Podają tu potrawy japońskie, chińskie, a francuską kuchnię mają najlepszą na świecie.

Dyrektor finansowy potakiwał służalczo.

Yoshiro udał, że słucha pana Sato, lecz nie zareagował i bez pożegnania szedł w stronę windy. Wiedział, że źle robi, ostatecznie jednak znalazł się tu na rozkaz ojca, a umarli mają pierwszeństwo.

- Panie Katsumata - zawołał prezes.

- Panie Katsumata, prezes do pana mówi - krzyknął za nim dyrektor finansowy, lecz Yoshiro nie przystanął.

- Drzwi są otwarte - powtórzyła. - Wejź. - Wszedł do środka i w milczeniu zamknął za sobą drzwi. Stał przy nich bez ruchu.

- Wejź i usiądź - powiedziała, jak tyle razy przedtem. - Czego się napijesz?

Usiadł w dużym fotelu, rozpiął marynarkę i spytał, czy może zapalić. Wydawał się bledszy niż dawniej i chudszy, a jego ruchy utraciły zwawość i sprężystość. Skórę miał jakby wyschniętą, oczy małe. Sprawiał wrażenie poszarzałego i zmęczonego. Z rękami spoczywającymi na udach osunął się w fotelu.

- Wyglądasz jak śmierć - powiedziała zapomniawszy o danej sobie obietnicy. Zamiast nienawiści ogarnęło ją współczucie. Popatrzył na nią i w jego oczach dojrzała bezmiar cierpienia. - Co się stało?

Nie mógł mówić. Cóż miałby jej powiedzieć? Oto ona próbuje go pocieszyć, a duch jego ojca wciąż nakazuje mu gładzić ją po włosach, płakać z nią razem i przyznawać się do winy.

Czy to koło przeznaczenia zmusiło syna porucznika Katsumaty i córkę porucznika Pritcharda, aby poszli ze sobą do łóżka? Aby modlili się za ojców w takim zbliżeniu, do jakiego nie może dojść między dwoma mężczyznami?

Jej współczucie przerodziło się w litość, której miejsce zajęło rozczarowanie i cień nienawiści.

- Co się, u diabła, z tobą dzieje? - krzyknęła. Jakby w ogóle nie zwracał na nią uwagi.

- Siedzę tu sama całe popołudnie i czekam. Za kogo się masz?

Nie odezwał się słowem, tylko podniósł głowę i wyjrzał przez okno.

- Ty arogancki sukinsynu - wrzasnęła, po czym spojrzała na jego twarz, zobaczyła, jaki jest udręczony, i zrobiło jej się go żal. Wstała, podeszła, wzięła go za rękę i poprowadziła do łóżka. Zgasiała lampy, zostawiła tylko włączony telewizor. Zapasy sumo.

Dwóch olbrzymów o niemowlęcych kształtach, ze skórami lśniącymi od potu, z długimi włosami upiętymi na czubkach głów w koki o oleistym połysku, przepychało się, bo każdy próbował pozostać w środku wysypanego piaskiem koła. Było to groteskowe, zabawne, lecz ich twarze wyrażały strach i nienawiść.

Odwróciła wzrok od ekranu.

Yoshiro leżał na wznak, kiedy zaczęła ściągać mu buty, spodnie, bieliznę. Dotknęła go, ale pozostał mały i zwiotczały. Znów czuła podniecenie, bo całkiem nieświadomie przez cały dzień się rozpalala. W ciągu tygodnia, który upłynął od ich ostatniego spotkania, gorąco pragnęła czerpać z jego ciała spokój. Teraz nie było w nim nic.

- Odezwij się do mnie.

Popatrzył. Twarz Anny zawisła nad nim. Kropla potu skapnęła z jej czoła na jego brodę. Anna poruszała ustami, dotykała jego ręki, lecz on nie słyszał. Powinien był uważniej słuchać Taisho, ten jednak nie miał nic do powiedzenia, bo nie wiedział, co się stało.

- Mów do mnie, ty draniu.

Prezes uzna jego zachowanie za bardzo dziwne. Stracił twarz, zignorowany przez pracownika w obecności innego dyrektora, kiedy wdał się tylko w towarzyską pogawędkę. Tak naprawdę nie interesowało go, co Yoshiro robi w hotelu.

Owszem, interesowało, a Yoshiro zachował się niegrzecznie, obraźliwie. Nie tyle on, ile jego ciało kierowane przez ducha zmarłego ojca.

- Mów do mnie - powiedziała kobieta.

Wstąpiło w nią zwierzę, rzuciła się na niego, całowała jego piersi, nogi i ręce, czepiała się go, dotykała, ale na próżno. Położyła się na nim, ocierała się o niego, mruzczała, kręciła się, wywrzaskiwała plugawe słowa.

Przygwoździła go do łóżka, sama zaś poruszała się jak wiatr. Co ona robi z jego ciałem? Manipuluje nim dla własnej przyjemności? Nie pora na to.

- Daj mi orgazm - mruzczała. - Proszę.

Yoshiro, nieobecny duchem, myślał o historii Taisho i o instrukcjach swojego ojca. Pan Sato jest w holu, co oznacza koniec kariery Yoshiro.

Może nie zdarzyło się to naprawdę. Może mu się przywidziało, bo głowę ma taką zaprzątniętą. Kobieta wbijała w niego paznokcie i ból był prawdziwy, ale może czyjś inny. Gdzieś indziej.

Będzie musiał dobrze się zastanowić i rozstrzygnąć, co jest prawdą. Ojciec kobiety nie żyje, jak mówił Taisho, z winy jego ojca. Co oznacza, że ojciec go zabił. Język japoński bywa niejasny. Słowa mają różne znaczenia. Może ojciec nie opowiadał mu o wojnie, bo nie chciał go obarczać własnym zobowiązaniem.

- Weź się w garść - powiedziała kobieta. Spieszyła się teraz, poruszała jak tłok, lecz nie znajdowała zadowolenia, jej ciało nie zaznawało spokoju.

Drań. Morderca. Na ekranie pojawiło się dwóch kolejnych zapaśników sumo i tłum ożył, kiedy jeden z nich wyleciał z ringu. Głos komentatora brzmiał jak piskliwa syrena okrętowa. Czar prysnął. Anna wstała zła. W telewizorze znaki chińskie pokryły obraz jak równo posypanym śniegiem.

Yoshiro leżał tam, gdzie go zostawiła. Niepohamowany gniew wzbudził w niej widok jego zmiętego członka, który niczym znudzony wąż pełził w czarnej trawie włosów. Yoshiro nagi, w dziurawych skarpetach, wyglądał głupio. Nie miał w sobie dumy. Był mały, bezradny i śmieszny, a mimo to niewątpliwie się z niej śmiał. Nawet jej już nie chciał.

- No - powiedziała silnym, zdecydowanym głosem. - Wstawaj i jazda stąd. Nie chcę więcej oglądać twojej bezczelnej twarzy. Wstawaj, wstawaj!

Yoshiro usłuchał. Stoczył się z łóżka, pozbierał i włożył ubranie. Musi powiedzieć jej teraz.

- Anno - zaczął.

- Nie fatyguj się. Po prostu wyjdź.

Nie wiedział, co ją rozgniewało. Musi jej powiedzieć, ale jak? Przywołała go już od drzwi. Musi powiedzieć jej teraz lub nigdy. Wyciągnęła z torebki i pokazała mu wyblakłe zdjęcie.

- Mój ojciec - powiedziała.

- Porucznik Derek Pritchard - odparł. - Wiem.

Wydało mu się, że mówi głosem swojego ojca, cichym, zrezygnowanym. Może ojciec jest z nim tutaj. Yoshiro musi powiedzieć jej teraz.

- Mój ojciec zabił twojego ojca - oświadczył.

- Moja rodzina ma wobec ciebie zobowiązanie.

Jej gniew nie znał granic. Wywoływało go wszystko i kierował się przeciw wszystkiemu. Więc Yoshiro przez cały czas wiedział, a mimo to pozwalał, aby się do niego zalecała, latała za nim, całowała go i kładła się z nim do łóżka.

- Ty gnoju - wrzasnęła, rzuciła się na niego i uderzyła go w twarz. - Ty przekłety sukinsynu! Ty draniu, morderco!

- Masz rację - rzekł ze spokojnym zdecydowaniem.

- Zabij się - rzuciła. - Zawsze byłeś do niczego. Idź, przepij się z tą swoją małą, uległą żoną, a potem się zastrzel. Teraz idź. Wynoś się. Precz z tego pokoju!

Chciał znów popatrzeć w twarz *gaijin*, lecz ona straciła opanowanie. *Może sobie zrobić krzywdę* - pomyślał wychodząc. Za plecami słyszał jej tyrady i wymysły, następnie podszła do drzwi, otworzyła je i krzyknęła coś za nim na cały korytarz. Cisnęła butami i talerzem.

Obserwowała ich niemłoda para, która czekała przy windzie. Kobieta odwróciła oczy, mężczyzna popatrzył na niego z zakłopotaniem. Będą musieli razem jechać windą, przeżywać jego wstyd i zastanawiać się, co mówiła mu cudzoziemka i dlaczego. Jazda w dół trwała wieki, a gdy się skończyła, Yoshiro pozostał w kabinie. Mężczyzna trącił go łokciem na znak, że są na parterze. Yoshiro wysiadł z butami w rękę i z wdzięcznością uklonił się starszemu panu.

Przeszedł przez hol nie widząc, że stoi tam pan Sato. Miął go i znalazł się na ulicy. Może w nocy powłóczyć się po mieście, a potem o świcie pójść do świątyni i pożegnać ojca.

Teraz on przejął dług. O to tylko chodziło Taisho. Miał się spotkać z córką porucznika Pritcharda, przyznać do winy i uzyskać przebaczenie, a ponieważ mu nie przebaczyła, umrzeć.

Jeszcze raz przeżyje spędzone z nią chwile. Godziny. Dni. Rzeczy, które z nim robiła i które mówiła. Wstyd. Poczucie wstyd, pozwoli, aby zawładnął jego duszą, upokarzał i bolał. Dziś w nocy pójdzie do hotelu Dai Ichi albo na Ginzę.

Może powinien wrócić do domu? Jest jeszcze wcześniej, lecz mężczyzna okryty hańbą nie ma domu. Tak jak przedtem jego ojciec. Nigdy już nie pójdzie do biura i nie wprawi

prezesa w zakłopotanie widokiem swej twarzy. Pomyśli o tym wszystkim później, sam w łóżku hotelowym, po wypiciu paru drinków dla rozjaśnienia umysłu. Nie teraz.

Teraz nie pomoże mu nawet Taisho. To sprawa rodzinna. Kwestia honoru. Nie może - i nie powinien - nikogo tym obarczać. To dotyczy jego, jego ojca i córki porucznika Pritcharda.

Wszystko jest częścią kary, którą ponosi.

28.

Ginza nocą z niczym się nie da porównać. Płoną tam światła i przewalają się miliony ludzi, a mężczyzna może wypić i zgubić się w tysiącu miejsc.

Można siedzieć przy głośnej muzyce, pożerać przekąski i słuchać, jak ludzkie cierpienie staje się tematem plotek.

Są tam małe dziewczynki w kimonach, hostessy w niby to domach gejsz, wysokie dziewczyny w spódniczkach mini, długonogie, z oczami *gaijin*. Można mówić o swoich troskach i wierzyć, że dziewczyna słucha, podczas gdy ona pilnuje, aby szklanka klienta zawsze była pełna.

W barach Ginzy gromadzą się ludzie weseli i smutni, przybysze ze wsi i pracownicy biur. Schodzą się tam, a po drodze widzą światła tańczące na ścianach wysokich budynków.

Mogą posłuchać francuskiego kankana, rocka, włoskich *caucione*, japońskich pieśni miłosnych i muzyki popularnej albo płyt czy orkiestry, mogą wziąć mikrofon i zaśpiewać.

Yoshiro poznał Ginzę dzięki panu Akashi, który znał wszystkie bary i rodzaje trunków. Znał też wszystkie mama-sa i z niejedną się przespał w okresie przykrych awantur na najwyższym piętrze. Miał zwyczaj chodzić tam zaraz po południu, kiedy w biurze huczało jeszcze jak w ulu. Yoshiro go osłaniał, kończył za niego robotę i tłumaczył go przez telefon.

Pan Akashi dzwonił do niego z barów i mówił: „Przestań harować na pana Sato, przyjdź do mnie tutaj”. Yoshiro szedł, ponieważ Akashi zachowywał się w stosunku do niego jak ojciec i przekazywał mu całą swą wiedzę. Spotykali się na Ginzie, po czym Yoshiro taksówką odwoził do domu szefa, zbyt pijanego, aby wsiąść do pociągu. Wysłuchiwał jego pijackich utyskiwań na pana Sato i cały system. Na ósmym piętrze zawsze urzędował prezes nazwiskiem Sato. I zawsze tak będzie. To należało do zwyczaju. Pewne rzeczy są niezmiennie.

Teraz pan Akashi nie jest już kierownikiem działu. Jest nim Yoshiro Katsumata. Zdezorientowany i pokonany jak niegdyś pan Akashi. Pan Akashi został jednak pokonany przez system, inaczej niż Yoshiro Katsumata, którego pochwyliło ojcowskie koło losu, a ponieważ ojciec umarł, jemu przypadło spełnienie ojcowskiego obowiązku. Proste, jeśli ktoś naprawdę w to wierzył. On wierzył, choć nie wszystko rozumiał. Słuchał rozkazów żyjącego człowieka. Taisho swojego ojca. Dlaczego? Czy Taisho jest *kami*?

Nieważne.

Zgodził się ponieść karę za ojca. Taki jest zwyczaj. To sprawa honoru. Pewne rzeczy są niezmiennie. Przywołał taksówkę.

- *Ginza dori* - powiedział kierowcy. Pamiętał, że buty wciąż trzyma w ręce, więc je włożył i usiadł wygodnie.

Księga czwarta

Droga do Bang Saray

29.

Bangkok, grudzień 1975

Była zgrzana i lepka od potu. Przejazd z lotniska do hotelu trwał ponad dwie godziny. Szef recepcji w Siam Intercontinental tłumaczył to złym stanem ulic w Bangkoku i chaotycznym ruchem kołowym. Buduje się autostrady, które skrócą podróż, on jednak liczy, że pobyt w hotelu wynagrodzi jej niewygody.

- Wszyscy do nas wracają - oświadczył. Mamy na terenie hotelu basen kąpielowy, szesnaście akrów tropikalnego ogrodu i małe zoo. Najlepsze owoce morza w mieście podajemy właśnie tutaj, w restauracji Talley Thong, i pragniemy stworzyć gościom namiastkę domu.

Główny recepcjonista mówił z akcentem amerykańskim, głosem głębokim i uspokajającym, a jego natrętny uśmiech pasował do przewiewnego holu w kształcie pagody.

- Doktor Hedges zostawił dla pani wiadomość - powiedział. - Życzę miłego dnia.

Poleciałaby prosto do Londynu, gdyby nie Jimmy Hedges. Napisał, że niebawem wybiera się na Wschód. Chciałby się tam spotkać z nią i Jonathanem, kiedy będą wracali do kraju, spędzić z nimi parę dni w Tajlandii. Może pojechać na wybrzeże.

235

Anna odpisała, że Jonathan ma się natychmiast stawić w Londynie, ona jednak z przyjemnością zrobi sobie wycieczkę.

Jakże się cieszyła na to spotkanie. Zdrowy kęs domu bez wiecznego przymusu.

Wyruszyłem do miasta w pogoni za wspomnieniami

- napisał w swej kartce Jimmy Hedges.

Zaczekałbym na Ciebie, pewnie jednak zechcesz popływać i odpocząć. Zresztą tam, dokąd jadę, grzeczne dziewczynki mają wstęp wzbroniony. Na dziewiątą zarezerwowałem w Talley Thong stolik na dwie osoby. Jedno miejsce przy nim jest dla Ciebie. Ucałowania,

Jimmy.

Chłopiec hotelowy w złotym turbanie i białej marynarce potoczył walizkę Anny po wyłożonej płytami ścieżce do jej pokoju przy basenie. Rośliny rzucały swój foremny cień na drogę. Rześki wietrzyk kołysał palmami, a ich grube pnie leniwie ocierały się o rosnące w dole ketmie. Pójdzie obejrzeć ogrody, jak tylko trochę odpocznie. Później, wieczorem, zadzwoni do matki. Po raz trzeci w tym tygodniu. Powtórzy jej, że to już prawie załatwione.

Szła za wózkiem bagażowym. Yoshiro ma przed sobą ostatnie okrążenie. Wiedziała, bo od tamtej pory rozmawiała z nim kilkakrotnie. Po raz pierwszy poprosił ją o spotkanie.

- Od wielu tygodni nie byłem w domu. Właściwie przestałem chodzić do biura. Czy wiesz, że nie pozwalają mi zabrać stamtąd żadnych papierów?

- Nic mnie to nie obchodzi - odparła.

- Poniosę konsekwencje czynów mojego ojca.

Brzmiało to patetycznie, a głos miał obcy, drewniany, słaby.

- Potrafisz sobie wyobrazić, Anno, co by się stało, gdybyśmy nie byli ludźmi, którymi jesteśmy? Córka i synem dwóch poruczników? Moglibyśmy być jakimikolwiek ludźmi. Innymi. To by nie przetrwało, ale dopóki trwało, było czarowne. Nikogo nie winię o to, co się zdarzyło. To było koło fortuny.

- Kogo to obchodzi? - rzekła odkładając słuchawkę.

Mały chłopiec hotelowy dotarł do drzwi.

- Czy mogę je otworzyć? - spytał. Oni wszyscy tak pięknie się uśmiechali. - Pani pierwszy raz w Bangkoku? Śliczny, prawda? Dobre jedzenie i szczęśliwi ludzie.

- Dziękuję - powiedziała Anna, kiedy położył walizkę na krześle. Dała mu dwadzieścia bahtów, a on złożył ręce i skłonił głowę.

- Kwiaty i owoce tropikalne dla pani są na stole. Od kierownictwa hotelu. *Sawadee kap*, madam. Miłego pobytu. Pani jest ładna. - Z tymi słowy zniknął.

W pokoju panował chłód, zasłony były zaciągnięte. Szybko zdjęła sukienkę, zrzuciła sandały i wyciągnęła się na łóżku. Na ścianie wisiała kremowa, płaska ceramiczna podobizna dwóch słoni. I druga: bogini w koronie. Anna zamknęła radio, by nie słuchać fletu, i przyjrzała się słoniom. Jeden przypominał stołek, który sto lat temu Yoshiro kupił dla córki.

Pod wpływem błagań Yoshiro działo się z nią coś niedobrego. Wolałaby, żeby zachowywał się z godnością. Jeśli zamierza ze sobą skończyć, powinien gdzieś odejść i umrzeć po cichu. Bez pożegnań. Kiedy zadzwonił po raz pierwszy, mówił tylko on, a dźwięk jego głosu ją upokarzał. Gdzie dreszcz, o jaki powinien ją przyprowadzić jego upadek? Yoshiro nie prosił o litość. Pragnął wyłącznie jej towarzystwa.

- Stałem się alkoholikiem - powiedział.
- Naprawdę?
- Obserwowałem innych alkoholików. Siedzą, piją i nie mówią, nawet do siebie. Ja mówię do siebie.

- Nudzisz mnie.

Ktoś odłożył słuchawkę. Nie pamiętała kto.

Matka mówiła, że ma go nie żałować.

Potem znów zadzwonił i nie chciała myśleć o tym, co jej powiedział. Zamierzała teraz zbudować sobie życie. Jak tylko pojedzie do Bang Saray i usłyszy, co się tam wydarzyło. *Dusza jej ojca odpocznie w pokoju* - jak mówiła matka.

Yoshiro też powiedział coś takiego w czasie ich ostatniej rozmowy. Dziś rano, przed jej wyjazdem na lotnisko. Bez wstępów czy żartów.

- Na tamtym świecie będzie nam wolno pogrzebać przeszłość - rzekł, ledwie podniosła słuchawkę. - Twój ojciec i Bang Saray, to prześladowało mojego ojca z górą trzydzieści lat. Własnymi rękami wszystkim nam zapewnię pokój. Będę cię obserwować, modlić się o twoje szczęście i wyobrażać sobie, jak mogłoby być, gdyby nam pozwolono być dwojgiem innych ludzi.

Zeżliła się, bo straciła opanowanie. Na ulicy czekała tak-sówka.

- Tak uważasz? Sądzisz, że moglibyśmy kiedyś być dwojgiem innych ludzi? Ja od początku wiedziałam, czym jesteś synem, Yoshiro. Dlatego...

Nie dał jej dokończyć.

- Wiem, dlaczego to mówisz. Bo poczuwasz się do winy. Nie popełniłaś żadnej zbrodni. Zdradzałaś męża, a ja zdradzałem żonę, ale nigdy się o tym nie dowiedzą.

Szukaj jasnych stron naszych popołudni. Skończ ze złośliwością, sprytem, zniewagami. Pamiętaj, jak dobrze bywało i jak mogłoby być. Obwiniaj mnie albo los, albo swoją nie napisaną książkę. Nie siebie.

Czemu traktował ją tak protekcyjnie? Nie potrzebowała jego pomocy. Nie czuła się winna.

- Skończyłeś? Muszę zdążyć na samolot.

Tym razem to on chyba odłożył słuchawkę.

Zadzwieczał telefon i odebrała go w nadziei, że dzwoni Yoshiro. Rozległ się ochryply głos Jimmy'ego Hedgesa.

- *Sawadee* - powiedział - co po tajsku oznacza: witaj. Dobrze ci się leciało? Dostałaś moją kartkę?

- Tak i tak - odparła, na co wybuchnął swym lubieżnym śmiechem.

- Stałaś się ostatnio oszczędna w słowach. Nie mów mi, że już masz kogoś w pokoju. Jesteś tu za krótko. Podobno przyjechałaś pół godziny temu.

- Po prostu odpoczywałam. Upał jest męczący.

- Przepraszam. Do zobaczenia w holu o dziewiątej.

- Cieszę się na to spotkanie.

Wpatrywała się w sufit z uczuciem wewnętrznej pustki. Czyżby się rozczarowała, że to nie Yoshiro?

*

W swoim pokoju przy tym samym korytarzu Jimmy odłożył słuchawkę. Parogodzinna drzemka dobrze mu zrobi. Już pięć dni jest w Bangkoku i tyleż popołudni spędził w tej samej łaźni parowej. Lot był długi, ale wygodny, bo w przedziale pierwszej klasy znajdowało się zaledwie trzech innych pasażerów. Dwaj wysiedli w Bahrajnie, trzeci w Bombaju. Jimmy przespał prawie całą podróż. Trudi zarezerwowała mu koję w Boeingu 747 Singapurskich Linii Lotniczych. Wstawał na posiłki i wypijał dostatecznie dużo brandy, aby znów zasypiać zaraz po zakończeniu uczy. Wylądował w Bangkoku wczesnym rankiem, a klimatyzowaną limuzyną błyskawicznie i bez zdenerwowania dojechał do hotelu.

Jako pasażer pierwszej klasy od samego Heathrow Jimmy Hedges powrócił do Bangkoku po trzydziestu trzech latach. Szlak od granicy do kryjówki partyzantów w birmańskich górach był trudny i długi, z biegiem lat jednak to przeżycie nabrało romantycznej aury. Obecna wizyta Jimmy'ego w tym kraju obfitowała w wygody; tamta pierwsza, z Derekiem i porucznikiem Katsumatą, w momenty zabawne.

Nikomu nie opowiadał ze szczegółami, jak przebiegała dalej misja. Trudi wiedziała, co się stało po ich wyjściu z chat razem z birmańskim przemytnikiem. Nie dodał nic do tego, co mówił po uwolnieniu, przesłuchiwany przez wywiad wojskowy. Poniżające było to - wyznał Trudi - że rodacy traktowali go jak szpiega. Przez trzy dni i trzy noce pytania, mapy, żądanie dokładności i kolejne pytania.

Przedstawił tylko proste, nieskomplikowane fakty. Nie wszystkie. I teraz to do niego wraca. Żadna siła na świecie nie może temu zapobiec.

*

Za kwadrans dwunasta w nocy wszyscy czekali przed chatą. Porucznik Katsumata zastukał do drzwi. Wewnątrz zaszczekał pies, po czym drzwi się otworzyły i stanął w nich kompletnie ubrany przemytnik birmański; ogolony, z tłustymi włosami zaczesanymi do tyłu, w stylu lat trzydziestych, z przedziałkiem pośrodku.

- Jesteście punktualni - powiedział przemytnik do Katsumaty po angielsku. - Ruszajmy.

Katsumata poprosił, aby szedł przodem, a skinieniem ręki nakazał Jimmy'emu iść za nim. Potem maszerowali dwaj japońscy żołnierze z Birmańczykami, Derek i sierżant. Przebiegli polanę i gęsiego zanurzyli się w dżungli.

Ścieżka była zrazu dość dobrze widoczna. Niewątpliwie korzystano z niej codziennie, bo nie zarastała jej trawa ani

krzaki. W blasku księżycy przybrała kolor biały, wapienny i przedzierała się między drzewami niczym promień lampy fluorescencyjnej. Członkom wyprawy dano buty na gumowych podszewkach, a sierżant nie potrafił ukryć zadowolenia z faktu, że na wszystkich pasowały.

Stawiali nogi w niesamowitej ciszy, podobni do dziewięciu duchów kroczących tajemniczą ścieżką - mówił potem Derek.

Dwie godziny później birmański przemytnik sprowadził ich ze ścieżki w gęste, liściaste podszycie dżungli. Grunt zmieniał się raptownie, raz był kamienisty, raz grzaski, a często szli po kostki w wodzie. Jimmy'emu szyję i twarz pościęły komary. Dżungla otaczała ich zewsząd, gałęzie smagały po ramionach, drapały im twarze, gdy przemytnik przyspieszył kroku i zaczęli się wspinać pod górę.

Prowadzi nas w zasadzkę, a ja idę pierwszy - myślał Jimmy. Słyszał z tyłu ciężki oddech mężczyzn, czuł własny pot spływający po plecach i nogach, zalewający oczy. Po trzech godzinach marszu przemytnik się zatrzymał, a Jimmy, który patrzył pod nogi, wpadł na niego. Podbiegł do nich porucznik Katsumata.

- Co się stało?

- Jeszcze dwie godziny - odparł przemytnik.

- Jest tu strumyk. Nie zaszkodzi nam parę łyków świeżej wody.

Woda, chłodna i rozkoszna, przenikała do żołądków, pieściła twarze, przywracała świadomość. Wszyscy na brzuchach leżeli na brzegu; przyjaciele obok wrogów.

Ledwo się napili i napełnili manierki, przemytnik podebrał się na nogi ze zwinnością młodzieńca.

- Powinniśmy ruszać - powiedział.

Gęsiego, krętą drogą, weszli za nim w dżunglę rojącą się od komarów.

*

W luksusowej sypialni w Bangkoku nie dokuczały mu komary, a nogi miał suche. Barek był obficie zaopatrzony w trunki, zresztą wystarczyło zadzwonić, aby podano coś do pokoju. Mimo to, leżąc na łóżku i patrząc na drzewa rosnące za oknem, Jimmy Hedges pragnął tam wrócić, podążać za birmańskim przemytnikiem, chudszy, bez brzucha, jak przed trzydziestu trzema laty.

Boże, w jakiej ja byłem formie - powiedział sam do siebie z westchnieniem. Kobieta podobna do Trudi umiałaby to docenić. W tamtych czasach wydawał się niestrudzony. Zadzwoił telefon. To kierowca wynajęty na czas pobytu Jimmy'ego w Bangkoku.

- Sir? Jeszcze jeden masaż?

- Za co mnie macie? Za supermana?

- O której pan przyjdzie, sir?

- Na dzisiaj koniec z salonem masażu. Teraz jedź i wróć o dziesiątej wieczorem.

- Dobra. Wrócę o dziesiątej. Pan teraz śpi.

- Dziękuję.

- Na pewno żadnego szybkiego masażu?

- Całkiem na pewno. Może wieczorem. Do zobaczenia o dziesiątej.

Może Anna zechce po obiedzie zobaczyć Patpong; tutejszą dzielnicę rozpusty.

W pokoju panował chłód. O szóstej Jimmy zadzwonił i poprosił recepcjonistkę, aby go obudziła za kwadrans dziewiąta. Nie jest już taki młody jak dawniej, a popołudnie w salonie masażu go zmęczyło. Może powinien zrobić jeden dzień przerwy. Próbował się zdrzemnąć, lecz kłębiące się w głowie myśli ciągnęły z powrotem do Birmy.

*

W górach dotarli do celu, o czym oznajmił przemytnik, kiedy zatrzymali się powtórnie. Była piąta rano, więc mogli wypoczywać do ósmej, o tej porze bowiem spodziewali się ich partyzanci, a zaskoczeni wcześniejszym pojawieniem się grupy, mogliby otworzyć ogień.

Dwaj Birmańczycy przybliżyli się do swego rodaka, on jednak nie okazał im zainteresowania. Zwinął się w kłębek pod drzewem, poprosił, aby Katsumata obudził go za kwadrans ósma, po czym zamilkł. Po kilku minutach jego chrapanie przeszło wilgotne powietrze.

Katsumata i Derek Pritchard usiedli obok Jimmy'ego. Znowu rozmawiali po hiszpańsku, Derek zaś tłumaczył. Jimmy usiłował słuchać, widocznie jednak zasnął i obudziło go dopiero słońce świecące prosto w twarz. Wszyscy inni już się szykowali, a birmański przemytnik z lornetką przy oczach obserwował okolicę. Mgła się unosiła.

- Co z jedzeniem? - zapytał Jimmy.

- Jeśli tylko o tym myśli pan po przebudzeniu, będzie pan otyły na starość.

- Jeśli jej dożyję.

- Dożyje pan na pewno. Tak pan wygląda. A teraz chodźmy. Czekają na nas.

Niebawem ruszyli w dalszą drogę. Tym razem Katsumata szedł obok przewodnika, a jeden z żołnierzy z Derekiem i Jimmym. Birmańczycy zostali trochę z tyłu, pod strażą sierżanta i drugiego żołnierza. Japończycy zarzucili broń na ramiona.

- Widzą każdy nasz ruch - powiedział przemytnik.

- Świetnie. Zastrzelą nas własni sprzymierzeńcy. To będzie zabawne.

- Nie, panie doktorze, zawarliśmy umowę. Nikt nie będzie strzelać.

- Chciałbym wierzyć jak pan.

Zbliżali się do skały, która z każdym ich krokiem stawała się coraz wyższa. Krępy mężczyzna ze srogą miną siedział na szczycie i groźną lufę karabinu maszynowego kierował wprost na idących dołem. W rękę trzymał białą flagę i entuzjastycznie nią wymachiwał. W odpowiedzi Katsumata pomachał chusteczką.

Dotarli na polankę nieco oddaloną od skały i przystanęli. Przemysłnik wymienił parę donośnych słów, uśmiechów i gestów z krępym mężczyzną w górce.

- Wygląda na przyjaznego faceta - powiedział Derek.

- Wszyscy się uśmiechają w tej części świata - odparł Jimmy.

- Niestety, najpierw interes, potem śniadanie - oznajmił przemysłnik. - Miejscowy dowódca chce mieć pewność, że dotrzymacie umowy.

- Nie było jeszcze żadnej umowy - rzekł Katsumata.

- On ma na myśli jakąkolwiek umowę. Nie chce, żeby pan tu wrócił z całym mnóstwem żołnierzy. Chce dowodu pańskiej szczerości. Pragnie móc panu zaufać. Przed pertraktacjami.

- Co mam zrobić? - zapytał porucznik Katsumata.

- Chce, żeby pan kazał na znak dobrej woli zastrzelić jednego ze swoich żołnierzy. Radzę, żeby się pan zgodził. On nie żartuje.

Słońce wzeszło i od tyłu paliło ich szyje. Za nimi parowało sklepienie dżungli, z której wyszli przed chwilą. Zapadło głucho milczenie, kiedy porucznik Katsumata rozważał możliwości.

- Czemu się waha? - odezwał się Jimmy.

Derek o mało nie zabił go wzrokiem.

- Na pewno przeżywa piekło. Uszanuj go i zamknij gębę.

Katsumata podszedł do przemytnika.

- Czy na pewno tego się po mnie spodziewa?

- Jak pan chce, niech pan spyta. Mówi po angielsku.

Porucznik Katsumata postąpił dwa kroki naprzód i nie cofnął się na widok pochylonej lufy karabinu maszynowego. Przemysłownik krzyknął coś w górę, krępy zaś kiwnął głową z uśmiechem.

- Czego pan chce, poruczniku? - krzyknął w dół.

- Mam dwa pytania. Po pierwsze, czy możemy zobaczyć człowieka, z którym przyszliśmy się spotkać. Po drugie, dlaczego chcecie, żebym zabił jednego z moich żołnierzy?

Krępy wstał z twarzą zastygłą w uśmiechu. Mówiąc osłaniał oczy od blasku słońca.

- Wasz człowiek jest tutaj. Nie chcemy, żeby was zobaczył, zanim porozmawiamy. Twierdzi, że nie chce zostać odstawiony z powrotem. Najpierw chce się widzieć z angielskim pułkownikiem. Jeśli was zobaczy, może się zabić, tak jak ten drugi jeniec.

- Niewątpliwie zabraliście mu szablę. Jak może bez niej popełnić *seppuku*?

- Może roztrzaskać sobie głowę kamieniem. Może znaleźć węża, żeby go ukąsił. Może w nocy wsadzić głowę do wody. Wy, Japończycy, jesteście specjalistami od zabijania samych siebie. Widziałem, jak dwa miesiące temu wasz żołnierz rzucał się głową naprzód z tej skały. W tym miejscu trudniej jest pozostać przy życiu, panie poruczniku, niż umrzeć. Teraz niech pan zastrzeli swojego żołnierza, abyśmy mogli przystąpić do rzeczy. Wódz chce się upewnić, że może panu zaufać.

Znowu zapadło milczenie. Porucznik Katsumata się odwrócił.

Związłe przemówił do żołnierza pilnującego Anglików. Żołnierz postąpił naprzód.

Zdradzał napięcie, lecz nie strach. Choć rozkaz wydał mu się dziwny, podszedł do porucznika Katsumaty i oddał swój karabin. Porucznik coś do niego powiedział, mały żołnierz się skłonił, skierował do podnóża skały i przystanął, a następnie odwrócił się z uśmiechem, jakby pozował do zdjęcia.

- Biedak robi to dla nas - rzekł Derek.

Żołnierz przysłonił sobie oczy i znieruchomiał z nienaturalnym wyrazem twarzy. Wstrząsnął nim lekki dreszcz, kiedy Katsumata uniósł jego karabin, wycelował i strzelił mu w głowę.

- Proszę - zwrócił się Katsumata do przemytnika. - Może pan powiedzieć, że jestem godnym zaufania zabójcą. - W jego głosie zadźwięczała nuta goryczy.

Przemytnik wzruszył ramionami.

Katsumata pomaszerował do przodu, krokiem szybkim i zdecydowanym. Zatrzymał się nad ciałem zabitego i skłonił. Zasalutował, po czym się odwrócił i z wyzywającą miną dołączył do innych.

- No, więc teraz - zauważył Derek - zabił pierwszego w życiu człowieka.

- Wolałbyś, żeby zastrzelił któregoś z nas?

- Wolałbym, żeby nie zastrzelił nikogo. Wolałbym, żeby nie było karabinów, bomb ani łodzi podwodnych.

Jeden mniej, zostało trzech - powiedział sobie Hedges.

- Teraz - krzyknął porucznik Katsumata do mężczyzny na skale - powiedz swojemu wodzowi, żeby przyszedł z nami rozmawiać. Straciłem przez niego dużo czasu.

- Ja jestem wodzem - odparł krępy. - Witam was w mojej bazie. Przed rozpoczęciem rozmowy coś zjemy.

- Ten człowiek przypadł mi do serca - stwierdził Jimmy.

Wódz partyzantów wstał i skinął na przybyszów, aby po-
deszli bliżej. Przemynikowi polecił oprowadzić ich dokoła
skały. Kiedy mijali martwego żołnierza, Jimmy zwrócił uwa-
gę na jego twarz. Zabity wpatrywał się w wieczność z wyra-
zem bezspornego zdziwienia.

- Nie wiedział, co się dzieje - rzekł Derek.

- Umarł z ufnością w sercu. Chciałbym tak umrzeć.

- Ja, przeciwnie, wolałbym pozostać przy życiu - warknął
Hedges.

Porucznik Katsumata powstrzymał się od komentarza.

Skała była duża, podobna do małej góry. Po jej obwodzie
szli dwadzieścia minut, trzymając się blisko granitu, roz-
grzanego i męskiego, mocnego i starego, stromymi uskokami
opadającego w dżunglę. Z gładkich zakleşnięć w kamieniu
nie wyrastały żadne zielone gałązki. Z jednej strony spuszczo-
czono drabinkę sznurową, więc zaczęli się wspinać w ślad za
przemynikiem.

Jimmy Hedges czekał na swoją kolej i wyobrażał sobie, że
skała to okręt. Widok wspinających się mężczyzn przypominał
mu jakiś stary film o rozbitkach, których wyławiają pira-
ci.

Kiedy dotarł do szczytu drabiny, sierżant japoński podał
mu dłoń, ale jej nie przyjął. Na wzniesieniu za krawędzią
skały partyzanci przygotowali dla nich małą ucztę. Jimmy się
zastanawiał, jak trafiły tutaj te pieczone kurczęta, puszki z
jarzynami i konserwą wołową. Do jedzenia podano kubki
parującej herbaty i kilka owiniętych jutą pojemników z pływ-
nem, w którym rozpoznał miejscowe piwo. Sześciu partyzan-
tów zeszytywniało niby to na baczność za prowizorycznym
stołem. Wraz z nimi stał angielski starszy sierżant w mundu-
rze roboczym. Zasalutował Jimmy'emu i Derekowi, nim
wszyscy usiedli.

- Jak tam wojna? - zapytał Jimmy.

- Nie mam pojęcia. Od mojego przybycia nie było żadnej akcji. Jest jedzenie, picie i inne rzeczy - szepnął starszy sierżant. - Nie ufajcie tym facetom. Nie stoją po niczyjej stronie. Interesują się tylko pieniędzmi.

- Więc co pan tu robi?

- Ja ich wykorzystuję, to wszystko. Miejsce jest bezpieczne, oni zaś chętnie mnie trzymają. Lubią mieć przedstawicieli obu stron, przynajmniej dopóki nie nabiorą pewności, kto wygra tę cholerną wojnę. Można z nimi zrobić, co się zechce, jeśli poczują zapach gotówki.

Sierżant rozejrzał się dookoła. Nikt go nie słyszał.

- Tu kończy się moja rola - oświadczył przemytnik Katsumacie. - Odtąd nie biorę w niczym udziału. Pan prowadzi rozmowy. Mnie zapłacono za przyprowadzenie was tutaj, co zrobiłem.

- Mógł pan nie dopuścić, aby mnie zmusili do zastrzelenia żołnierza.

- Zapłacono mi za przyprowadzenie was tutaj i przedstawienie tym ludziom. Jeśli pan chce, proszę spytać kapitana Kato. Zresztą dobrze pan zrobił.

- Nie miałem wyboru.

- I dlatego postąpił pan właściwie. Teraz panu ufają.

Przemytnik wyjął z kieszeni flaszkę whisky i wypił za swoje zdrowie. Pozostali zabrali się do jedzenia.

To wtedy - jak później opowiadał Toni - Hedges po raz pierwszy dostrzegł, że mają szansę. Coś w północnym akcencie, z jakim przywitał ich starszy sierżant, budziło zaufanie.

*

Do rzeczywistości przywołał Jimmy'ego Hedgesa telefon.

- Jest za kwadrans dziewiąta, panie doktorze - powiedziała

recepjonistka. - Mam nadzieję, że pan wypoczął.

- Dziękuję, istotnie. Może pani zadzwonić do pani Bellingham i przypomnieć jej, że spotyka się ze mną w holu za piętnaście minut?

- Z miłą chęcią - odparła recepcjonistka. - Życzę przyjemnego wieczoru.

Za oknem pojawiły się gwiazdy zawieszane na czarnym niebie. Odbicie księżyca w tafli basenu ocierało się o palmy. Na dworze panował upał, powietrze było nieruchome. Wokół ogrodu świeciły kolorowe lampiony.

Zdrowy sen zawsze pobudzał apetyt Jimmy'ego. *Homar* - powiedział do siebie pod prysznicem. *Homar thermidor* z mnóstwem sosu i może parę smażonych krewetek na przekąskę.

30.

Whisky wyparowywała z jego organizmu. W głowie ukazywały się obrazy minionego dnia. Powoli, jeden za drugim, pojawiały się i wypełniały pustkę. Yoshiro odkaslnął i splunął na chodnik. *Może teraz pójść do świątyni* - pomyślał - gdy wtem ktoś go kopnął, przeprosił, on zaś się ocknął. Uświadomił sobie, że bynajmniej nie szedł, tylko leżał na boku, ściskając pustą teczkę. Nie miał pewności, jak długo tu leży ani z którego baru go wyrzucili. Dokoła ludzie chodzili, rozmawiali, wybuchali śmiechem. Przejeżdżały samochody. Neonowe reklamy miganiem zachęcały do kupowania. Ginza

zbierała siły do ostatniego ataku na nocne włóczęgi. Niebawem samochody zatrzymają się przy krawężnikach i pozabierają wszystkich do domów. Zamiatacze wyjdą ze stacji kolei podziemnej, aby uprzątnąć z ulicy papiery, niedopałki, puste puszki po piwie i odłamki stłuczonego szkła. W Shangri-la, Pałacym Psie i Chanson D'Amour podadzą ostatnie drinki. Mama-san przeproszą, a dziewczęta wezwą taksówki albo pod opieką swych chłopców czy alfonsów wyruszą w podróż do brzasku. Yoshiro wytrzeźwiał i odżyły mu w pamięci słowa usłyszane przy obiedzie z ust Taisho, podobnie jak własna decyzja.

Wstał z chodnika służącego mu za łóżko, otrzepał spodnie i marynarkę, podniósł teczkę, po czym wmieszał się w rzedający tłum. Wszyscy dokądś śpieszyli. Wkrótce żółte miejskie ciężarówki wyjadą zmyć kurz z ulic i wypucować je do połysku. Pomacał się po twarzy. Była gładka. Doprowadził się do porządku przed spotkaniem ze starym Taisho swojego ojca. Po raz ostatni umówili się na obiad, więc chciał jak najlepiej się prezentować. Chodziło o honor rodziny.

Może pójść na stację, gdzie w otwartej przez całą noc kawiarni podają bułki z masłem i mocne mieszanki kolumbijskiej kawy. A także wodę z lodem. Whisky wywołała pragnienie, lecz spełniła swój cel, bo przegnała z głowy przykre wspomnienia. Na wizytę w świątyni ma mnóstwo czasu. Słońce wstanie dopiero za dwie godziny, więc może przebiec w myślach ostatnią opowieść Taisho, spisać notatki, odmówić pacierz za duszę ojca, porucznika Keichi Katsumaty.

Nie potrzebuje już spać. Widocznie dobre parę godzin spędził tu na ulicy. Odświeżony i rześki obserwował wszystko ze szczególnymi hostessy odprowadzające swoich klientów

do samochodów i inne, machające na pożegnanie. Drzwi zamykane na dzień na łańcuchy i klucze, plastikowe worki wystawiane na ulicę.

Birmańska misja jego ojca odżyła z wielką wyrazistością i pamiętał wszystko, co mu powiedział Taisho. Dawnym, szybkim i sprężystym krokiem dotarł na stację. Czuł się zwinny, żywy, więc z uśmiechem poprosił kelnerkę o kawę i dwie bułki.

Kątem oka spoglądała na jego pociągającą twarz i marudziła przy stoliku, niby to zapisując zamówienie. Klientelę na tej ostatniej nocnej zmianie stanowili zazwyczaj robotnicy, którzy jechali do położonych za miastem fabryk, albo pijani, grubiańscy urzędnicy po nocy spędzonej na Ginzie.

- Pije pan kawę ze śmietanką, proszę pana? - Pokręcił głową i zobaczyła jego ciepły, życzliwy uśmiech.

- Czarną - odparł. - Jest pani bardzo miła.

- Wzrok miał chłodny. Gdyby go znała, zapytałaby, co się stało, ale go nie znała, a inny klient niecierpliwie klaskał w dłonie, aby zwrócić jej uwagę.

- Zaraz się panem zajmę - powiedziała.

W czasie ich ostatniego spotkania Taisho okazał mu wyjątkową delikatność. Pytał o zdrowie matki, żony i dzieci, o firmę i pana Sato, zauważył też, że Yoshiro przybladł.

- Mam jeszcze trochę do zrelacjonowania - rzekł - zanim wypełnię obietnicę daną twojemu ojcu. Dowiesz się wszystkiego o misji. - Tym razem nie trzeba mu było przypominać, na czym skończył.

Uczestnicy wyprawy jedli na dużej skale śniadanie z partyzantami. Zdaniem Keichiego posiłek smakował wszystkim. W postawie dwóch cudzoziemskich oficerów zarysowała się wyraźna różnica. Lekarz wojskowy, Hedges, w nowym otoczeniu poczuł się lepiej. Jadł i gwarzył ze starszym sierżantem,

zartował z krępyim dowódcą partyzantów. Nabral jakby większego zaufania i do Keichiego, którego parokrotnie pochwalil za sposób wywiazywania sie z misji.

Drugi oficer, Pritchard, pograzyl sie w melancholii. Siedzial z innymi i swoim zwyczajem prawie nie tknal jedzenia. Keichi chcial go uspokoic, pocieszyc, dowiedziec sie, co go gnebi, ale musial najpierw zalatwic inne sprawy.

Sadzac po pierwszym zadanii dowodcy partyzantow, nie miało sie odbyc po prostu. Dowódca nie godzil sie rozmawiac o wymianie, dopóki jedli, a posiłek zdawal sie ciągnąc w nieskończoność. Przemytник nie zaoferował żadnej pomocy. Jadł dużo, pił jeszcze więcej. Poczzerwieniał na twarzy, bełkotał cicho, śmiał się za dużo, a dwa razy przewrócił się na bok. Oświadczył Keichiemu, że jego to już nie dotyczy; odprowadzi ich do wioski, gdzie się spotkali, jak tylko skończą. Do tej pory zamierza spać. Radził Keichiemu się nie spieszyć. W braku działań na tym terenie wizyta stanowi dla partyzantów rozrywkę, którą na pewno zechcą przedłużyć. Jeśli Katsumata, zrobi im przyjemność to ułatwi sobie sprawę - powiedział przemytник - sam jednak nie zamierza już radzić. I tak przekroczył swoje pełnomocnictwa.

Posiłek dobiegł końca, gdy słońce odbyło już połowę drogi do zenitu. Na skale brakowało cienia, a powietrze było suche.

- Ludzie tu w górach dożywiają późnej starości - powiedział krępy dowódca. - Jeśli przedtem ktoś ich nie zastrzeli.

- Może przystąpimy do rzeczy? - zapytał Keichi, co wywołało pełne dezaprobaty spojrzenie przemytnika.

- Musicie być bardzo zmęczeni - rzekł dowódca.

- Czy nie lepiej, abyśmy wszyscy trochę się zdrzemnęli i

pozwolili ciałom na strawienie pokarmu? Niektórzy ludzie wyglądają, jakby spali na stojąco.

- Oni nie wezmą udziału w dyskusji.

- My tu, na górze, wszystko robimy zbiorowo. Razem walczymy i razem rozmawiamy.

- Sądzę, że tę sprawę powinniśmy omówić tylko my dwaj. Pan i ja.

- Nie. Moi podwładni też mają głos, a zaniepokoiłoby ich, gdyby pańskich ludzi wykluczono z dyskusji. Mógłby pan oczywiście zarządzić głosowanie i uzyskać od swojej grupy pełnomocnictwo do występowania w jej imieniu. Ale wasze społeczeństwo nie jest demokratyczne jak nasze. Głosowanie wydałoby się głupie pańskiemu sierżantowi i żołnierzowi.

Właśnie wtedy dowódca powiedział Keichiemu, jak wysoko ocenia to, że zastrzelił drugiego żołnierza. Dowiódł tym swojej szczerości i urósł w oczach partyzantów.

*

Później Keichi ubolewał nad tym w rozmowie z Taisho, który mu przypomniał, że żaden z żołnierzy nie miał pozostać przy życiu. Wszystkich wysłano by na front na Pacyfiku. To jednak nie zadowoliło ani nie pocieszyło porucznika.

- Twój ojciec odebrał cały żołd należny mu po zakończeniu misji i przesłał rodzinie żołnierza - powiedział pan Sakamoto. - Mówił mi, że zamierza ją utrzymywać po wojnie. Ale ci ludzie mieszkali w Hiroszimie i wszyscy zginęli w 1945 roku. Twój ojciec był hojnym człowiekiem i miał szlachetne serce.

Oczywiście, myślał Yoshiro, kierował się nakazami honoru i tego samego oczekuje po mnie.

- Wróćmy do skały - podjął pan Sakamoto. - Negocjacje rozpoczęły się dopiero po długim czasie.

Musiał to być bardzo spokojny odcinek, bo Keichi nie uważał, aby po posiłku ktoś na skale czuwał. Pozasypiali wszyscy, z wyjątkiem birmańskiego jeńca, prawnika o proja-pońskich sympatiach. Znalazł gdzieś kartkę papieru i ołówek, i pilnie coś spisywał. Nikt nie pytał co. Nikt na nic nie zwracał uwagi. Teraz, kiedy się nad tym zastanawiam, myślę, że partyzanci nie angażowali się w politykę. Może w ogóle nie byli partyzantami.

Nadeszło popołudnie i powoli trwało w dusznym upale. Jedni spali, inni grali w karty. Później, gdy wieczór przyniósł lekki powiew chłodnej ulgi, pojawił się dowódca. Rozkazał wszystkim ludziom swoim i porucznika Katsumaty zebrać się i zasiąść w krąg tam, gdzie jedli posiłek. W pogodnym nastroju podano herbatę.

- Teraz porozmawiamy - odezwał się dowódca do Keichiego. - Waszego japońskiego oficera przyprowadzę, jak skończymy.

- Doskonale - rzekł Keichi.

- Czego właściwie od nas chcecie?

- Przyszliśmy poprosić, abyście nam pozwolili zabrać go ze sobą.

- Na co wam jest potrzebny?

- Niech pan skłamię - nagle wybełkotał przemytnik po japońsku. - Przepraszam - przeszedł na angielski. - Niech mu pan powie prawdę o oficerze. Niech mu pan powie, dlaczego chcecie oddać go pod sąd.

Twarz dowódcy ożyła.

- Pod sąd? Co takiego zrobił? Obrabował bank?

- Jest oskarżony o kradzież pieniędzy z kasy wojskowej - odparł Keichi z absolutnie kamienną twarzą. - Miał wypłacać rekompensaty w Singapurze i na Malajach. Duże sumy za zniszczoną własność naszych sprzymierzeńców. Dyrektor

departamentu ministerstwa skarbu wydał rozporządzenie. To kłopotliwa sytuacja dla armii cesarskiej i chcę, aby mi pan dał słowo dżentelmena, że zachowa szczegóły przy sobie. Specjalnie sprowadzono mnie z Japonii i powierzono mi tę misję. Nikt w Tajlandii ani Singapurze nie wie, dlaczego sprowadzamy go z powrotem. Chcemy się dowiedzieć, co zrobił z pieniędzmi. Nie ma to żadnego związku z wojną.

- Nie do wiary. - Dowódca wybuchnął śmiechem. - Ile gotowi jesteście za niego dać?

- Mógłbym zwolnić dwóch tu obecnych dżentelmenów birmańskich i oficerów brytyjskich. Jeśli chce pan zatrzymać oficera japońskiego, może pan, pod warunkiem, że wolno mi go będzie przesłuchać. Właściwie nic nam po nim, musimy się tylko dowiedzieć, gdzie są pieniądze i jakimi sposobami odprowadzał je na bok.

Mina przemytnika zdradzała nieklamany podziw. Derek Pritchard powiedział: *Caramba, qué cabeza*. To stara piosenka hiszpańska - wyjaśnił.

Dowódca podrapał się w głowę.

- Ile za niego zapłacicie?

Katsumata osłupiał ze zdziwienia. Pobladł.

- Pieniądze? Żąda pan pieniędzy?

- Tak. Dlaczego by nie? Wy chcecie go tylko dlatego, że ukradł pieniądze, prawda? Ile gotówki da pan za swojego oficera?

Katsumata wskazał na przemytnika.

- Będzie pan musiał zapytać jego - odparł.

- On nie ma z tym nic wspólnego - rzekł dowódca.

- Och, ma. To dla nas coś nowego. Nie wiedzieliśmy, że w grę wchodzi pieniądze. Oczywiście możemy wam zapłacić, ale tylko w walucie japońskiej. Pan by jej nie przyjął, prawda?

- Skądże znowu. My potrzebujemy prawdziwych pieniędzy.

- Właśnie to załatwi nasz przyjaciel. Z nim rozliczymy się później? Ile?

- Tysiąc funtów angielskich - powiedział przemytnik.

- Rządź, Brytanio - wymamrotał Hedges.

- Wolelibyśmy złoto. Dostarczcie pieniądze w złocie - powiedział dowódca. Jego ludzie wyraźnie się zgadzali. Niektórzy mu przyklasnęli.

- Ze złotem są pewne komplikacje - odparł przemytnik - nie ma jednak rzeczy niemożliwych. Naturalnie suma będzie musiała się zmniejszyć.

- O ile? - zapytał krępy dowódca.

- Co najmniej o połowę.

Sprawy wymknęły się z rąk Keichiego. Między przemytnikiem a krępyim dowódcą rozgorzał zajadły spór, któremu przysłuchiwali się wszyscy inni. Wreszcie stanęło na sześciuset funtach w złotych angielskich suwerenach.

- Dostawa suwerenów czeka na mnie w Tajlandii - oświadczył przemytnik. - Są w małej wiosce rybackiej Bang Saray o jakieś piętnaście mil na zachód od portu Pattaya. Dobra. Pan nam odda oficera, a ja pójdę po złoto.

- Kiedy pan wróci?

- Jak najszybciej zdołam. To zależy od stanu dróg.

- Widocznie wszystkich nas uważa pan za wieśniaków. Jeśli teraz się stąd wszyscy zabierzecie, nigdy już was nie zobaczymy.

- Jeśli pan chce, może pan wysłać z nami jednego ze swoich zbirów. Sądziłem, że ufamy sobie nawzajem.

- Mówimy o złocie. Wyślę dwóch.

- Co się stanie z Brytyjczykami pod moją nieobecność? - zapytał przemytnik.

- Zatrzymamy ich tutaj do chwili, gdy dostaniemy złoto.
- Kto zareczy za ich bezpieczeństwo?
- Są naszymi sprzymierzeńcami.
- W takim razie nie powinien pan żądać pieniędzy. Powinien pan zaraz odstawić ich do granicy indyjskiej. Nie są tu bezpieczni. Japończycy nadal kontrolują kraj.
- Są bezpieczniejsi z wami?
Katsumata podskoczył.
- Tak. Są bezpieczniejsi z nami - powiedział.
Dowódca rozejrzył się dokoła.
- Zabierzcie ich ze sobą, jeśli chcecie. Mnie nie zależy. Są waszymi jeńcami. Wy ponosite za nich odpowiedzialność. Tak będzie lepiej. Mniej gęb do nakarmienia. Mniej ciał do zapewniania ochrony.
- Doskonale. Wolałbym ich zabrać.
- Tak - entuzjastycznie wykrzyknął Derek.
- W głowie ci się popieprzyło - mruknął Jimmy.
- I niech pan sobie niczego nie wyobraża, poruczniku Katsumata - rzekł dowódca. - Wyślę z wami moich najlepszych dwóch ludzi. Mamy przyjaciół i w Tajlandii, wie pan. Tak czy owak, poruczniku, pan zagwarantuje im bezpieczeństwo poruszania się na terenie Tajlandii. Kiedy dostaną złoto do rąk przyprowadzą tu brytyjskich oficerów, a my ich odstawimy do Indii. Jeśli złota nie będzie, moi ludzie ich zabiją.
- Złoto dostaniecie dopiero wtedy, jak przekroczą granicę.
- Świetnie.
Z twarzy dowódcy znikł wyraz napięcia. Uśmiechnął się.
- Umowa stoi. Napijmy się czegoś. Wszyscy jesteśmy teraz przyjaciółmi i sprzymierzeńcami. Pieniądze wszędzie są pieniędzmi.

Z twarzy porucznika Katsumaty biło obrzydzenie. Otworzył usta, aby coś powiedzieć, lecz przemytnik dotknął jego ramienia.

- Ma rację - rzekł. - Napijmy się wszyscy.

*

- Twój ojciec nie ufał dowódcy - mówił dalej Taisho. - Nie chciał zostawić Brytyjczyków. Może nie potrafił się zmusić do rozstania z Pritchardem, o którym zawsze wyrażał się z wielką czułością. Tak czy inaczej był to tylko szczegół, ponieważ spełnił misję.

Los *gaijin* nie miał dla niej znaczenia. Miał je chyba wyłącznie dla twojego ojca. Mógł się spierać z dowódcą, wołał jednak zabrać ich ze sobą. My możemy najwyżej domyślać się prawdy. Mógł to wszystko tak zaaranżować, ale nie jestem pewny. Wiesz, Yoshiro, twój ojciec mógłby sobie narobić paskudnych kłopotów. Zamierzał użyć japońskich funduszy w celu uwolnienia oficerów brytyjskich. W innych czasach czekałby go sąd wojenny i niechybna egzekucja. Ale liczyło się to, że dostał naszego człowieka i postąpił honorowo. No, więc tak twój ojciec wrócił do Tajlandii ze swoimi *gaijin*. Wtedy po raz pierwszy wypłynęła nazwa Bang Saray. To, co się tam stało, miało odegrać dużą rolę w późniejszym życiu twojego ojca.

*

Dwóch jeńców birmańskich uwolniono i oficjalnie przekazano dowódcy na znak zaufania. Wszyscy ściskali sobie dłonie, wznosili toasty, po czym przyprowadzono starszego oficera.

Był to blady, gładko ogolony człowieczek o wyraźnie wojuskowym sposobie bycia. Oslupiał na widok japońskich mundurów porucznika Katsumaty i jego żołnierzy. Z wyrazem wielkiej troski podszedł bliżej, aby się przyjrzeć insygniom Keichiego. Miał inteligentną twarz bez cienia uśmiechu.

- Przyszliśmy zabrać pana do domu - powiedział Katsumata. - Pora jest późna, więc przepraszam, że przeze mnie będzie pan musiał spędzić tu jeszcze jedną noc. O świcie pójdziemy przez dżunglę do granicy, gdzie będą na nas czekać samochody. Mam rozkaz dostarczyć pana do Bangkoku. Z radością widzę, jak dobrze się pan miewa.

Niski, potężny głos starszego oficera wydobył się z jego malej twarzy z hukiem wystrzału armatniego.

- Kto panu powiedział, że dobrze się miewam? Z czyjego upoważnienia jest pan tutaj?

- Niestety o tym nie mogę dyskutować. Przeszliśmy niejedno, aby się tu dostać, i na pewno chętnie pan z nami wróci.

- Nie czuję się dobrze. Nie sędzę, abym mógł pieszo odbyć całą podróż do granicy. Ma pan rozkaz na piśmie, który mógłbym zobaczyć? Jak się pan nazywa, poruczniku?

- Katsumata Keichi - rzekł porucznik. Inne pytania zignorował. Oficer usiadł. Na niebie pozostał już tylko nikły ślad światła. Złoty horyzont rozpląnął się w morzu różowości, po czym przybrał barwę różowo-fiołkową.

- Wasz człowiek nie sprawia wrażenia zachwyconego pana widokiem, panie poruczniku - zauważył krępy dowódca. - Chyba nadal chce się zobaczyć z brytyjskim pułkownikiem, na co nalegał. Dlaczego nie awansuje pan jednego z jeńców?

Kiedy to mówił, przyniesiono i zapalono sześć lamp naftowych. Keichi zwrócił się do starszego oficera.

- Mamy tu dla pana brytyjskiego oficera, pułkownika Dereka Pritcharda.

Powtórzył zdanie po angielsku, a Derek wstał, zasalutował i przedstawił się jeńcowi.

- Czym mogę służyć?

- Nie jest tu tak, jak się wydaje - rzekł Japończyk. - Muszę pomówić z panem na osobności. Ci ludzie...

- To niemożliwe. Sam jestem jeńcem wojennym i nie mogę rozmawiać z panem na osobności bez zgody porucznika Katsumaty.

- Mam rozkaz zabrać pana do Bangkoku - powiedział Kei-chi. - Dopóki nie przekażę pana całego i zdrowego ambasadzie japońskiej w tym mieście, oficerowie *gaijin* pozostaną jeńcami wojennymi. Niewątpliwie będzie pan mógł porozmawiać z pułkownikiem Pritchardem po drodze.

Starszy oficer sprawiał wrażenie pogodzonego z losem. Przygarbił się i siedział wpatrzony w przestrzeń. Nie chciał łyknąć cudzoziemskiej whisky i nie odzywał się do końca wieczoru. Porucznik Katsumata nie odstępował go na krok.

*

Tę historię opowiedział Taisho parę godzin wcześniej, w czasie ostatniego obiadu z Yoshiro. Na młodych ramionach ojca musiało spoczywać ogromne brzemie. Yoshiro wypił kawę, zjadł gorące bułki, zapłacił i podziękował kelnerce za życzliwość. Wyszedł na ulicę. Mżył drobny kapuśniaczek.

Najlepiej byłoby upozorować wypadek. Żona i dzieci nie musieliby do końca życia uginać się pod ciężarem jego wstydu i długu. Ojciec zrozumie. Yoshiro powie mu prawdę zaraz po przyjściu do świątyni. To niedaleko.

O piątej rano otworzył okno swego pokoju hotelowego. Na dworze było jeszcze ciemno, lecz wkrótce się przejaśni. Niebawem zacznie świtać. Poszedł do świątyni i odmówił modlitwy. Oczyma duszy widział ojca takiego, jakiego zapamiętał z dzieciństwa.

Biorąc klucz, niezwykle wesoło pogwarzył z nocnym portierem, który mówił później, że pan Katsumata był szalenie

radosny. Może za dużo wypił, ale wydawał się szczęśliwy.

Nikt nie widział, jak się wdrapuje na aluminiową framugę. W dole ulica wciąż spała. Tam, gdzie stał, o czternaście pięter wyżej, jakby grubsze krople deszczu siekły go po twarzy. Powietrze nadal było czyste. Niedługo ruszą samochody i zaczną wydzielać spaliny. Patrzył z parapetu. Zapalił papierosa. *Spójrz* - powiedział do ojca - nie kaszlę. Obserwuję kolejny świt. Zaciągnął się po raz drugi, dym podrapał go w gardle, a on się sprzyżył do skoku i poszybował.

Mniejsza o kolejny świt - myślał Yoshiro unosząc się w powietrzu jak piórko. Dzień będzie pochmurny. Leciał i myślał, że towarzyszy mu ojciec. Patrzyli na nich wszyscy inni, mały żołnierz i *gaijin* - porucznik Pritchard. Czuł się bezpieczny, nie bał się i nie krzyczał. Nie myślał o swojej młodości, o dawnych ambicjach ani o tym, co chciał osiągnąć. Zachowywał jasność umysłu i nadal lekka mgielka osłaniała go od bólu, nadziei, wspomnień.

W głębi duszy jednak wiedział, co robi. Teraz nie dało się już zatrzymać. Żadnego żalu. Przez chwilę chciał myśleć o cudzoziemce, lecz nie zdążył wspominać. Nie było twarzy, dźwięków ani czasu. Tylko w ułamku sekundy mignął tłum: ludzie z przeszłości jego ojca.

Chodnik i jezdnia mknęły w górę ku niemu, a próżnia napotkała go, zanim ciałem uderzył o ziemię.

Za wielką presją - mówili później niektórzy ludzie. Z raportu policyjnego wynikało, że Yoshiro Katsumata miał w tylnej kieszeni spodni flaszkę szkockiej whisky. *Szkoda człowieka* - stwierdzali jedni. A inni widzieli szansę zajęcia pustego miejsca za jego biurkiem.

Nie znosił alkoholu - mówili ci, co go znali. Mógł być pierwszym członkiem zarządu spoza rodziny. Parapet znajdował się za nisko. On był za wysoki. Może chciał odetchnąć świeżym powietrzem. Albo obejrzeć poranek.

W mieście świeże powietrze jest tylko o świcie, tuż przed wschodem słońca, dopóki nie ma jeszcze zanieczyszczeń.

- Pech - zwrócił się pan Sato do swojego przyjaciela, pana Sakamoto. - Był bystry i jeszcze parę tygodni temu dobrze się spisywał. Zamierzaliśmy go awansować. Trudno dziś o utalentowanych młodych ludzi. Miał zwyczaj do późna przesiadywać w biurze - ciągnął z dumą pan Sato. - W Sato Kaisha wymagamy lojalności i pracownicy są w stosunku do nas lojalni. Dlatego tak często zostawał w mieście. Pech - dorzucił podając panu Sakamoto kartę.

Stary bankier zamówił coś, choć nie był głodny. Chodzili do tej samej szkoły i gdyby nie jadł, uraziłby pana Sato, który go zaprosił na lunch.

31.

Nowy budynek w zachodnim stylu, duży, kolorowy i bez okien, mógłby być jakimś magazynem czy supermarketem. Kierowca otworzył i przytrzymał drzwiczki, a Jimmy Hedges wszedł w upale po schodach na górę i pchnął szklane drzwi. Chłodne powietrze pieściło mu twarz, gdy wsiadał do windy i naciskał guzik, aby wjechać na trzecie piętro.

Wszędzie jasno świeciły elektryczne lampy z kolorowymi żarówkami, stały rośliny pokojowe i wisiały obrazy grubo uszmkowanego Buddy. Kierowca powiedział, że to najlepszy salon masażu w Bangkoku. Miał rację. Jimmy bywał tu codziennie od chwili przyjazdu. To już jego szósty dzień tutaj. Anna chciała zwiedzać świątynie. Wymówił się zmęczeniem, ale zaproponował, żeby znów zjedli razem obiad.

Winda się zatrzymała. Więcej światła, roślin i kelnerów ubranych na czerwono powitało go na trzecim piętrze. Na wprost windy olbrzymia szklana ściana dzieliła hol na dwie części. Za szybą, w blasku reflektorów siedziały dziesiątki skąpo odzianych dziewcząt z numerami na ramionach.

Niektóre miały numery zielone, co oznaczało, że robią wszystko. Inne tylko masowały, myły i dotykały. Dziewczęta gwarząc i chichocząc patrzyły na szybę, ale nic przez nią nie widziały. *Akwarium z pięknem* - pomyślał i usiadł. Kelner przyniósł mu brandy.

- Tę samą co wczoraj? Numer dwadzieścia siedem?

- Może tak, może nie.

Pewnie powinien wziąć tę samą. Miała numer zielony, znała go już i zadowalała. Byli ze sobą pięć razy. Siedziała tam, gdzie poprzednio; mała, z okrągłą buzią w obramieniu czarnych jak węgiel włosów. Cała w bieli, ze złotym plastikowym paskiem i złotym światełkiem na czole. Spojrzała na zegarek i uśmiechnęła się do szyby, jakby wiedziała, że on tam jest.

- Ty dobry - powiedziała mu wczoraj. - Dajesz dobry napitek, tak?

Wolałby, żeby nie wspominała o pieniądzach, ale przecież to był interes. Miała złote rzymskie sandały i czarne majtki z

wyhaftowanymi czerwonymi kwiatami. Wyglądała świeżo, miała rumieńce.

- Poproś numer dwadzieścia siedem - polecił kelnerowi. - I daj mi dobry pokój, jak poprzednio.

Kelner wziął mikrofon, przemówił po tajsku, a dziewczyna zabrała złotą torebkę, przyglądziła włosy i wstała. Przeszła obok posągu złotej bogini i zniknęła.

Wkrótce, uśmiechnięta, znalazła się u jego boku.

- Przychodzi pan wcześniej. *Sawadee kap.* Ja dziś szczęśliwa.

Kelner poprowadził ich do pokoju. Dziewczyna pierwsza weszła do środka. Jimmy dał kelnerowi tysiąc bahtów. Opłata obejmowała jeszcze jedną brandy, coca-colę dla dziewczyny i napiwek.

- Numer dwadzieścia siedem najlepszy w domu - powiedział kelner. - Później zadzwoni pan po dalsze drinki? - Obrócił się i zamknął za sobą drzwi, a Jimmy pozostał wyczekująco wyciągnięty na łóżku.

W rogu stała wanna na tyle duża, aby pomieścić dwie osoby. Pokój był przyjemny, ze zdjęciami amerykańskich modelek na ścianach. Dziewczyna go rozebrała, lekko pociągnęła do góry i zaprowadziła do wanny. Kiedy zanurzył się w ciepłej wodzie, spryskała go pianą, po czym też się rozebrała. Ciało miała ładne, foremne i bardzo mało włosów łonowych. Stała nad nim, gąbką pocierając mu plecy, duży brzuch, podbrzusze i ramiona.

- Teraz jest pan czysty. - Splukała pianę letnią wodą i Jimmy wyszedł z wanny. Wycierała go kilkoma ręczniczkami, najdłużej genitalia, a on odczuwał podniecenie, gdyż wiedział, co nastąpi. Chciał, żeby zawlokła go do łóżka, do siadła i kochała, to jednak zakłóciłoby normalny porządek. Popatrzyła na niego.

- Najpierw masaż. - Roześmiała się, on zresztą także, bo się niecierpliwil.

- Niegrzeczny chłopiec - stwierdziła.

Miała magiczne dłonie, palcami wędrowała po jego skórze, dotykając mięśni i nerwów, o których istnieniu zapomniał. Pożądanie przyplýwało falami, ona zaś obróciła go twarzą do materaca. Kiedy dotykała jego pleców, głowy, wszystkiego, Jimmy pławił się w morzu cichych rozkoszy. Unosił się na pograniczu snu i jawy, myślami cofając się w przeszłość. Znowu był młody i widział siebie, jak maszeruje z Derekiem, Katsumatą i starszym oficerem z powrotem do Tajlandii.

*

Byli tam wszyscy. Sierżant, pozostały przy życiu żołnierz, dwóch birmańskich partyzantów i przemytnik. Jimmy i Derek szli pod strażą partyzantów, ale właściwie już wolni, toteż atmosfera panowała swobodna. Posuwali się nie tak prędko jak w pierwszą stronę i często przystawali na odpoczynek. Katsumata, sierżant i żołnierz pilnowali starszego oficera, który przygaszony włókł nogi w zmieniającym się terenie.

- Przykro mi, że musicie wracać z nami, ale to bezpieczniejsze - powiedział porucznik Katsumata.

- Ja też nie ufam tym partyzantom - rzekł Derek.

- Pojadę z wami do Bang Saray - oświadczył porucznik Katsumata - jak tylko odstawię tego człowieka. Zrobię to w czasie urlopu, jako prywatna osoba. Zapewnię wam bezpieczeństwo. To kwestia honoru.

*

Może surowo oceniał Katsumatę - pomyślał Jimmy. Nigdy nie przyznawał Derekowi, że to człowiek honoru. Surowo oceniał Japończyka, zwłaszcza gdy opowiadał o nim wdowie po Dereku. Ale kto by uwierzył, że ich strażnik jest dżentelmenem, nieuosabiającym okropności swego munduru?

Działo się to tak dawno temu, kiedy wszyscy Japończycy byli źli, a ludzie o tym czytali i widzieli powrót innych jeńców. Jego wersję wydarzeń w Bang Saray o tyle łatwiej dawało się zrozumieć.

Dość trudno było przeżyć wojnę i spojrzeć w twarz żonie i córce Dereka. A powiedzieć im prawdę byłoby za wiele. Więc powtórzył wdowie dokładnie to, co mówił oficerowi wywiadu po dotarciu do Indii. Musiał się trzymać tej wersji. Zresztą prawda nie przywróci życia jej mężowi.

Wypłynął na niebezpieczne wody. Pełne skał i bystrzyn. Musi czymś innym zająć myśli. *Historia* - powiedział kiedyś Derek - *to opis wydarzeń widzianych oczami jednostki*. Nikt nie może kwestionować tego, co apostołowie mówią nam o Jezusie. Mogło to być kłamstwem, mogło być prawdą. W ten sposób zdecydował się to opowiedzieć narrator. Przyjmujemy oficjalną wersję dziejów, spisaną przez współczesnych i koniec. Dzieci hiszpańskie czytają o wojnie domowej widzianej oczami Franco.

Nikt nie spisuje historii porażek. To mówił sam Derek. Jimmy nie zamierza opowiadać o Bang Saray. Prawda o tym będzie zawsze prawdą Jimmy'ego, a z biegiem czasu i on zaczął w nią wierzyć.

*

Jimmy Hedges się obudził. Właściwie nie spał, tylko myślami odbiegł od tego magicznego miejsca swego obecnego pobytu. Ciało miał złane potem. Dziewczyna nakierowała na niego elektryczny wiatrak, aby go osuszyć.

- Chcesz spać? - zapytała, a on szepnął, że nie, skądże, wskazał na jej ręce i usta i delikatnie pociągnął w dół jej głowę. - Jesteś duży i tłusty - powiedziała. - Jak Budda. Lubie tłustych mężczyzn.

- Ja nie - stwierdził. Wyjął kwiat wetknięty w jej włosy. Dotykała go palcami, wilgotnymi wargami muskała piersi, brzuch, podbrzusze. W pokoju panował chłód, ale Jimmy wciąż się pocił, więc naciągnął na piersi prześcieradło. Patrzył na jej czuprynę tam w dole, czuł, co mu robi, i pokój trochę pociemniał.

Może powinien był tego popołudnia odpocząć - myślał - gdy serce zaczęło mu kołatać. Bardzo się pocił i ręką ocierał czoło, a tymczasem dziewczyna próbowała go zadowolić. Numer dwadzieścia siedem jest najlepszy w domu - powtórzyła pięć razy, zanim jej wręczył napiwek. Numer dwadzieścia siedem zamawiają przez telefon - powiedziała z dumą. Miała jakieś imię, ale go nie pamiętał. Trochę się teraz bał i odczuwał samotność.

Ogarnął go strach przed śmiercią. Zdarzało się to już przedtem; bardzo rzadko, kiedy nikogo nie było w pobliżu, a pod ręką nie miał ani kropelki brandy, którą mógłby przegnać czarne myśli.

Naprawdę się starała, lecz tam w dole nic się nie działo. Palpitacje nie są niebezpieczne, w każdej chwili grozi jednak zawał, a on się nie szanuje. Poklepał ją po plecach.

- Lubisz? - zapytała dziewczyna.

- Poproś dla mnie o brandy.

- A dla mnie o coca-cole?

- Tak, tak. Możesz mieć swoją cholerną coca-cole. Teraz każ mi przynieść brandy.

Derek nigdy brzydko się nie wyrażał, ale Derek był święty, a trzeba umrzeć, aby zostać świętym. Wszyscy święci umierają młodo, ponieważ Bóg chce ich mieć przy sobie. Bzdury. Święci umierają młodo, bo nie mają szansy się zestarzeć, nabrać rozumu i doświadczenia.

- Proszę o brandy teraz. - Choć zdawało mu się, że krzyknął,

dosłyszał tylko szept. A jeśli to zawał i umrze sam?

Nie zauważył, jak upływają minuty. Dziewczyna podniosła słuchawkę i zamówiła mu drinka, po czym się zdrzemnęła. Dobra rzecz, sen. Miał pod dostatkiem czasu. Zapłacił za dwie godziny. Iście królewska obsługa. Włącznie ze wszystkim. Obudził się.

- Chcesz się teraz kochać?

Pokręcił głową w śmiertelnym przerażeniu, o które sam się przyprawił. Uspokoił się i widocznie zasnął, a przed oczami natychmiast odżyły mu obrazy dawnej drogi do Pattaya.

Jechali tamtym starym austinem, on za kierownicą, a oprócz niego przemytnik, dwaj partyzanci, Derek Pritchard i porucznik Katsumata w cywilnym ubraniu.

- Chcę być pewny, że jesteście bezpieczni - rzekł Katsumata, podobny do golfisty. Jimmy nie wiedział, jak wtoczyli się do austina, choć przed wojną robiono je solidnie. Zastanawiał się, czy wóz nadal jest w Bangkoku. Niewykluczone, że tak. Dziewczyna dotknęła jego czoła, otarła pot. W drugiej ręce trzymała kieliszek brandy. Minę miała zatroskaną.

- Napij się - powiedziała. - Tamto zrobimy później.

Popijał z wolna, nie odczuwając pieczenia. Ból w piersi ustal, palpacje również. Co to mogło być? Jest trochę zmęczony, to wszystko. Może odrobinę odwodniony. Poprosił dziewczynę o dwie szklanki zimnej wody i szybko ją wypił.

Co za głupie przedstawienie. Ma nadwagę, ale zrzucił parę funtów w upale i ubrania wydawały się luźniejsze. Dziewczyna znów go dotykała, a jej dłonie czyniły cuda. Może dziś powinien dać z tym spokój. Wrócić jutro.

To jest miasto absolutnych rozkoszy. Jedzenie, kobiety, klimat, owoce, miłe uśmiechy na twarzach.

Co go opętało, że się doprowadza do takiego szalu? Czyż nie fantastycznie spędza czas? Pierwsza klasa od początku do końca. Dziękuję ci, Trudi.

Czy to powracający obraz Bang Saray? Ale to było dawno temu i dawno podpisał się pod własną wersją wydarzeń. Co za różnica, kto się z kim przespał przed stoma laty? Czy Dawid napisał swoją historię o Goliacie, żeby zrobić wrażenie na Izraelitach?

Będzie musiał bardzo się skupić na Bang Saray, aby ponownie złożyć z tego całość; taką, jaka była naprawdę. Nie miał co do tego pewności. Wiedział, że umarł tam Derek. Cóż, wszyscy wiedzieli, jak z tego powodu rozpaczał Katsumata. Jimmy nie mógł przecież opowiedzieć o tym wywiadowi. Kto by uwierzył, że japoński oficer będzie całymi dniami opłakiwał Anglika jak rodzzonego brata? Musiał opowiedzieć tę historię tak, jak to zrobił, w sposób dla ludzi zrozumiały.

Cóż za nonsens. Myśleć o czymś takim, kiedy dziewczyna trzy razy od niego młodsza próbuje się z nim kochać? Może to niestrawność.

- Zostaję jeszcze godzinę - powiedział. - Teraz chcę się przespać.

- Pojedź spać do hotelu.

- Zostanę tutaj. Ty możesz iść.

Brandy przeniknęła mu do mózgu i zrodziła upór. Może spędzić tu resztę popołudnia. Jeszcze sto, tysiąc bahtów. Komu na tym zależy? Cały czas pierwsza klasa. Cóż, dziś będzie musiał wrócić przed obiadem. Czeka na niego Anna.

Ponownie zakradła mu się do głowy myśl o Bang Saray. Nie śpi i będzie musiał teraz się nad tym zastanowić. Przemysleć to dokładnie. Pośpieszy się. Jest sam, więc pomyśli o tym, a później to zniknie na zawsze. Leżał na wznak, z pierśią odkrytą miękkim prześcieradłem, i wspominał.

*

Austin z godnością pokonywał drogę gruntową z Pattaya. Niektóre jej odcinki były zaledwie pasemkami wydeptanej trawy i gnoju w morzu palm kokosowych. Żadne znaki nie wskazywały, dokąd jada. Katsumata się nie wtrącał. Wziął tygodniowy urlop po dostarczeniu starszego oficera swojemu Taisho w Bangkoku.

Zachowywał się jak krewniak w czasie rodzinnej wycieczki nad morze. Jechali, aby być świadkami przekazania złotych suwerenów partyzantom, po czym wracali do Birmy, skąd *gaijin* mieli zostać odstawieni do granicy indyjskiej. Nikt nie rozmawiał o wojnie.

- Droga jest dobra dla słoni - zauważył Katsumata.

- Powinniśmy dostać ciężarówkę - rzekł Jimmy.

- Jesteście rozpaskudzonymi mieszczuchami - stwierdził birmański przemytnik. - Wiele dróg prowadzi do pałacu.

Bang Saray, choć nie pałac, było miejscem, gdzie przechowywał złote monety, zapłatę za rubiny i dostarczone przez niego amerykańskie sieci rybackie.

- Jak można dziś dostać amerykańskie sieci rybackie? - zapytał Hedges.

- To tajemnica handlowa - odparł przemytnik.

- Dlaczego trzyma pan tu tyle złota?

- Tajlandczycy nie mają przekonania do papierowych pieniędzy. Noszą złote naszyjniki i zakopują złoto w ziemi na ciężkie czasy.

- Co za spokój - powiedział Derek. - Pastelową zielen pól ryżowych cętkują pochylone nad ziemią sylwetki kobiet w czerni.

- Na Hokkaido mamy sosny, stoki narciarskie, a także wiśnie i pola ryżowe. Czasem w górach zapomina się, że to wyspa.

Podobno Hokkaido przypomina Szkocję. Chciałbym po wojnie pojechać do Szkocji.

- Możemy się wybrać wszyscy razem - rzekł Derek. - Nigdy tam nie byłem.

Jimmy przez cały czas prowadził austina, mając u boku jednego partyzanta i birmańskiego przemytnika.

- Niedługo będziemy na miejscu - oznajmił przemytnik. - Jak tylko poczujecie zapach suszonych ryb, które w tych stronach rozwieszają. Tysiące ryb suszy się na słońcu, a później dostarcza na rynek.

- Dzisiaj suszone ryby to w Japonii przysmak. Dawniej były nieodzowne. Moja rodzina ma suszarnię ryb na Hokkaido.

Minęli dużą, stojącą na uboczu świątynię, złotą pagodę wzniesioną na olbrzymich białych kolumnach pośród lasu palmowego. Kilku kapłanów owiniętych w żółte tkaniny zbierało drewno przy drodze, nisko pochylając ogolone głowy nad trawą.

- Na jakimś etapie życia każdy w Tajlandii musi być kapłanem. Goli sobie głowę jak uczeń i wędruje po kraju, żyjąc z jałmużny. Oni twierdzą, że to uczy pokory. Robią tak nawet bogacze i członkowie rodów królewskich.

- Niezły pomysł, mogliby z niego skorzystać niektórzy nasi politycy w kraju - powiedział Jimmy, a przemytnik wskazał na mały mostek i oświadczył, że są już na miejscu. Jimmy zwolnił, bo mostek trzeszczał pod kołami. Przez rzednącą ścianę drzew dojrzeli olbrzymią zatokę morską z łańcuchem gór w oddali. Pomarańczowa czasza słońca wisiała nad gładką taflą wody, w powietrzu zaś rozchodził się przyjemny zapach.

- To właśnie to - rzekł przemytnik. - Suszone ryby.

Wisiały na niezliczonych sznurach, rozciągniętych poziomo między drzewami. Wzdłuż plaży stało ze dwadzieścia domów. Długie łodzie z wysoko zadartymi dziobami spoczywały na złotym piasku.

- Oto Bang Saray.

Ze wszystkich stron nadbiegły bose, uśmiechnięte, ciemnoskóre dzieciaki.

- Rzadko widzą samochód - wyjaśnił przemytnik.

Skierował Jimmy'ego do dużego domu pośrodku wioski. Przewidując, dokąd zmierzają, dzieci pobiegły przodem, po czym zdyszane przystanąły przy jedynym we wsi płocie.

- Proszę się tu zatrzymać - polecił przemytnik.

Dom był wzniesiony na palach. Pod jego główną częścią znajdował się duży wiejski sklep, w którym wały się miotły, puszki i skrzynki, owoce i worki ryżu, naczynia i sieci rybackie.

- Nie mam pojęcia, jak on potrafi coś znaleźć - westchnął przemytnik - ale naprawdę wie, gdzie czego szukać. Nie ma przekonania do papierowych pieniędzy i wszystkie swoje zyski lokuje w takim szmelcu. To jedyny sklep na wielomilowej przestrzeni.

Stały tu beczki z suszonymi owocami i orzechami, malowane słoje z oliwą. Obok szpadli i rowerów leżały słomkowe kapelusze i sandały. Były półki z tkaninami, meble plecione z palm rotangowych i kosze.

- Prawdziwy dom towarowy - powiedział Katsumata.

- Należy do mojego współlnika - stwierdził przemytnik z dumą.

- Jak może mu pan ufać na taką odległość? - zapytał Jimmy.

- Oszukuje - odrzekł przemytnik - ale nie za bardzo, i wie, że ja wiem, więc mu ufam. Nie widzę jego ciężarówki, co

oznacza, że może będziemy musieli przenocować. Nikt inny nie wie, gdzie są suwereny.

Przemytnik ruszył w stronę domu. Obrócił się do stojącego przy samochodzie Jimmy'ego.

- Ma młodą żonę. Tego jestem pewien. Wciąż się żeni z coraz młodszymi dziewczętami, które kupuje od biednych rodziców w głębi kraju. Ilekroć tu przyjeżdżam, ma inną, ale pierwsza żona jest z nim nadal. Ona gotuje. Lepiej niż w jakimkolwiek hotelu. Bardzo jest ze mną zaprzyjaźniona. Na pewno będzie wiedziała, kiedy on wraca, bo jej ufa i zawsze mówi prawdę. Ale niestety nie o tym, gdzie trzyma złoto. Miałem kiedyś wuja, który lubił młode żony. To było w czasach mojej służby w armii brytyjskiej. Wuj dostarczył całe mnóstwo młodych ciotek mnie i siostrze, i tak samo jak mój tutejszy tajlandzki wspólnik zatrzymał pierwszą żonę, bo prowadziła mu rachunki. Zajmowała się finansową stroną interesu wuja, więc ją trzymał. Była też matką jego dzieci. No i wuj pojechał do Rangun po najnowszą żonę, a po powrocie do wsi stwierdził, że zniknęły wszystkie pieniądze wraz z moją starą ciotką. Wzięła jego złoty zegarek kieszonkowy, złote monety, banknoty i przepadła. Ponieważ w domu nie było pieniędzy, młoda dziewczyna z Rangun oczywiście uciekła z gościem, który pracował u wuja. Była moją ciotką zaledwie przez tydzień. Opowiedziałem tę historię tutejszemu wspólnikowi i może dlatego nie mówi pierwszej żonie, gdzie są monety. Wolno mu mieć więcej niż jedną żonę, bo to muzułmanin.

Katsumata i Derek wybuchnęli śmiechem. Przemytnik wszedł do domu. Po drugiej stronie zatoki, w oddali, góry zmieniały barwę w zachodzącym słońcu. Sześć czy siedem

łodzi holowanych przez jedną większą, ze starym, prychającym i przerywającym silnikiem, kierowało się w stronę horyzontu.

- Wypływają na noc - powiedział Derek. - Spójrzcie na sylwetki na wodzie.

Promienie słońca, oświetlające rybaków dokładnie od tyłu, otaczały ich łodzie i ciała złotymi aureolami.

Dwaj birmańscy partyzanci podeszli za przewodnikiem do domu. Po drodze przystanęli przed sklepem i wzięli sobie z półki parę pudełek.

- Niezłych mamy sprzymierzeńców - zauważył Jimmy. Droga do Indii wydawała się dalsza niż kiedykolwiek.

Przemytnik wrócił i oznajmił:

- Mój wspólnik będzie pojutrze. Pojechał do Bangkoku. Posłaniec ode mnie przybył za późno i już go nie zastał, ale możemy zatrzymać się w domu. Wy idźcie popływać, jeśli chcecie. Stara żona wspólnika zabije dla nas sześć kurcząt, dostaniemy też homara. Wstawiła dużo piwa do lodówki. Ja muszę przejrzeć księgi.

Po tym oświadczeniu wrócił do domu. Partyzanci zostali w sklepie, a dwaj Anglicy cofnęli się do samochodu.

- Teraz nie patrzą, wiecie - powiedział Katsumata.

- O tym samym myślałem - rzekł Jimmy. - Moglibyśmy wziąć samochód i odjechać.

Japoński oficer w milczeniu patrzył na zatokę.

- Trafia nam się okazja, Derek. Zwiewajmy.

- Porucznik Katsumata dał słowo - odparował Derek niemal z gniewem.

- Przypuszczalnie strzeli nam w plecy.

- A zaczynałem cię mieć prawie za człowieka.

- Czemu nie pójdziemy popływać? - odezwał się Katsumata. - Ale nie należy zanadto oddalać się od brzegu. W tych wodach są rekiny.

- Przemysł jest zdumiewający, prawda? - powiedział Derek. - Przypomina kogoś z bohaterów powieści Josepha Conrada.

- Kto to jest Joseph Conrad? - zapytał Katsumata.

- Był polskim marynarzem, który osiadł w Anglii i pisał powieści o morskich podróżach do egzotycznych krajów.

- Romantyk. Jak brat mojej matki, który wyemigrował do Brazylii.

Rozebrali się i pobiegli do wody. Jimmy Hedges został z tyłu. Chciał tylko napić się czegoś zimnego. Przy końcu zatoki, za górami, zachodziło słońce i Jimmy widział, jak Derek wskazuje na nie, mówiąc coś w wodzie do Katsumaty. Góry tonęły w złocie.

- Zupełnie jak scena - powiedział Derek. Jego chude, białe ciało lśniło, jakby był rybą. Napić się czegoś zimnego.

*

Zbudziła go cisza.

Widocznie ktoś wyłączył klimatyzację, zrobiło się gorąco i Jimmy poczuł pragnienie. Spojrzał na zegarek. Siódma. Był w pokoju sam. Zrzucił przykrycie, wstał i zaczął wkładać ubranie. Z Anną jest umówiony za półtorej godziny. Może się napić w hotelu zimnego piwa czy czegoś innego. Pragnienie musiało mu dokuczać od dawna, ale nie pamiętał, od kiedy. Będzie się rozkoszować piwem w pokoju hotelowym. Wyszedł na ulicę, do czekającego samochodu. Sen dobrze mu zrobił.

Podrzemał jeszcze trochę w korkach ulicznych. Podczas obiadu może opowiedzieć Annie o birmańskim przemysłniku. Nie. Nie może. Historyjka jest zabawna, ale po tym, jak im opisał Bang Saray nie może. Bang Saray było bolesnym, złym doświadczeniem. Ona będzie miała za sobą dzień pełen

własnych przeżyć. Bezpiecznie ukrył Bang Saray w pamięci. Dojazd do hotelu zajmie pół godziny. Usnął.

32.

Musiał mieć źle w głowie, że się na to zgodził, przyparła go jednak do muru. Siedziała naprzeciw niego przy stoliku, z oczami roziskrzonymi w drżącym blasku świecy. Drogimi, inteligentnymi, pięknymi i poważnymi oczami. Natarła na niego ostro i wzrok miała stanowczy.

- Mam do tego prawo - powiedziała. - Chcę pojechać do Bang Saray. Muszę tam pojechać.

- Tak naprawdę nie chcesz jechać - odparł świadomy, że to bezcelowe. Wyrosła na kobietę o silnej woli, całkiem niepodobną do pełnej zahamowań dziewczyny, którą była kiedyś. Derekowi by się nie podobała.

- Jadę do Bang Saray. Z tobą czy bez ciebie.

Wreszcie się zgodził.

Teraz jechali nową drogą do Pattaya jego wynajętą limuzyną. Anna nie zamierzała pytać raz jeszcze, jak umarł jej ojciec. Chciała tylko zobaczyć to miejsce. Gdzie stał dom, gdzie był wiejski sklep i plaża, gdzie pływał jej ojciec w dniu śmierci. I gdzie się znajdowała klatka do transportu towarów, w której kazano mu spać. Gdzie zniósł ostateczne upokorzenie od porucznika Katsumaty.

Wystarczająco dobrze wszystko zapamiętała. Nie ma potrzeby słuchać ponownie tego i reakcji matki. Tych okrzyków

Dios mio, ilekroć Jimmy opisywał jakieś szczególne okropieństwo. A jednak matka nalegała, pytała, chciała słuchać od nowa o biciu Dereka. O jego cierpieniach. A Jimmy zawsze spełniał jej życzenie, opowiadał o Bang Saray, szczególnie po szczególe.

Antonia płakała słysząc o ostatnim *adiós* Dereka w Bang Saray. *Adiós*, powiedział po hiszpańsku. *Musiał myśleć o mnie* - powtarzała bez końca.

Anna słyszała całą tę historię i na pewno się na nią uodporniła. Nie. Nie całą. Nie każe mu do tego wracać.

Krajobraz mało się zmienił. Tylko Bangkok sięgał teraz dalej niż przed trzydziestu trzema laty, kiedy Jimmy jechał austinem do Pattaya. Droga, wyasfaltowana, szersza, miejscami zamieniała się w dwupasmową autostradę. Obecne mosty były ze stali i betonu, a ruch na szosie panował większy. Mijali te same bezkresne pola ryżowe, świątynie i plantacje palm kokosowych. Ci sami sprzedawcy krabów wyciągali swój towar z rojowiska nóg, oczu i szczypiec. Na rzekach barkasy miały teraz japońskie silniki diesla. Wyładowane owocami, towarami i ludźmi mknęły po wodzie. Zniknęły wiosła, zastąpione przez długie, giętkie osie ze śrubami na rufie.

Przed laty na tym samym odcinku drogi przemytnik żartował z Katsumatą, który żartował z Derekiem. Nikt nie odzywał się do Jimmy'ego. Wspominał to uczucie wyobcowania, gdy limuzyna w pędzie mijała reklamy. Toyota, BMW, Johnnie Walker, Sony. Tym razem jednak go nie ignorowano. Anna zadawała pytania i chłonęła każde jego słowo.

Może potrafiłyby udawać, że śpi. Mógłby odgrzebać twarze z Bang Saray, odświeżyć je w pamięci, a następnie zepchnąć w czeluść, gdzie jest ich miejsce. Muszą pozostać w ukryciu,

dopóki nie wróci na miejsce wszystkich tamtych wydarzeń, nie oglądając żadnych szkodliwych widziadeł.

Od czego zacząć? Jak? Czy zamknąć oczy i wyobrazić sobie, jak wtedy siedział sam nad piwem, podczas gdy tamci bawili się w morzu niczym dzieciaki? Czemu się nie oczyścić? Często myślał, że powie Toni, zawsze jednak był to przelotny impuls i mijał po wypiciu pierwszych kropli brandy, którą go częstowała po lunchu. Teraz, gdy Anna zobaczy to miejsce na własne oczy, może nigdy więcej nie zechcą o tym mówić. Robi z igły widły. Derek umarł, jego rodzina żyje. Wielu zginęło na wojnie.

Ale nie tak.

Minęli Chon Buri i przebyli już połowę drogi do Pattaya i lunchu. Do Bang Saray zawiezie ją dopiero jutro. W Pattaya zatrzymają się w hotelu Royal Cliff i wieczorem weźmie ją na deptak. Podobno jest modny, kipiący życiem, pełen kobiet, muzyki, knajpek i świateł. Obmyśli coś w nocy. W tej chwili zmęczenie nie pozwala mu nawet udawać. Nie należało pić tego piwa. Samochód poruszał się ze stałą, nudną, usypiającą prędkością. Jimmy'emu zaczęły się kleić powieki i ziewnął.

Anna patrzyła na jego obrzmiałą twarz, obserwowała duże, krzepkie dłonie i piegi na ramionach. Włosy Jimmy'ego zachowały ryżawy odcień, choć właściwie osiwiiał. Sprawiał wrażenie starego i znużonego, choć w widoczny sposób silnego. Wydawał się spokojny i nie chrapał. Ręce opuścił na kolana, a jego duży brzuch unosił się, gdy oddychał. W ubraniu safari, z krótkimi rękawami, wyglądał niemal na żołnierza, tyle że w klapie miał goździk.

Zbliżali się do wzgórz. Kraj był taki piękny. Ludzie, domy i kwiaty, wszystko jarzyło się w słońcu od barw. Odcienie

zieleni i błękitu, czerwieni i różu, kobierzec fluoryzujących farb. Anna mogła tu kupić każdą z widzianych torebek z krokodylowej skóry, a ceny biżuterii były o połowę niższe niż w Londynie czy Tokio. Jimmy mówił prawdę o jedzeniu. Będzie musiała się pilnować, bo inaczej nie zmieści się w żadną sukienkę. Yoshiro powiedział kiedyś, że lubi jej tłuszczyk.

Nie powinna myśleć o nim w drodze do Bang Saray. Nie. Tak. To nieprzyzwoite, ale myśli. Przypomina go bezradna postać śpiącego obok mężczyzny. Jak łatwo wodzić mężczyzn na pasku.

Wszystkich mężczyzn.

Yoshiro mówił, jak bardzo pragnął, aby byli dwojgiem innych ludzi. Prosił, aby pamiętała szczęśliwe godziny. Jego głos miał w sobie coś nieodwołalnego, kiedy to powiedział. Szkoda zmarnowanego życia, a jednak spotkała ją krzywda, z czym Yoshiro się pogodził. Tradycja.

Jakie czeka ją życie począwszy od tej chwili? Czy się uspokoi, może nawet zdecyduje na dzieci? Tak czy owak będzie decydować o sobie. Za polami ryżowymi i palmami dostrzegła niebieską kreskę morza. Ciągnęło się milami aż po horyzont i zapraszało. Rozbierz się. Wbiegnij przez przybrzeżne fale do wody.

Znów świątynie, wielkie białe kolumny, a na nich złote pagody. Dwaj policjanci pytali o coś przestraszonego motorzystę. Jeden zasalutował jej, gdy przejeżdżali. Przyglądała włosy. Próżność. Kierowca zaproponował jej butelkę coca-coli. Rotary Club wita w Pattaya. Dwadzieścia kilometrów.

Gęsty żywopłot kokosowy zasłaniał wodę. Migąła tylko od czasu do czasu. Wszystko to przypominało broszurę, którą pewnego wieczora przyniósł do domu Jonathan. Barbados.

Nie pojechali, bo kupili nowe meble. Jonathan nie miał z tym miejscem nic wspólnego. Należało wyłącznie do niej. Należało. Nigdy tu nie wróci. Powinna myśleć o budowaniu na nowo swego życia, które się ześrodkuje wokół niej i jej męża, a nie matczynej obsesji. Wkrótce hiszpańska wojna domowa naprawdę skończy się dla jej matki. Wtedy nie trzeba już będzie żyć nienawiścią.

Po co właściwie jedzie do Bang Saray? Zawsze sądziła, że chce zobaczyć to miejsce, ale czy istotnie tak było? To matka chciała, aby je zobaczyła. Manipulowano nią zbyt długo.

Yoshiro Katsumata otworzył jej oczy. Pojawiła się w jego życiu popychana przez kogoś innego, lecz teraz jest wolna. Wyruszyła dla matki na koniec świata. Mężczyzna zmarły w Bang Saray był mężem matki. Anna ma własnego i nauczy się należeć do niego. Lepiej; ma siebie i nauczy się lubić siebie samą.

Yoshiro miał rację. Spróbuje pamiętać dobre chwile. Było ich dużo. Spróbuje być córką kogoś innego, która wybiera się nad morze w egzotycznym kraju. Czy kochała ojca? Matka mówiła, że tak, lecz Anna sobie nie przypomina.

Jak śmie tak myśleć! Oczywiście, że kochała ojca. Czyż nie słuchała jego piosenek, jego zapomnianego głosu? Melodramat. Bzdura. W rzeczywistości nie pamiętała tego wszystkiego, było jednak zbyt dawne, zbyt zakorzenione. Została zaprogramowana. Czy może znów przeciąć pępowinę, tak jak wtedy, kiedy trwało tamto z Yoshiro? To było jej własnością, z nikim się tym nie podzieli.

Wjeżdżali do miasta. Pattaya, z dumą powiedział kierowca. Jimmy Hedges się obudził i wyjrzał przez okno. Chciał jej pokazać, gdzie wyszli na ląd po przybyciu z Singapuru.

- Trudno to miejsce odnaleźć - rzekł. - Dawniej był tu gdzieś na plaży drewniany ponton. Trudno zgadnąć gdzie. Przypuszczalnie tam, gdzie dzisiaj jest port. Wtedy nie było tu prawie żadnych budynków. Nic wyższego, najwyżej dwupiętrowe.

Wskazał na hotele wzdłuż plaży. Same nowe. Upłynęło z górą trzydzieści lat i nigdy by nie uwierzył, że to ta sama miejscowość. Spojrzał na Annę. Czy miał poważne, może trochę smutne.

- Żałuję, że nie jestem kimś innym. Człowiekiem bez przeszłości, który przybywa tu po raz pierwszy. Żadnych związków. Niczego. Żadnych myśli o tym, jak było. Żadnych wspomnień, nawet dobrych. Nic. Ty tego nie zrozumiesz.

Czyżby? Czy on potrafi czytać w jej myślach? Nigdy jeszcze nie słyszała go mówiącego w ten sposób. Głos jego brzmiał cicho, oczy spoglądały z melancholią. Powinna położyć mu dłoń na ramieniu, pocieszyć go, ale właśnie wtedy powiedział: - Dziś wieczór się zabawimy. Podobno w tym mieście można zaszaleć. - Magiczna chwila minęła. Koło fortuny.

Muzyka i syfilis. Słyszała o wycieczkach na dziewczynki. Widocznie Jimmy miał zły moment, ale znów jest dawnym sobą. Łatwiej postępować ze znajomym, folgującym sobie starym lubieżnikiem.

On musi dalej się zgrywać. Ona nie zauważy. On musi zamknąć się gdzieś na klucz. Mimo pozorów przestawał nad sobą panować. Spojrzał na Annę z uśmiechem. Nie zauważyła. Patrzyła na plażę. Surfingowcy i narciarze wodni, nibyżeglarze i kąpielowicze wystawiali swoje europejskie skóry na działanie słońca. Były smaźalnie kurcząt, sprzedawcy mleka kokosowego, góry owoców i trykotowych koszulek. Wszystko na sprzedaż. Kolby kukurydzy i kawony, małe,

suszone ryby i słomkowe kapelusze, hamaki i latawce. Kolory, kolory i jeszcze raz kolory. Zapragnęła się tam znaleźć.

- Wysadź mnie tutaj - powiedziała. - Ty pojedź do hotelu. Wezmę taksówkę albo dojadę., jakoś inaczej.

Jimmy ledwie oddychał. Opanuj się.

- Przyślę po ciebie samochód - zdołał wykrztusić. Jest Bóg, a ten Bóg go kocha. Przywiódł go aż tak daleko.

- Kierowca wróci i zaczeka na ciebie dokładnie w tym miejscu. Ja pojedę, wezmę pokój, odpocznę. Zobaczymy się w holu o ósmej.

Wyskoczyła na chodnik, pomachała mu i zniknęła wraz z powiewem wiatru.

Jimmy opadł na siedzenie. Znowu się pocił, a jego serce kołatało jak szalone. Łóżko. Pojedyncze łóżko w chłodnym pokoju. Wiedział, co ma teraz robić. Ale musi to zrobić sam. Lepiej późno niż wcale. Jest Bóg.

Nie pamiętał, jak przebrnął przez procedurę meldowania się w hotelu. W pokoju chłopiec postawił jego walizki, odsłonił okna, aby pokazać morze, i czekał. Dostał banknot dwudziestobahtowy, podziękował z uśmiechem, po czym życzył Jimmy'emu miłego dnia.

Nareszcie poznał odpowiedź. Spisze wszystko. Prawdę. Tak, proszę pana.

Usiadł przy biurku i policzył kartki papieru. Było ich dwanaście, cienkich, lotniczych. Spisze wszystko. Ona może nigdy tego nie zobaczyć. Może to minie. Nie celował w pisanii listów. Zazwyczaj mówił to, co myślał, ale teraz sprawa przedstawia się inaczej. Wyciąga trzydziestoletnie brudy spod łóżka.

Da upust myślom, żeby nie rozsadziły mu głowy. Przeleje to na papier. Błąd? Nie, nie błąd. Nikt tego nie przeczyta. Po

to tu przyjechał? Ale było późno, już za późno. Miał do zrobienia dwie rzeczy.

Pierwszą kartkę zaadresował do swoich doradców prawnych. Stwierdził w niej, że jest w pełni władz umysłowych i fizycznych i chce, aby to był jego testament. Swojej recepcjonistce zapisuje dwadzieścia tysięcy funtów i spłaca kredyt zaciągnięty na mieszkanie. Trudi, właścicielce agencji podróży, zapisuje trzydzieści tysięcy funtów i nowy samochód, a resztę swego majątku Annie Bellingham, córce Dereka Pritcharda i jego żony Antonii. Mąż Anny, Jonathan Bellingham, ma być wykonawcą tej ostatniej woli.

Testament, ostateczny i nieodwołalny, podpisali w charakterze świadków kierownik hotelu wraz ze swym zastępcą.

Po ich odejściu Jimmy zakleił kopertę i zadzwonił do recepcji z prośbą o przysłanie gońca hotelowego. Wręczył mu przy drzwiach kopertę i banknot stu bahtowy. - Polecony - powiedział. List ma odejść do Londynu dziś po południu. Nie wiem, ile to kosztuje, ale możesz sobie zatrzymać resztę. Zostaw pokwitowanie na dole, w mojej przegródce na klucz. Nie życzę sobie, aby mi przeszkadzano. Dał chłopcu drugą setkę. Dopilnuj wysłania listu, mój chłopcze. Wyślij go sam. Gонец powiedział, że zaraz idzie do śródmieścia na pocztę. Doktor Hedges może być spokojny. List będzie w drodze w ciągu godziny. Gонец zniknął życząc Jimmy'emu przyjemnego dnia. Była druga po południu. Jimmy zadzwonił do telefonistki. Chce odpocząć. Czy na pewno go obudzi o siódmej trzydzieści wieczorem? Oczywiście, że tak. Miłego dnia. Jimmy usiadł przy biurku i wpatrywał się w kartkę.

U góry napisał datę.

Droga Anno - zaczął. - Może Cię to zdziwi. Zdziwi na pewno. Tę rozmowę powinniśmy odbyć przed laty. Więc usiądź wygodnie, zapal papierosa i czytaj. Wybacz te bagzory. Przywykłem pisać krótko. Recepty i pocztówki, historie chorób. Do wiadomości innych przedstawicieli mego znakomitego zawodu. Piszę do Ciebie jako przyjaciel. A także jako ktoś, kto okłamywał Ciebie i Twoją matkę. Nie wiem, dlaczego to robiłem. Może ze strachu. Może ze wstydu. Może chciałem zapomnieć, co się wydarzyło.

Słowa spływały z długopisu na papier. Tworzyły linijki, a linijki przesuwały się ku dołowi stronicy. Jimmy nie przerywał pisania, aby się namyślić czy poprawić błąd ortograficzny. Nie zawsze używał poprawnych form czasownika, ale w miarę jak zapełniał kartki, ustawały palpacje, wysychał pot, jemu zaś robiło się chłodniej.

O czwartej trzydzieści po południu Jimmy Hedges podpisał się u dołu dziesiątej strony. Zaraz pod ostatnią linijką. Pióro stało się częścią jego ręki. Szóstym palcem. Wstał. Popatrzył na morze. Stara dżonka zmagala się z wiatrem. Płynęła na Wyspę Koralową. Jimmy był spokojny i oszołomiony. Rano mogą się wybrać na Wyspę Koralową, nurkować, pływać, leżeć na słońcu i gadać głupstwa. Opadło napięcie. Może ją zabrać do Bang Saray. Może kosztować miejscowe przysmaki, zakraść się do dziwnej łaźni parowej i na masaż. Ona nieprędko przeczyta ten list. Zakleił kopertę i napisał na niej coś, co miało zwrócić uwagę Anny. Podkreślił słowa: „otworzyć w razie mojej śmierci”. Nie ma powodu do obaw. Teraz może się przespać. Ma trzy godziny na odzyskanie sił. Może mimo wszystko pomysł powrotu był dobry. Nie potrzebuje

już brandy. Będzie spać jak dziecko. Wyśle Trudi pocztówkę. Zasłużyła na to. Może kupi jej jakiś prezencik. W tym kraju mają dobrą biżuterię. Ktoś mu to mówił. Anna? Może porucznik Katsumata. Nie pamiętał.

Tak dobrze nie czuł się od lat.

Zasłonił okna i leżał po ciemku.

- No - powiedział na głos - chodźcie tu wszyscy. Teraz możecie do mnie mówić. Przeżyłem was, dobrze się miałem i jeszcze raz tu zajrzałem. Przyznałem się. Nic nam już nie grozi. To znów dawny Hedges. Odludek z Cambridge. No, mówcie, chłopcy.

Powieki mu się kleiły i zobaczył ojca. Wyglądał jak Jonathan Bellingham, ale znacznie starzej. Mówił nawet jak Jonathan, tyle że Jimmy go nie słyszał. Mógł mówić, co mu się podoba. Wszyscy mogli siedzieć w kącie pokoju, gadać i plotkować. Tego popołudnia królował Jimmy. O nim mówili. Był ważny. Przeżył ich wszystkich i wszystkich zaskoczył, a to jeszcze nie koniec. Śpi. Mogą mówić tak głośno, jak zechcą. Jemu nic nie zakłóci spokoju. Wszystko to spłacił.

Nie widział ich po ciemku i we śnie, a właściwie też nie słyszał, wiedział jednak, że są. Derek, Katsumata, przemytnik, jego recepcjonistka, Trudi i Kung Chi. Połączenie przeszłości z teraźniejszością. Czul się z nimi pogodzony. Opuścił go gniew, niepokój i strach. Doznawał wielkiej ulgi. Czoło, duszę i system nerwowy miał czyste i gładkie, był niewinny jak dziecko. Potem głosy się oddaliły, jakby ktoś wszystkich ich zabrał.

Ciemno

Był doświadczonym kierowcą. Pracował z *farang* od lat. Wiedział, kiedy do nich mówić, kiedy milczeć. Poznawał po wyrazie ich twarzy, czego chcą i jak to zaproponować. Ta *farang* na tylnym siedzeniu przeżyła szok. *Farang* źle znoszą śmierć. Nie akceptują jej jak Tajlandczycy.

Mógł być jej powiedzieć, że tusty doktor umrze. Nie nastąpiło to niespodziewanie. Miał zły kolor skóry, małe oczy i z trudem oddychał. A na marginesie, co taką ładną *farang* łączyło ze starym tłuszciochem? Ale kierowca nie robił uwag, bo nikt go o to nie prosił, i bacznie wpatrywał się w drogę. Tylko czasami, kiedy czytała swoje papiery i tego nie widziała, mógł zerknąć na nią i podziwiać jej urodę. Była blada, wysoka, o pełnych wargach i długich włosach, a choć miała na głowie dużą chustkę, i tak dostrzegał ich rudawy odcień. Wiedział, że z tłuszciochem jest źle, już tydzień temu, kiedy odebrał go z lotniska. Pod skórą tego człowieka czaiła się śmierć, a mimo to codziennie odwiedzał salon masażu. Zaprzyjaźniony z kierowcą szef tego zakładu mówił, że gościowi wpadł w oko numer dwadzieścia siedem. Widocznie dziewczyna pozbawiła go tych resztek życia, jakie się w nim tliło. Musiał być pożądanym mężczyzną, bo teraz miał ze sobą tę piękną *farang*. To niewątpliwie jego kochanka, a na pewno było w nim coś dobrego, skoro jest taka wstrząśnięta.

Tłuszcioch odnosił się do niego życzliwie i zawsze dawał sute napiwki. Umożliwiał mu wczesne powroty do domu i pobieranie dodatkowego wynagrodzenia za pośrednictwo. Salony masażu i krawcy, których odwiedzał tłuszcioch, byli hojni.

Kierowca się cieszył, że ciało tłuściocha odesłano do Bangkoku karetką. Jako człowiek doświadczony, wierzący w duchy, wiedział, że nieboszczyk w samochodzie to zły omen. Nie mógłby odmówić odwiezienia zwłok tłustego *farang* do Bangkoku własnym samochodem, gdyby go o to poproszono.

Cóż, nic nie straci, ponieważ pieniądze dostał z góry i teraz może korzystać z limuzyny, dopóki firma nie dowie się o śmierci klienta. Będzie mógł kupić tę lodówkę, o którą żona wierci mu dziurę w brzuchu, albo mały japoński moped dla syna. A jednak cieszył się, że nie musi wieźć ciała samochodem.

Farang zachowywała się spokojnie. Całkiem inaczej niż w tamtą stronę. Wtedy się entuzjazmowała, dużo mówiła, a na widok plaży zaraz wyskoczyła z samochodu. Włosy miała jeszcze wilgotne, kiedy po nią wrócił, ale rozumiał. Była znacznie młodsza niż zmarły. Pewnie płacił za nią wszystkie rachunki, a kierowca doskonale wiedział, jak trudne potrafi być życie dla młodej kobiety zdanej na własne siły. *Ładna dziewczyna* - myślał. Cóż za marnotrawstwo ze strony zmarłego tyle czasu i pieniędzy trwonić w salonach masażu. Choć to numer dwadzieścia siedem go zabawiał, powinien zadawać się ze swoimi.

Ale kierowca zachowywał te spostrzeżenia przy sobie. Znany był z dyskrecji i ciężko zapracował na tę reputację.

Wydostawali się z Pattaya, mijali dużą świątynię i wyjeżdżali na główną szosę do Bangkoku. Anna zapaliła kolejnego papierosa, nie przyjęła drugiej coca-coli i zabrała się do czytania listu Jimmy'ego. Nadal nie potrafiła uwierzyć w to, co się stało zeszłego wieczora. Jimmy nie żyje? Wydawało się to niemożliwe.

Kiedy nie pojawił się w holu, aby z nią pójść na obiad, spróbowała zadzwonić do jego pokoju. Recepcjonistka powiedziała, że go tam nie ma, bo kazał się obudzić o siódmej trzydzieści, a nie odebrał telefonu. Pewnie wyszedł do miasta. Ludzie czasami tak robią; nie powiadamiają, że już nie śpią, i często zabierają ze sobą klucze, choć są proszeni o ich zostawianie.

Anna sama zjadła obiad w kawiarni i przesiedziała tam do dziesiątej. Jimmy się nie pokazał, więc wreszcie wezwała dyżurnego kierownika. To on wszedł do pokoju i znalazł doktora Hedgesa w stanie śpiączki. Jimmy zmarł na parę minut przed przyjazdem karetki. Recepcjonistka powinna kogoś zaalarmować, gdy nie odpowiedział na telefon o siódmej trzydzieści, wrzasnęła Anna. To mogło uratować mu życie. Dyżurny kierownik zapewnił, że wyleje dziewczynę, ale to nie wskrzesi Jimmy'ego.

Tego dnia rano, kiedy się wymeldowywała, kierownik wręczył jej paszport Jimmy'ego i list zaadresowany do niej, który znaleziono w pokoju zmarłego, więc teraz, na głównej szosie do Bangkoku, wzięła go i zaczęła czytać.

Czy byłaś kiedyś samotna? Dla obserwatora z zewnątrz jestem nadęty, pewny siebie i śmiały. Wydaję się przekonany o własnym znaczeniu, a mimo to jestem samotnikiem. Nie urodziłem się nim, Anno. Oddałbym prawą rękę za to, żeby w latach trzydziestych dostrzegła mnie i uznawała za szalenie ważną grupę snobów z Cambridge. Zadośćuczynienie za brak uwagi zacząłem znajdować w jedzeniu. Szukałem go w winie, w kobietach i podnoszeniu głosu. Byłem zabawny, próbowałem być hojny, lecz ludzie brali to, co im dawałem, i odchodzili.

Nauczyłem się grać jowialnego Jimmy'ego Hedgesa. Wesółka uwielbianego przez pacjentów. Z wiekiem może się nim i stałem. Udoskonaliłem go i często uważam za prawdziwego siebie, dopóki nie zdarzy się coś, co mi przypomni, kim jestem: wyrzutkiem społecznym. Trędotatym. Kimś, z kim ludzie wypijają drinka, a potem odchodzą, nie wymieniając numerów telefonów.

Byłem mile widziany w domu Twojej matki. Jadłem tam, piłem i wkradłem się w Wasze życie. Siedziałem na krześle Dereka, przy jego stole, jadłem z jego talerzy. Spędziłem z jego rodziną więcej godzin niż on sam, a przez cały ten czas Twoja matka uważała mnie za jego przyjaciela. Za człowieka, z którym Twój ojciec miał, och, takie szczęście spędzić ostatnie tygodnie życia.

Nie byłem przyjacielem Twojego ojca, Anno, nienawidziłem go. Pogardzałem nim. Brzydziłem się wszystkim, co sobą przedstawiał. Uważałem go za przyczynę moich utrapień. I o tym nie wiedział. W swoim bezmiernym zarozumiałstwie nie dostrzegął, jak złości mnie sama jego obecność.

Kiedy się poznaliśmy, ja byłem w Cambridge dłużej niż on, a mimo to jednego wieczora pozbawił mnie całego uznania, na które tak długo pracowałem. Dopóki się nie pojawił, potrafiłem się nie dawać w czasie debat związkowych. Moje poglądy mogły nie być popularne, ale mnie słuchano, bo rozśmieszałem ludzi.

Chyba nawet nie pamiętał tego wieczora, kiedy mnie zniszczył. Była to tylko jedna kartka w księdze jego sukcesów.

Dyskutowano o możliwościach stwarzanych brytyjskim klasom pracującym. Studia medyczne wymagają dużego wysiłku. Nie można przesiadywać w pubach czy kawiarniach ani leniuchować nad rzeką. Nie można czytać tylu gazet ani śledzić najnowszych prądów literackich. Może nie byłem przygotowany. Z pewnością nie miałem tego wygłodniałego wyrazu twarzy.

Wtedy wieczorem siedziała na sali dziewczyna. Studiowała prawo i parę razy umawiała się ze mną. Po debacie mieliśmy pójść na drinka.

Zabrałem głos i powiedziałem swoje. Dostałem brawa, a przyszła prawniczka puchła z dumy. Scena była dla mnie przygotowana. Tego wieczora niejedno mogło się zdarzyć. Rozumiesz, ona uważała mnie za nudziarza. Mawiała, że mnie interesuje wyłącznie sekcja zwłok i książki medyczne, o świecie zaś nie wiem nic.

Tego wieczora puchła z dumy. Ale wtedy na scenę i w moje życie wdarł się Derek Pritchard.

Wstał i przemówił. Nie powtórzę jego słów. Powiem Ci tylko, jak podziały na słuchaczy. Mówił cicho, lecz jego głos miał w sobie urok, przekonanie, rytm i siłę. Spojrzałem na twarz dziewczyny. Płonęła. Jego wypowiedź stała się dla niej latającym dywanem, na którym mogła poszybować w górę. Ja już nie istniałem.

Na sali panowała grobowa cisza, wszyscy chciwie chłonili jego słowa, miny mieli spragnione. Brał każde moje słowo i ciął na kawałki. Zamienił w popiół moje argumenty i zepchnął mnie do kąta zarezerwowanego dla zapomnianych bankrutów. Nadzianych bankrutów. Tak mnie nazwał. Moja wypowiedź - twierdził - nie ma najmniejszego znaczenia, jest absolutnie głupia, powinna zostać puszczona

mimo uszu i zapomniana.

Następnie zaczął mówić o Hiszpanii. Że wzywa. Że potrzebuje pomocy wszystkich miłujących wolność mężczyzn i kobiet. Że demokracja musi zwyciężyć. Że zbrodnią przeciwko ludzkości byłoby tam nie pojechać.

Studentkę prawa zahipnotyzował podobnie jak innych. Swoim cichym, dźwięcznym głosem wzniecał płomienie. Nie mogłem już tego znieść i wyszedłem. Stałem na zimnie czekając na nią.

Później spytała, dlaczego wyszedłem. Czy nie mam odwagi stawić czoła celniejszym argumentom? Czy jestem zbyt zarozumiały i źle wychowany, aby ignorować cywilizowaną opinię sprzeczną z moimi poglądami? Tego wieczora ujrzała mnie w prawdziwym świetle. Powiedziała, żebym nie prosił, nie płaszczył się, nie poniżał jej błaganiami. Robiłem jedno, drugie i trzecie.

Widywałem ich razem, ją i Dereka. Chodzili ze sobą za ledwie parę miesięcy. Mnie wcale nie pamiętał. Któregoś niedzielnego popołudnia poznała mnie z nim nad rzeką. „Miło mi, Hedges”, powiedział i dodał, że nazywa się Pritchard.

Widziałem, że ona niewiele dla niego znaczy. Zbyt pochłaniał go własny świat. Ponownie zobaczyłem go dopiero na tydzień przed jego wyjazdem do Hiszpanii. Wpadłem na niego na londyńskim Strandzie.

„To ty, Hedges - powiedział. - Nie dołączysz do nas w Hiszpanii?”

Odparłem, że odbywam staż w klinice, i dorzuciłem, że tę wojnę uważam za głupią. Stwierdził, że musi lecieć, i zniknął. Tego dnia nie znaczyłem tyle co pies. On wraz z bogami

wyruszał do Hiszpanii, ja byłem drobnomieszczańskim mętem.

Wojna hiszpańska zaczęła się i skończyła. Nie zobaczyłem więcej jego ani dziewczyny.

I wtedy wybuchła druga wojna światowa. Ledwie zrobiłem dyplom. Mundur i stopień oficerski pozwoliły mi uszczknąć nieco chwały. Dobrze sobie radziłem, dopóki nie zaokrętowano mnie do Singapuru. Miałem tam dołączyć do pułku, lecz miasto skapitulowało, zanim go dogoniłem. Tam właśnie spotkałem Twojego ojca. Zdążył się już ożenić i spłodzić Ciebie.

Z biegiem lat przestałem Cię z nim łączyć. Jesteś zupełnie inna. Nie bardzo byś go lubiła, Anno.

Wcale mnie nie pamiętał. Zapomniał, jak się nazywam. Pamiętał jedynie, że nie pojechałem do Hiszpanii.

To spotkanie było dla mnie katastrofalne. Pewność siebie, jakiej zdołałem nabrać, życie, jakie sobie zbudowałem, wszystko to diabli wzięli, z chwilą gdy zrozumiałem, że będziemy razem do końca wojny.

Właściwie on na swój protekcyjny sposób próbował się ze mną zaprzyjaźnić. Wiedziałem, że mnie zaćmi i znów zrobi ze mnie zero.

Nawet tam, w barze, gdzie próbowaliśmy się upić, wydał parę ostatnich funtów na cholerną papugę, którą kupił od barmana z zamiarem wypuszczenia na wolność. Świat walił się wokół nas. Mieliśmy pójść do niewoli, ale Twój ojciec pilnie pouczał barmana, ptaka i mnie o wolności.

Teraz znasz już prawie całą historię, ale nie powiedziałem Ci, że Twój ojciec dosłownie oczarował porucznika

Katsumatę swoją hiszpańszczyzną i elokwencją. Zawładnął nim, zmonopolizował go, a mnie pozostawił na lodzie.

Przypuszczam, że Katsumata istotnie był przyzwoitym facetem. Nie tym bezlitosnym mordercą, jakim go zrobiłem. Niewiele miał cech żołnierza, lecz przez sam fakt swego istnienia umożliwił mi zbudowanie sobie potem nowej przeszłości. Któż się miał dowiedzieć?

Przez cały czas wspólnie spędzony w celi, na łodzi i jeszcze później Twój ojciec traktował mnie z góry. Zgrywał się na męczennika. Mnie oddawał to, czego nie mógł zjeść. Kazał mi się czuć niczym.

Twierdził, że tłumaczy każde słowo Katsumaty, ale wiem, że często rozmawiali o mnie. W rezultacie Katsumata zaczął mną gardzić. Nie jako wrogiem. Gorzej. Gardził mną jako człowiekiem.

Twój ojciec nie popuszczał nawet wtedy, kiedy podobno mieliśmy się zabawić. Kiedy Katsumata wystraszył dla nas kobiety w Hotelu Orientalnym, gadał i gadał, zatrzymywał nas przy stoliku, bo wiedział, że chcę wrócić do pokoju. Kiedy wreszcie się tam znaleźliśmy, zostawił mnie z dwiema kobietami, a sam godzinami siedział w łazience. W końcu poczułem się taki sfrustrowany, że zrobiłem to z jedną na oczach drugiej.

W Bang Saray traktowano nas dobrze. Nałgałem o tym. Jak mógłbym zrobić z Katsumaty czarny charakter, a potem powiedzieć, że w Bang Saray to był piknik? A był. Tak smacznego jedzenia w życiu nie kosztowałem, piliśmy niemieckie piwo i francuską brandy, a przez cały ten czas

Derek z Katsumatą spacerowali, pływali, bawili się na plaży jak dzieci. Wyglądali na zakochanych. Byli nierozłączni.

Jedyną skazę w tym sielankowym obrazie stanowili dwaj birmańscy partyzanci. Krępy drań dobrze wybrał ludzi. Te dwa olbrzymy włóczyły się po wsi i napastowały miejscowe kobiety. Nawet dzieci przestawały się uśmiechać, kiedy ci dwaj wałęsali się i poszturchiwali nawzajem. Lubili wbijać swoje długie noże w pnie palm albo w sieci rybackie i nikt nie spał spokojnie, dopóki oni się nie położyli. Jeden z nich poczuł wyraźną antypatię do Twojego ojca. Zwykł grozić mu nożem i chyba lubił go poniżać.

Mam nadzieję, że nie przeczytasz tego jeszcze przez wiele lat. Że zobaczę, jak farbujesz włosy. Że będę nadal potrzebny. Mam nadzieję, że te kartki zostaną spalone. Samo spisanie tego wszystkiego, a później zniszczenie mogłoby mi pomóc.

Bang Saray.

Tło było chyba bardzo ładne. Sama zobaczysz. Taki pocztówkowy widok gór, morza, palm i wzdłuż brzegu drewnianych domów na palach. Zobaczysz to miejsce, ale kiedy Ci je pokażę, nadal będę żył kłamstwem. Twój ojciec mawiał, że prawda niewiele znaczy. Liczy się ostateczny rezultat.

Bang Saray. Kłopot polegał na tym, że wcale nie musieliśmy tam być. Mogliśmy odzyskać wolność. Twój ojciec mógł przekonać Katsumatę. Ten człowiek jadł mu z ręki.

Miejscowy facet wrócił po dwóch dniach i przez cały ten czas byłem sam. Twój ojciec nie fatygował się już tłumaczyć

mi swoich rozmów z ukochanym Katsumatą. Przemysłownik znalazł dla mnie we wsi wdowę. Derek zawsze powtarzał, że ja się tylko lubię zabawić, lecz nie skorzystałem z propozycji. Odczuwałem samotność, wściekłość, frustrację, coś więcej niż ludzki gniew. W Bang Saray zrobiło się jak w Cambridge.

Facet miał w suwerenach tylko 450 funtów. Pozostałe wydał na części zapasowe, amerykańskie papierosy albo sieci czy coś jeszcze. Przemysłownik się z tego śmiał, nie śmieli się natomiast partyzanci. Mówili, że dowódca nigdy im nie uwierzy. Oskarżył ich o kradzież reszty. Było już takie nieporozumienie - twierdzili - kiedy przed wojną napadali na banki. Brak jednej monety i po tobie - mówili. Jeśli chcecie, żebyśmy was zabrali do Indii, musicie przekonać wodza, że mieliście tylko czterysta pięćdziesiąt. Bo inaczej ich każde rozstrzelać. Przemysłownik obiecał pomówić z dowódcą. Wróci na skalę i powie mu, co się stało. Może weźmie w zamian dolary amerykańskie. Albo sieci rybackie. Na sieciach można zarobić.

Derek zanosił się śmiechem, który doprowadzał do furii. „Łowiąc ryby na skale”, ryczał. Wyśpiewywał to na melodię „Deszczowej piosenki”.

„Chyba za to zwolnią tylko jednego z nas” - powiedział. Może tak myślał. Może chciał mnie powstrzymać od powrotu albo nie chciał się rozłączać z Katsumatą. Nie wiem. Twój ojciec nie grzeszył poczuciem humoru, a człowiek tak oszalały z nienawiści jak ja gotów jest uwierzyć we wszystko. Byłem pewny, że zamierza mnie tam zostawić.

Tej trzeciej nocy wszyscy się upili. Nawet Katsumata, choć nietrunkowy, zalał się w pestkę. Na tarasie, gdzie siedzieliśmy, pachniało jak w gorzelni. „Ja ponoszę za was odpowiedzialność - powtarzał wciąż ze śmiechem Katsumata.

- Wrócę z wami do Birmy”.

„Wrócimy wszyscy - odrzekł Derek. - Król, cesarz i generał McArthur. „I zaśpiewał:

„Wszyscy wrócimy dziś na skałę, wrócimy dziś na skałę”.

Możesz wierzyć lub nie, ja jeden byłem trzeźwy. „Chodźmy teraz popływać” - zaproponował Twój ojciec Katsumacie, ale japoński porucznik nie mógł wstać. Derek poprosił przemytnika, aby mu towarzyszył, ten jednak nie umiał pływać. Tłumaczył, że w poprzednim życiu był kozą, a kozy nie pływają. Katsumata zdążył już zasnąć, więc w końcu Twój ojciec zwrócił się do mnie:

„Chodźmy popływać, Hedges. Może to nasza ostatnia szansa. Stąd do Indii jest tylko ląd”.

„Nie idź z Hedgesem” - odezwał się Katsumata. Może powiedział to przez sen, ale powiedział na pewno. Przez chwilę sądziłem, że Derek usłucha.

Wstałem i pomogłem mu się dźwignąć. Niebawem schodziliśmy już po schodach, a choć parę razy się przewrócił, nic się nie stało. „Wszyscy zejdziemy dziś na skałę - śpiewał.

- Zejdziemy dziś na skałę”.

Nie jestem mocny w pisaniu listów. Spisuję to wszystko tak, jakbym Ci opowiadał.

„Czemu tu nie zostaniesz? - zapytał Derek.

- Nie zabraknie ci pacjentów. Kpił ze mnie, ale tym razem pod wpływem alkoholu. „Może i paru zabijesz, co jednak znaczy dla ciebie życie, Hedges?”

Pewnie wtedy podświadomie powziąłem fatalną decyzję. Doszliśmy nad wodę i ja się rozebrałem. Derek od razu do niej wskoczył, w ubraniu i w butach. Był dobrym pływakiem, ale się upił, a nasiąknięta odzież ciągnęła go w dół. Widziałem, jak się zanurzył prawie na minutę.

Wypłynął na powierzchnię, znów się zanurzył i jeszcze raz wypłynął. Powiedział: „Wracajmy wszyscy na skałę, Hedges. Możemy tam dopłynąć. Może do samych Indii. Jeszcze zostaniesz bohaterem”.

Wtedy, szydząc ze mnie, zachłysnął się wodą. Słyszałem, jak kaszle. Księżyc w pełni oświetlał idealnie gładką tafłę morza i widać było w promieniu wielu mil. Patrzyłem na dom. Zniosło nas dość daleko. Nie sięgaliśmy już gruntu. Zawołał do mnie i znów się zakaszlał.

„Hedges - wrzeszczał. - Hedges!” Podpłynąłem bliżej w oczekiwaniu kolejnej drwiny, bo się uśmiechał. Dotarłem do niego i położyłem mu rękę na ramieniu. „Hedges - powiedział - nie bądź osłem.”

Ciągle, powracające i upokarzające uczucie zawodu wywołało nadmiar emocji, nad którymi przestałem panować.

„Słuchaj, Hedges” - powiedział, a choć słyszałem, zdolny byłem myśleć wyłącznie o skale i Indiach, o tym, że dawno już mogliśmy być wolni. Paraliżował mnie gniew. Czulem pustkę w mózgu. Wepchnąłem jego głowę pod wodę i przytrzymałem. Nie bardzo się wrywał. Tylko raz jeszcze się wynurzył i powiedział: „adiós”. Nie nakłamałem o tym Twojej matce. Potem w ogóle przestał się ruszać. Może zemdlał. Nie potrafiłem zebrać myśli. Długo trzymałem go

pod wodą, a następnie pociągnąłem do brzegu. Był spokojny jak morze. Włosy opadły mu na czoło. Wydawało mi się, że szyderczo wykrzywił usta.

Nie żył.

Minęło moje oszołomienie, złość i chwilowe szaleństwo. Zaznałem spokoju.

W ciszy nocnej słychać było świerszcze, komary i wodę pieszczotliwie muskającą piasek.

Zacząłem wzywać pomocy.

Dość długo nikt nie nadchodził. Derek leżał w płytkiej, rozświetlonej księżycem wodzie, a ja stałem nad nim trzymając go za rękę. Teraz wrzeszczałem. Żadnej odpowiedzi, tylko szczekanie psów wioskowych i mój wrzask. Potem zobaczyłem, że nadbiegają. Katsumata gnał jak szatan. Dotarł do nas pierwszy. Był kompletnie rozbudzony i pod wpływem doznanego wstrząsu wytrzeźwiał.

„Zbudź się, poruczniku Pritchard - zawodził Katsumata. - Zbudź się, mi amigo”.

Razem wyciągnęliśmy Dereka na plażę. Katsumata patrzył na mnie i płakał jak dziecko. Twarz miał wykrzywioną. Powiedziałem, że Derek wypłynął za daleko, ja zaś nie zdążyłem do niego dotrzeć, bo nie wołał.

„Nie żyje, poruczniku Katsumata” - stwierdziłem.

„Żyje”. I uderzył mnie w pierś. Jego oczy wyrażały straszną rozpacz. „Dlaczego pozwoliłeś mu umrzeć, ty głupcze?” - wrzasnął, po czym mnie przeprosił. Wie, że to nie moja wina. Tylko jego. Powinien był pójść do wody z porucznikiem Pritchardem, który o to prosił. Sam dźwignął

Dereka i zaniósł do domu. Siedział przy nim i płakał jak dziecko. Płakał chyba przez całą noc. Oplakiwał Dereka jak rodzzonego brata. Nikt nie mógł go pocieszyć.

Ja dopiero miałem naprawdę się zemścić.

34.

Robiło jej się zimno i gorąco na przemian. Otworzyła okno, żeby wpuścić do środka upał, a powietrze wysmagało jej twarz. Zamknęła okno. Przed sobą miała jedynie drogę i plecy kierowcy za popstrzoną przez muchy szybą. Wpadła w histerię. Dyszała ciężko. Nie potrafiła już czytać. Co więcej mógłby powiedzieć?

- Prędej - szepnęła. - Prędej! - wrzasnęła.

- Muszę się dostać do telefonu i zadzwonić.

Zapaliła kolejnego papierosa i zobaczyła, że ma w rękach dwa i oba pali. Jednego zdusiła o własne ramię, usłyszała syk, poczuła ból i wybuchnęła płaczem.

Spóźniona reakcja - pomyślał kierowca. Musi zachować spokój. Słyszał o humorach kobiet *farang*.

- Proszę - powiedziała cicho. - Czy nie możemy jechać szybciej? Frunąć?

Mógłby jej tłumaczyć, że policja drogowa ma motorowery, szybkie amerykańskie wozy i wlepia mandaty. Wiedział, że na nic by się to nie zdało. Kiwnął głową, stopą przycisnął pedał gazu i popatrzył przed siebie. Droga była pusta.

- Dziękuję, dziękuję - szlochała. Zwiesiła głowę, a jej nagimi ramionami wstrząsał płacz. Kierowca chciał jej powiedzieć,

że jest jeszcze młoda, że niedługo znajdzie innego mężczyznę, który ją będzie zabierał do dużych hoteli, do restauracji i nad morze. Uwagę skupił jednak na szosie, wypatrywał policy i jechał, jak umiał najszybciej.

- Ty draniu! - wrzasnęła. - Ty wstrętny, tłusty draniu!

Musi podrzeć list. Łgarstwa. Same łgarstwa. Podrze list, spali, a popiół rzuci z wiatrem. Kłamca.

- Jesteśmy dwojgiem innych ludzi, Yoshiro - powiedziała cicho. - A jednak jesteśmy innymi ludźmi.

- Była pewna, że ją słyszy, bo i on wierzył w winę swojego ojca. „Wiem” - powiedział, kiedy mu oznajmiła, że jego ojciec był zabójcą.

Wiem. Może jego życie też było długim pasmem pozorów. Zmagań mających go przygotować na przybycie córki Dereka z wystawionym rachunkiem. Jakim rachunkiem? Wszystko było nie tak. Koło fortuny się myliło. Jimmy Hedges w końcu się przyznał. Napisał, że Katsumata opłakiwał śmierć Dereka. Siebie obarczył odpowiedzialnością za to wszystko.

Była to jedna wielka omyłka. Cały plan jej matki. Wszystko. Ta krucha, nietolerancyjna kobieta żyła wyłącznie nienawiścią do niewłaściwego człowieka. Katsumata był przyjacielem ojca.

Żadnych zabudowań. Przejechali przez szeroką rzekę, za którą skończyły się pola ryżowe. Za samochodem góry zniknęły w szarej mgiele.

- Prędej! - Walnęła kierowcę w plecy. - Prędej.

- Wiedział, że jest zdenerwowana, lecz uwagę skupiał na drodze. Może kochała tłuszciocha *farang*? Jechał dalej i znów się skoncentrował, lecz wtedy rąbnęła go pięścią w głowę. Zaskoczony stracił na parę sekund panowanie nad kierownicą i zanim je odzyskał, samochód zarzucił. Tuż za nimi z wizgiem opon zahamowała wyładowana ciężarówka. Dotknęła

limuzyny. Kierowca ciężarówki wylazł z kabiny i podszedł do nich z krzykiem. Zamierzał uderzyć winnego.

Ten zobaczył napastnika w lusterku. Jest mały, więc się nie ośmieli. Kierowca limuzyny otworzył drzwiczki, wysiadł i stanął wyprostowany. Anna wyskoczyła na szosę.

- Co pan, u diabła, robi? Prędkiej, mówiłam. Nie kazałam stawać.

Jej szofer rozmawiał z kierowcą ciężarówki. Ich miny z groźnych zmieniły się w wyrozumiałe. Uścisnęli sobie dłonie. Szofer Anny podszedł, delikatnie wziął ją za rękę i poprowadził z powrotem. Wsiadła do samochodu i zachciało jej się płakać, lecz łzy nie popłynęły. Nie będzie opłakiwać swojego ojca. Tylko zło, jakie wyrządziła Yoshiro. Wszystko mu jednak wynagrodzi. Jest czas.

Zostały do przeczytania dwie kartki.

Dalszy ciąg znasz. Przez te lata wielokrotnie powtarzałem to Twojej matce i Tobie. To prawda. Partyzanci zabrali mnie z powrotem do Birmy i przekazali armii brytyjskiej na granicy Z Indiami. Mówiłem wtedy to, co Wam później. Wywiad nie wiedział, co o mnie myśleć. Czy byłem tchórzem? Nie wierzono w historię wymiany, lecz w końcu postanowiono zrobić ze mnie bohatera, dano mi medal i odesłano do domu.

Zdawało mi się, że wybaczyłem sobie to, co zrobiłem Derekowi. Z biegiem czasu szczegóły przeszłości poszły w zapomnienie. Pozostało niewiele. Musiałem ponownie je odgrzebać, kiedy poznałem Ciebie i Twoją matkę.

Życie właśnie zaczęło mi się układać. Odniosłem sukces. Na swój sposób byłem szczęśliwy. I wtedy nieoczekiwanie skontaktowała się ze mną Twoja matka, zmusiła mnie, bym opowiedział o Bang Saray. Prawda o wydarzeniach chciała wyjść na jaw, kiedy kłamiwie przedstawiałem okrucieństwo Katsumaty. Cierpienia Dereka. Jego śmierć z rąk mordercy po upokarzającej nocy spędzonej w drewnianej klatce. Twoja matka, choć zdruzgotana, zniosła to dzielnie.

Nigdy w życiu tak się nie popisałem.

Mówienie o Bang Saray było torturą. Jest nią nadal. Próbowałem nie czuć do niego nienawiści wtedy, kiedy opowiadałem o jego śmierci, ale mówienie o niej nieprawdy wstrząsało mym sumieniem. Może wtedy zacząłem tracić dla siebie szacunek. Może po tym zacząłem sobie folgować.

Pamiętasz nasze pierwsze spotkanie? Byłaś bardzo mała, ale się Ciebie bałem. Może z poczucia winy. W Twojej obecności stawałem się nerwowy. W Ciebie wcielił się Derek Pritchard, który przyszedł stamtąd, aby mnie dręczyć.

Twoja matka kazała mi opowiadać tę historię wciąż od nowa. Interesowały ją najdrobniejsze szczegóły. Opowiadałem rzeczy na ogół prawdziwe i to przywodziło na pamięć czasy spędzone w tym kraju, ale nie Dereka. Nie tego Dereka, którego znałem.

Taki Derek Pritchard, jakiego opisywałem Twojej matce, był mój, wyłącznie mój. Mogłem go formować w dowolny sposób. Mogłem zmusić, aby się uśmiechał, mówił i płakał. Stworzony dla Ciebie i Twojej matki Derek już mi nie

zagroził. W pełni panowałem nad jego marzeniami i nadziejami, słowami i czynami.

Nie wspominałem o tym, jak mnie upokarzał, i Derek Pritchard stał się dobrym facetem. Nawet na swój sposób go polubiłem. Zapomniałem o Cambridge i studentce prawa, a kiedy zniknęła nienawiść, mogłem zapomnieć, co mu zrobiłem. Bez powodu nie ma zbrodni, bez zbrodni nie ma kary. Nie zabija się przyjaciela. Myślałem, że to się skończyło.

Zemściłem się jednak na Dereku. Zemstą nie było zabójstwo. Nie wystarczyło. Może się zdziwisz, ale wtedy, kiedy Was poznałem, jego lokaty straciły wartość. Miał dojść do jakichś pieniędzy w roku swojej śmierci, coś się jednak stało. Nie wiem co. Chyba wszystko zainwestował w przedwojenne zagraniczne obligacje. Tak czy owak, kiedy Ty i Twoja matka wkroczyłyście w moje życie, spadek po nim nic nie był wart.

Więc, moja droga Anno, zacząłem subwencjonować rodzinę Dereka Pritcharda. Mój księgowy doradzał Twojej matce w sprawie lokat męża, lecz wszystko to były moje lokaty. Ona zawsze miała pieniądze na Twoją naukę i remonty i myślała, że zawdzięcza to przezorności

Dereka.

*

Tak wyrównałem rachunki z Derekiem. Odebrałem mu rodzinę, bo ją utrzymywałem. Z początku to była zemsta, ale później patrzyłem, jak Twoja matka się starzeje, a Ty wyrastasz na kobietę, i zemsta zamieniła się w rekompensatę. Płaciłem za pozbawienie Cię ojca, przez cały czas jednak stawałem się coraz bliższą Wam osobą. O tak, bywałaś

dla mnie niegrzeczna, lecz tak się traktuje wuja, nie wroga. Lubilem Cię. Szczyciłem się Twymi osiągnięciami. Po swojemu Cię kochałem. Byłaś mi prawie córką.

Rodzina Dereka stała się moją rodziną.

Przez parę ostatnich lat szukałem sposobów ułatwienia Twojej matce życia. Trudno jej coś dać, lecz mnie się powiodło. Nie bez wysiłku, zapewniam Cię, zdołałem ją nakłonić do wydawania tego, co jej płaciłem.

Teraz zajmujemy się przyszłością. Mam nadzieję, że kiedy nadejdzie mój czas, nie oszczędzisz mnie zbyt surowo. Zmiękleć. Nie musiałem Ci tego wszystkiego mówić, jestem jednak człowiekiem, a jako człowiek popełniałem błędy. Tam, dokąd się udaję, za zabójstwo każą płacić. Nic się nie bój.

Nie mów o tym wszystkim matce, Anno. Nie niszczy tego, co pozostało. Pozwól jej odejść w spokoju i stawić czoło temu, co jest po tamtej stronie. Jeśli istotnie znów się tam spotkamy, sam jej powiem. Ale nie sądzę, abyśmy się spotkali.

Więc nie mów jej o tym liście, jeśli go otrzymasz. Derek był dla niej kimś wyjątkowym. Ja też nim jestem czy może należałoby powiedzieć, że byłem? Nie niszczy jej naiwności, Anno. Nie niszczy jej miłości, wspomnień czy nadziei.

Po prostu zniszcz ten list.

To wszystko. Powiedziałem, że we własnym przekonaniu darowałem sobie zabójstwo Dereka, lecz jadąc tutaj stwierdziłem, że nie. Nie mogę się tłumaczyć niepoczytalnością. Nie mogę Cię prosić, abyś zapomniała. Nie poproszę Cię, abyś wybaczyła.

*Proszę Cię, abyś zrozumiała.
Kocham Was obie i kochałem od lat, Jimmy.*

Samochód sunął mozolnie. Włókł się po Nana Road. Była pora lunchu. Kierowca oznajmił, że się zbliżają. Jeszcze dziesięć minut. Może piętnaście. Anna się nad tym zastanowi. Ma czas. Spali ten list i nie wróci do niego myślami, bo jest nieważny. Ważne jest jej własne życie, własne plany i decyzje. Najpierw jednak musi zadzwonić do Yoshiro. Porozmawia z nim. On był prawdziwą ofiarą wszystkiego.

Pora jest jeszcze wczesna. Powinna złapać go w biurze. Różnica czasu między Tajlandią a Japonią wynosi dwie godziny. Będzie mogła z nim porozmawiać, przeprosić go, pójść do niego, jeśli on tego zechce. Popatrzeć w jego smutne oczy i utulić go, jak tuliłaby dziecko.

Wyrządzono mu krzywdę, lecz ona to wszystko naprawi. Nigdy już nie będzie musiał jej prosić. Ona będzie szorować mu dom, prać koszule i czyścić buty. On jest teraz w biurze. Na pewno o niej myśli. Uśmiechnie się, kiedy ona zadzwoni. Twarz mu zajaśnieje jak milion lampionów, błysną białe zęby. „Koło fortuny znów się do nas uśmiecha” - powie.

Czy ona do końca życia będzie przepraszać? Nie. On tego nie będzie żądał. - Przepraszam, Yoshiro - załkała. - Ja ci to wynagrodzę. - Czy kiedykolwiek mówiła do niego „kochanie”? Używała jakichś pieszczotliwych wyrazów? Poczuli się stara, ale nie zmęczona.

Już lada minuta tam będzie. Portier i goniec się uśmiechną. Telefonistka każe jej parę minut zaczekać, a potem Anna z nim porozmawia. Powie mu, że wszystko jest w porządku.

Jego ojciec nie był zabójcą.

Jej ojciec nie był jego ofiarą.
Oni przez cały czas byli dwojgiem innych ludzi.
Byli od początku. On to zrozumie. Sam na to wpadł.
Pierwszy to powiedział.